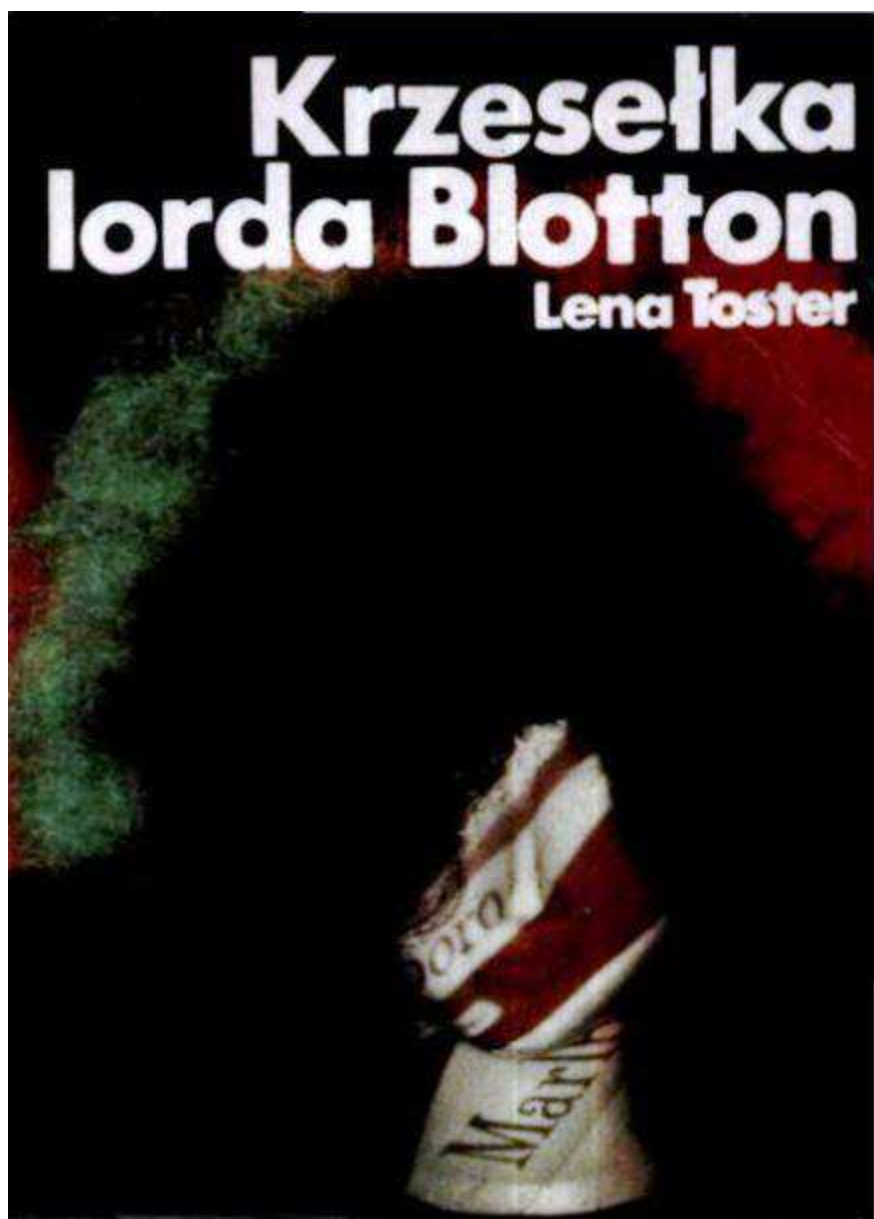


Krzeselka lorda Blotton

Lena Toster



— Mr. Zaręba, jutro rano odbierze pan przesyłkę z trzydziestego piątego kilometra, między piętą a szóstą. Proszę dobrze zapamiętać: między piętą a szóstą rano. Wóz postawi pan na poboczu, prawidłowo, z uchyloną szybą, aby robiło wrażenie, że po prostu pozostawi pan na chwilę w krzaki. Pakunek proszę wyjąć z wiadomego miejsca. Niech pan nie zapomni o dobrym plastikowym worku, najlepiej takim, w jakie pakuje się sprzęt turystyczny. Uprzedzam, że przesyłka może być wilgotna i płamić. No więc właduje pan to wszystko do worka i wyjedźcie ostrożnie na szosę. Jeżeli będzie absolutnie pusta, wrzuci pan ładunek do bagażnika. Dobrze byłoby przykryć go jakimś starym kocem lub płachtą namiotową. Potem prosto do Warszawy. Powtarzam: prosto. Bez żadnych wizyt w Międzyzdrojach. Romane mogą poczekać.

Lena Toster

Krzeselka

lorda

Blotton

Krajowa Agencja Wydawnicza

Projekt typograficzny okładki i karty tytułowej

Teresa Cichowicz-Porada

Fotograficzny projekt okładki

Jan i Waldyna Fleischmann

Redaktor

Magdalena Stachowicz

Redaktor techniczny

Stanisław Malicki

Korektor *Zespół*

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”

WARSZAWA 1976

Wydanie pierwsze

Nakład: 100 000 + 350 egz.

Objętość: ark. wyd. 10,86; ark. druk. 8,50

Papier druk, mat. ki. V, 70 g, 70X100

Oddano do składu dnia 3 maja 1976 r.

Podpisano do druku dnia 23 września 1976 r.

Druk ukończono w październiku 1976 r.

Drukarnia Narodowa,

Kraków,

ul. Manifestu Lipcowego 18

Nr prod. XII-5/2739/75. Zam. 1784/76. J-124

Cena zł 30.–

MARLBORO

To, co szumnie nazywano plażą hotelu Excelsior, było po prostu gładko wybetonowanym, zbiegającym ku morzu tarasem. Rozstawiano tu barwne parasole, rozkładano kwieciste „jogi”, wygrzewano się na słońcu i skakano wprost do wody. Zatoka podchodziła pod sam hotel, piętrzący się szklano-kamienną konstrukcją nad wodą tak niebieską, jakby ktoś w przystępie szaleństwa dosypał do niej parę wagonów proszku ixi. Na gorącym cementowym wybiegu prażyli się rozleniwieni goście ekskluzywnego hotelu i miejscowi spryciarze, którzy, omijając pułapki portierów, szmuglowali się na snobistyczną plażę Excelsioru.

Początek sierpnia był – jak zwykle w Dubrowniku – upalny i suchy. Coroczny festiwal teatralno-muzyczny „Dubrovačke Ljetne Igre” ściągnął do i tak zapchanego miasta dodatkowe tłumy turystów. Ostatni przewrót w Grecji i krwawe walki na Cyprze skierowały nieoczekiwanie setki tysięcy ludzi na wybrzeże jugosłowiańskie. Wszystko pękało tu w szwach. Zaczynały się braki, gorsza obsługa, ceny za „soby” i hotele skakały w górę. Niepowstrzymany wąż trąbiących samochodów przewalał się przez ulice miasta, ocierał o prastare mury, przepływał pod Minčeta, piął się w górę.

Do betonowej „plaży” Excelsioru podpływał właśnie na gasnących obrotach „glisser” włoskiej produkcji. Siedział w nim opalony na brąz czterdziestoletni mężczyzna w niebieskich kąpielówkach, o twarzy masywnej, dużym złamanym nosie, ponurym spojrzeniu ciemnych oczu. Kobiety twierdziły, że był podobny do Lino Ventury, mężczyźni, że do emerytowanego boksera. Teraz starał się tak manewrować łodzią, aby miękko dobiła do brzegu. Wreszcie udało mu się ustawić ją lewą burtą do nabrzeża; wyciągnął rękę i uchwycił się metalowej drabinki, prowadzącej z tarasu do wody.

Spod ogromnego parasola podniósł się obarczony imponującym brzuchem starszawy brunet i zostawiając w nieporządku materac, zapas butelek ze „Schwepsem”, plik różnobarwnych magazynów i stos ręczników, poczłapał ociężale ku łodzi. Ostrożnie podszedł do drabinki i niezgrabnie zaczął złazić z tarasu. Ślizgacz przechylił się niebezpiecznie na lewą burtę, kiedy grubas wreszcie postawił na nim, nogę, ale opalony dżentelmen w niebieskich majtkach szybko przesunął się na prawo dla przywrócenia równowagi. Wreszcie pasażer usiadł na środkowym fotelu i sternik silnym pchnięciem ramion odbił łódź od brzegu. Zapуścił motor i ruszył w kierunku zieleniejącej na morzu wyspy Lokrum. Po prawej stronie zostały białe mury, baszty i wieże starego Dubrownika, czerwone dachy, gęstwina łodzi, różnobarwny tłum, hałas, zgiewk i snujący się nad tym wszystkim odór spalin.

Łódź zwiększyła obroty silnika i przyjęła kurs na wyspę. Wody zatoki czy raczej przesmyku zasłoniętego od pełnego morza naturalnym falochronem Lokrum były spokojne i gładkie. Dobry pływak bez trudu i większego zmęczenia dopływał z hotelowej plaży na wyspę i po małym odpoczynku wracał z powrotem, mając za jedyną emocję zasłyszane plotki o zapędzających się tu rekinach, którym dawano swojską, niemal

przymilną nazwę „morski pes”. Rankiem i późnym popołudniem spokojne wody przecinały liczne – podobne do tego – ślizgacze, ciągnące na długich linach amatorów nart wodnych, kreślących między wzgórkami fal efektowne meandry slalomów. Teraz upał wypłoszył nawet najodporniejszych. Dochodziło południe.

Mężczyźni pływający białym ślizgaczem nie odzywali się do siebie, w przeciwieństwie do motoru, który był wyjątkowo gadatliwy, ale i on po kilkunastu minutach podróży zamilkł. Nic już nie mąciło ciszy. Sternik spojrzął na zegarek, po czym rozparł się wygodniej na swoim miejscu, wyciągnął paczkę Marlboro, rozpieczętował ją i podał w milczeniu swemu pasażerowi. Tamten bez słowa wziął papierosa, po czym zaczął grzebać w miniaturowej kieszonce majteczek kąpielowych. Wyciągnął z niej zapalniczkę – firmową reklamówkę producentów tychże Marlboro – i podał sternikowi ogień. Nim jednak zdążył przypalić papierosa, nieuważny ruch ręki grubasa spowodował, że zapalniczka zgasła. Po dwukrotnej, bezskutecznej próbie zapalenia grubas zrezygnował, a sternik bez pośpiechu wydobyl z niewielkiej skrytki w łodzi identyczną zapalniczkę i zapalił. Wtedy grubas najspokojniej wyrzucił swego papierosa do wody.

Czas i cisza płynęły leniwie. Miejsce było niezbyt odległe od niegościnnego, skalistego brzegu, puste, woda czysta i tylko mewy przelatywały niekiedy. Obaj panowie opalali się w absolutnym milczeniu.

Po pewnym czasie sternik znów spojrzął na zegarek, ni to jęknął, ni mruknął, by znów pogрузić się w słonecznym dolce far niente. Grubas niespokojnie poruszył się na swoim miejscu, łódź zakołysała nieco, wreszcie wróciła do równowagi. Lekka fala przyboju znosiła glisser w stronę skalistego brzegu. Słońce dopiekało nieznośnie. Obaj panowie spływali strugami

potu, ale żadnemu z nich nie przyszło jakoś do głowy, by ochłodzić się w wodzie. Trwali w bezruchu na swoich miejscach. Jedynie sternik od czasu do czasu powtarzał manipulacje z zegarkiem. Spoglądał nań coraz częściej, aż wreszcie poruszył się energicznie, poprawił na fotelu i zapuścił motor. Łódź skoczyła do przodu, dziób poszedł wysoko w górę, z tyłu trysnęła fontanna piany. Ślizgacz kierował się teraz ku południowemu cypłowi Lokrum – kamienistej plaży, którą upodobali sobie nudyści. Tu fala była nieco większa, gdyż otwierało się wyjście na pełne morze. Łódź podskakiwała gwałtownie ku górze, z hałasem waląc płaskim dnem o powierzchnię wody. Ale sportowe emocje nie robiły większego wrażenia na pasażerach, może tylko opalenizna grubasa jakby nieco poszarzała, a na jego ustach pojawił się lekki grymas.

Teraz mijali liczne motorówki, jachty i żaglówki, okrążające w niewielkiej odległości cypel nudystów. Podglądanie golasów było szczególnie atrakcją dla turystów, a podwożenie ich tu – głównym punktem programu wycieczek organizowanych przez prywatnych posiadaczy motorówek ze Starej Luki, którzy zbierali gromadki Amerykanek w kwiecistych kapeluszach i młodych, obłazących ze skóry Niemców na wycieczki wokół Dubrownika. Wszystkie te łodzie, napędzane archaicznymi, pamiętającymi kolejne wojny i inwazje motorami, zwalniały koło cypła, by swoim klientom pozwolić nacieszyć się widokiem nagusów, oszczędzając równocześnie na paliwie.

Obaj panowie z białego glissera postąpili podobnie i zbliżając się do skalistego brzegu Lokrum zmniejszyli szybkość do minimum. Fala dała się teraz odczuć jeszcze bardziej, a grubas zaczął z wolna, lecz nieustannie zielenieć.

Na postrzępionych skałach, kamieniach i skrawkach płaskich, żwirowych poletek prażyły się nagie ciała. Kobiety,

mężczyźni, dzieci... Leżeli w niedbałych pozach, leniwie przechadzali się, kąpali, odwiedzali całymi rodzinami. Ale ani sternik, ani pasażer nie zwracali uwagi na łódź, wpatrując się uważnie w przestrzeń wodną. W te kilkadziesiąt metrów dzielące ich od brzegu. W pewnej chwili sternik wyłączył motor, wziął z dna łodzi niewielkie wiosło i zaczął najbardziej tradycyjnym z tradycyjnych żeglarskich sposobów zbliżać się do płynącego samotnie w ich stronę człowieka. Właściwie była to ludzka głowa, ukazująca się raz po raz między falami, ozdobiona jaskrawoczerwonym czepkiem. Kiedy odległość dzieląca łódź od pływaka, radzącego sobie sprawnie z wzrastającą falą, zmalała do trzydziestu metrów, sternik wyciągnął spod siedzenia żeglarską lornetę. Nastawił dokładnie ostrość i czekał, aż wynurzy się czerwony czeppek. Wreszcie mignął. Na jego przodzie można było dostrzec czarno-biały rysunek. Ale było jeszcze za daleko, fala rosła. Wreszcie płynącemu udało się wydobyć na wierzch wodnego pagórka i wtedy w polu widzenia lornety sternik zobaczył. Na czepku rysował się wyraźnie znak firmowy papierosów Marlboro.

Szybko włączył motor i zbliżał się do pływaka. Kiedy łódź znalazła się w odległości głosu od płynącego, z morza dobiegło głuszone szumem wody, mocne, lecz nie znamionujące przestrachu wołanie:

– Help!

Potem apel o pomoc powtórzył się jeszcze dwukrotnie i czerwony czeppek spokojnie dobił do burty białego glissera. Właściciel czepka, młody, zbudowany niczym mistrz olimpijski chłopak, zgrabnie wdrapał się do środka. Otrząsnął się z wody i rozsiadł na obitym dermą fotelu. Nowy pasażer był zupełnie nagi, tylko na szyi miał małeńki, zawieszony na łańcuszku woreczek z czarnego plastyku.

Łódź ruszyła na południe. Dalej od miasta, od wyspy.

KONTENERY

Kiedy ślizgacz znalazł się na względnie spokojnej tafli wody, sternik zgasił motor i znów wyciągnął paczkę Marlboro. Świeżą, nie rozpieczętowaną. Przedarł banderole, zerwał celofanowe opakowanie i poczęstował pływaka. Ten wziął papierosa wilgotnymi jeszcze palcami, po czym z wiszącego na szyi woreczka wyciągnął zapalniczkę. Firmową, reklamówkę papierosów Marlboro. Zapalił ją i zgasił, zanim sternik zdążył skorzystać z ognia. I wtedy nagle w rękach wszystkich trzech panów pojawiły się identyczne zapalniczki, ozdobione rysunkiem paczki papierosów Marlboro. Nie przezywając milczenia panowie podali je sobie wzajem, przy czym każdy odwrócił otrzymany egzemplarz podstawką do góry. Na metalowym spodzie zapalniczek był wybity jeden i ten sam numer: trzysta czternaście.

– A więc możemy zaczynać – wreszcie odezwał się po angielsku sternik, którego akcent wskazywał na to, że język Szekspira i Dickensa nie jest jego mową ojczystą, choć biegłość, z jaką się nim posługiwał, dowodziła, że używa go na co dzień.

– Okey – przytaknął leniwie pływak, a grubas już tylko kiwnął głową. Pot zalewał mu oczy, a skóra zdawała się skwierczeć na słonecznym żarze, tym dokuczliwszym, że po zatrzymaniu glisserà nawet powiew wiatru przestał chłodzić lejący się z nieba potok gorąca.

– Nie muszę chyba panom mówić, że w ostatnich miesiącach sytuacja w branży uległa gwałtownemu pogorszeniu. Po pierwsze, odpadł nam Cypr. To, co się tam dzieje, nie pozwala na korzystanie z dawnych wypróbowanych dróg... Poza tym koniec z Grecją. Przewrót, nowa władza, czystka w policji, każe nam i ten szlak wyłączyć na jakiś czas – kto wie jak długi

– z obrotu. A rynek żąda dostaw. Musimy szukać nowych rozwiązań...

– Italy... – jęknął grubas, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo sternik przerwał mu gwałtownie:

– Nie skończyłem! Musimy szukać nowych rozwiązań nie tylko transportu. Dotychczasowa technika przeżyła się. Staliśmy się zacofani, podczas gdy świat idzie naprzód: ani konkurencja, ani policja nie próżnują... Otóż postanowiono – tu zawiesił głos, aby zwrócić uwagę swych słuchaczy, że nie o dyskusję mu idzie, ale o przyjęcie przez nich do wiadomości określonych decyzji – ...postanowiono przestawić się na nowoczesny system pracy.

– Technika? – spytał pływak.

– To także, ale nie tylko. Przede wszystkim koniec z eksportem surowca. Wozimy tylko gotowe fabrykaty. Laboratoria i przeróbka na miejscu. Tańsze to, bezpieczniejsze i wygodne w transporcie. Po drugie – uruchamiamy niekonwencjonalne linie, najmniej dotąd przeciążone, a więc słabiej obserwowane. Po trzecie – w środku każdej trasy tworzymy służę bezpieczeństwa: ucięcie kontaktów. Tak, żeby każda wpadka utykała bez pudła na połowie drogi. W związku z tym ułatwiamy sobie możliwość odbudowy kanałów w razie wyspy.

– Dobrze, ale niewykonalne – leniwie mruknął pływak.

– Wykonalne – przerwał sternik. – Wykonalne, realne i bezpieczne. Potem wyjaśnię. Wreszcie czwarta sprawa to – kontenery...

– Zwariowaliście – krzyknął grubas – kontenery! Czy pan wie, co było w Amsterdamie przed rokiem? Zapomniał pan, jak tam rozrobili kontenery z nadzieniem?

– Nie chodzi o wielkie kontenery morskie – spokojnie wyjaśniał sternik – czy kolejowe. Chodzi o małe, rozumie pan – małe, ujednolicone opakowania przesyłek, które można by

transportować w każdych warunkach. Wilgoć, temperatura, naświetlanie, wstrząsy itd. A jednocześnie, aby te pakunki dało się łatwo składać w większe całości i to o dowolnych modułach... Jasne?

– Nie rozumiem – grubas pocił się coraz bardziej i patrzył przed siebie otępiałym wzrokiem. Był chyba bliski porażenia słonecznego.

Sternik zapuścił silnik i ruszył w kierunku otwartego morza. Wiatr owiał łódź, zrobiło się nieco znośniej.

– Pan mi się tu ugotuje, a przecież musi pan wiedzieć, o co chodzi. Wiedzieć i zapamiętać – powiedział do grubasa.

Otyły jegomość zaczynał z wolna odzyskiwać orientację w czasie i przestrzeni. Zmoczył sobie głowę, na karku położył kompres z wilgotnego ręcznika. Wreszcie wymamrotał:

– Che cosa vuoi?

– Ma pan zorganizować produkcję kontenerów. Dla naszego towaru. I niech pan słucha, na miłość boską, a nie topi się w słońcu! Pojemniki mają być małe, dwieście pięćdziesiąt gramów w każdym, nieprzepuszczalne, bezwonne, lekkie, nieprzejrzyste, elastyczne, łatwe do przytwierdzenia magnetycznego i do przyklejania. Niewrażliwe na temperaturę, rentgena, psi węż i... to szczególnie ważne, aby po zamknięciu nie można było ich otworzyć bez zniszczenia. Poza tym, jak wszystkie kontenery, muszą pasować, niczym klocki, aby można układać z nich większe całości...

– To niemożliwe! Kto to wyprodukuje? Bezsensowne! Przecież na to potrzeba całej fabryki... Madonna mia! Czy wyście oszaleli? – grubas już zupełnie nie panował nad sobą.

– Niczego więcej od pana nie potrzebuję, tylko tego. I radzę wziąć się w garść – dorzucił ostrzej sternik. – Nerwy w naszym fachu są zbędne. A bywają szkodliwe

- Któreśd chcecie to wozić? – zainteresował się pływak.
- Niewiele szlaków już nam zostało.
- Myślę, że trzeba wyciągnąć wnioski z nowej sytuacji. Żyjemy w epoce koegzystencji...
- Przez czerwonych? – pływak osłupiał. – Przecież tam nie ma nic, prócz policji...
- Wszędzie są ludzie – dorzucił sentencjonalnie sternik. – Ludzie są wszędzie...

Zapadło milczenie, motor łodzi i grubas sapali równie ciężko. Robili teraz wielki łuk, zawracając w kierunku starego portu. Widać było wznoszące się ku górze miasto, a wysoko nad nim, na samej grani otaczających wzgórz smukłą wieżę telewizyjną. W dole zatłoczone łodziami morze przypominało zbiornik z żywymi karpiami w sklepie rybnym.

– A więc – sumował sternik – szlak grecki, cypryjski i wszystkie promy likwidujemy natychmiast... od zaraz.

– Promy też? – przeraził się grubas. – To co będzie z nami?

– Zajmie się pan kontenerami, przecież powiedziałem jasno. Szefowie chcą za miesiąc wiedzieć, kiedy ruszy produkcja. Pan zaś – zwrócił się do pływaka – poszuka sobie facetów, co jeżdżą camionami; najlepsze byłyby chłodnie – z Turcji tranzytem przez Polskę, gdzie dalej – obojętne. Amsterdam ustalił, że przesiadka będzie w Warszawie. Tu ma się zrywać linia wschodnia i od zera zaczynać zachodnia. Jasne?

– Kiedy? – zapytał pływak.

– Co kiedy?

– Kiedy mam dać panu odpowiedź.

– Nie odpowiedź, tylko informację – sucho wyjaśnił sternik. – Od dziś za cztery tygodnie, godzina – spojrzął na zegarek – czternasta trzydzieści w tej dużej kawiarni na Piazza Unita d'Italia, w Trieście. Ponieważ znamy się już osobiście,

więc możemy darować sobie ten cały cyrk z hasłami... Tylko jedno... Wiecie, jak jest. Ten, kto będzie czysty, zapali Marlboro, a jeżeli jakiś smród, to Peery... Peery-Marlboro, proszę pamiętać.

– Ja nie zdążę – jęknął grubas. – Cztery tygodnie na puszczenie takiej produkcji!

– Nie wiem – odrzekł sternik – rekomendowano mi pana jako fachowca. Dobrego fachowca od organizacji trudnych spraw. Nie chciałbym się pomylić. Myślę, że pan też wolałby zachować markę...

Łódź pruća z powrotem w kierunku Lokrum. Wyspa zbliżała się gwałtownie.

– Dopłynie pan do brzegu? – zapytał sternik nagiego chłopaka.

– Oczywiście, ale niech pan jeszcze trochę podjedzie. Nie muszę się aż tak fatygować.

– Proszę bardzo – teraz sternik był znów uprzedząco grzeczny, nawet jakby usłużny, niczym wynajęty przewoźnik. Lecz nim pożegnali pływaka, zwrócił się do swych pasażerów poprzednim, nie znoszącym sprzeciwu, tonem:

– Zechcą panowie dać mi swoje zapalniczki.

Wyjęli bez namysłu obydwa firmowe egzemplarze Marlboro. Sternik wygrzebał spod siedzenia jeszcze trzecią, własną, i wszystkie razem rzucił z rozmachem do morza. Chlupnęły w wodę o kilka metrów od łodzi.

– Im mniej śladów, tym lepiej – stwierdził sentencjonalnie.

Po kilku minutach nagus podniósł się i poprosił:

– Niech pan zwolni.

Łódź zmniejszyła szybkość, pływak stanął na krawędzi burty i skoczył do wody. Znurkował w niej niemal bezszelestnie, potem o kilkanaście metrów dalej wynurzył się i płynął

pięknym, równym motylkiem.

– Ten ma kondycję – rzekł sternik spoglądając na grubasa i zwrócił łódź ku Excelsiorowi.

KRZESŁA

Dyrektor do spraw technicznych i administracyjnych Teatru Otwartego magister Wiśniewski od trzech miesięcy chodził po swoim królestwie dumny jak paw. Wieloletnie starania udało mu się wreszcie uwieńczyć sukcesem: dokonał radykalnej przebudowy widowni. Polegała ona przede wszystkim na wprowadzeniu specjalnie zaprojektowanych i wykonanych dla teatru unikalnych foteli. Zupełnie innych – co najważniejsze – niż w pozostałych teatrach stołecznych. Gustownych – nie sposób zaprzeczyć, nawet wygodnych i pozwalających na łatwą wymianę. Po prostu bez większego zachodu można było pojedyncze siedzenia lub całe ich partie usuwać, przestawiać nie troszcząc się o nic, gdyż nawet numery miejsc były wymienne, reorganizując w ten sposób zarówno przestrzeń gry, jak i widowni. Rzecz pożądana przez wszystkich modnych, nowatorskich, awangardowych scenografów i reżyserów. Zupełna przebudowa sali, mieszanie aktorów i publiczności, tradycje japońskie i scena arenowa – to dopiero zabawa w inscenizację, a nie patrzeć z równo wyciągniętych, jak pod sznurek, rzędów na pudełkową scenę. No i dyrektor Wiśniewski wprowadził takie fotele umożliwiające zmiany. Były to masywne i lekkie jednocześnie siedziska na metalowych płytach, które można było z łatwością wyciągać z rzędów, przesuwać, przenosić, a nawet montować wymiennie. Słowem wszystko pasowało do wszystkiego, poza kosztorysami. Przekroczono je znacznie i kilkakrotnie, tak że nawet

ostatnio Rada Narodowa przysłała jakąś specjalną komisję. Może by to trochę niepokoiło dyrektora Wiśniewskiego, gdyby nie powszechny zachwyty dla jego dzieła, gdyby nie to, że tylko dzięki jego innowacji udało się namówić sławę sław – samego Poraya na wyreżyserowanie „Operetki” Gombrowicza, w której zatarcie różnicy między widownią a sceną, publicznością i aktorami miało zostać doprowadzone do ostateczności. Zabieg niemożliwy bez takich krzesłek.

Mając podpisaną umowę z Porayem i „Operetkę” w planie repertuarowym Wiśniewski mógł spać spokojnie, bimbając sobie z rewidentów Rady Narodowej i Wydziału Kultury razem wziętych. Wolał ostatecznie, by zajmowali się oni krzeskami, niż czym innym. Choćby ożywioną działalnością stolarni w godzinach pozasłużbowych, gdzie domowym, chałupniczym systemem, przy udziale paru niezłych fachowców z teatru i nie bez skromnego wkładu materiałowego z jego strony budowano właśnie trzeci z serii kadłub jachtu... no, nie zaraz tam jachtu, ot – morskiej żaglówki. Takie małe hobby, co to i parę groszy wleci, i ludzie sobie dorobią, maszyny nie stoją po próżnicy...

Z jachtami zaczęło się zupełnie niewinnie. Najpierw ktoś w Radzie Zakładowej wpadł na pomysł założenia kółka żeglarskiego. Ale – jak wiadomo – do żeglowania trzeba nie tylko chętnych, ale i łodzi. Łódź, typową „omegę”, postanowiono wykonać według nie mniej typowych planów, systemem gospodarczym. Sprzęt, stolarze, a nawet co nieco potrzebnych surowców było na miejscu. No i wykonano tę omegę w czynie społecznym. Spuszczono na wodę, ochrzczono butlą „Perlistego”, nadając jej imię „Apollo” – żeby było wiadomo, skąd jest rodem.

Łódź sprawiała się dobrze, tylko że już po pierwszym sezonie okazała się za mała. Przybyło amatorów żagla. Sprzedano więc „Apolla” i zabrano się za budowę następnej jednostki. Tym razem już pełnomorskiej. Praca trwała całą zimą, wliczono ją w czyn społeczny i dokładnie na Dni Morza ochrzczono (tym razem butelką „Iskry”) imieniem „Thalia”. Że też od teatru i w ogóle taka wesoła muza, więc się będzie przyjemnie pływać.

Jak dotąd nie było w tym nic złego, nieszczęście zaczęło się dopiero od powodzenia „Thalii” – prototypowego jachciku o bardzo udanej konstrukcji. Oto w słoneczny dzień lipcowy do wygrzewającego się na sopockiej plaży dyrektora Wiśniewskiego podszedł jakiś barczysty gołus w tęczowych majtkach i z olbrzymim złotym sygnetem na palcu. Przedstawił się: Waldemar Pyra – marynista. I ni mniej, ni więcej tylko zaproponował panu dyrektorowi kupno „Thalii”. Wiśniewski próbował faceta spławić, ale był on tak namolny, że nie pozostawało do zrobienia nic poza umówieniem się z nim na piątą w Grandzie.

Tam na stolik wjechała butelka „Napoleona” i rozmowa stała się z punktu rzeczowa. Pan Pyra miał za granicą kuzyna, który pałał tak gorącą miłością do polskiego morza, że postanowił na nim spędzać coroczne urlopy. Ponieważ zaś lubi żeglować, więc chciałby mieć swoją łajbę. „Thalia” pasuje mu jak ulał. Niech pan dyrektor pomoże w tej transakcji, a...

Wiśniewski zachnął się. Chciał nawet wstać od stolika, ale marynista tak grzecznie tuszował własną niezręczność, wyjaśniał oczywiste przejęzyczenie itd., itd., że panowie mogli bez szkody dla honoru wrócić do rozpoczętego „Napoleona”. Pod koniec butelki doszli do zgodnego wniosku, że ostatecznie z końcem sezonu można by opchnąć polonusowi z zagranicy „Thalię” i za tę forszę zbudować w zimie następny jachcik.

Rzecz prosta w czynie społecznym, w warsztatach Teatru Otwartego.

Potem jakoś tak wyszło, że dyrektor Wiśniewski zainteresował się, czy pan Waldemar, który jest marynistą, nie ma wolnych bonów banku PeKaO, ponieważ on zmienia na nowy model fiata i żonę, a bez bonów nie sposób tego zrobić. I dziwnym trafem okazało się, że maryniści są biegli w sprawach pekaowskich, a nawet bony pana Waldemara są o kilka punktów tańsze i co ważniejsze, mogłyby zostać dostarczone kredytowo. Dyrektor zapłaci po zawarciu transakcji z „Thalią”, co oczywiście nie ma żadnego związku przyczynowego, tylko czasowy.

W przeciągu tygodnia kółko żeglarskie Teatru Otwartego zostało gruntownie przekonane do koncepcji sprzedaży „Thalii” i wybudowania zimą nowej jednostki – „Melpomeny”. O większej wyporności i większej powierzchni żagla. Ostatecznie wszystko idzie z ich własnych funduszy, z ich pracy, więc czemu nie mieliby trochę przy tym zarobić? Pierwsza przymiarka, po rozmowach z „marynistą”, pozwoliła liczyć, że na każdego z udziałowców wypadnie lekko dziesięć patyków czystego zysku.

„Melpomena” zimą znajdowała się w zaawansowanej fazie budowy. Do terminu spuszczenia na wodę było jednak daleko. Dyrektor Wiśniewski jeździł nowym fiatem (eksportowy, produkcja na rynek fiński), z nową żoną, nie nagabywany przez nikogo o nie dopłaconą należność za jakieś tam głupie półtora tysiąca dolarów w bonach. „Melpomena” spłynie na szary Bałtyk i jesienią wszystko będzie okey... Mając Pyrę na podreździu nie należy wątpić, że znajdzie się następny rodak, miłośnik czterystu kilometrów polskiego wybrzeża.

Koło Trzech Króli pan Waldemar Pyra, którego w „Otwartym” zwano swojsko „kapitanem” lub „szyprem”, pojawił się

u dyrektora Wiśniewskiego, zasobny w butelkę ulubionego „Napoleona”. Zwiedził dokładnie teatr, interesując się zwłaszcza postępem robót przy „Melpomenie” (niewykluczone, że pewien mój kuzyn, który w tym roku przyjedzie z Valparaiso...), po czym został niemal zmuszony do zapoznania się z ostatnim osiągnięciem technicznym: nowymi krzeselkami na widowni, czyli, jak określano to technicznie „wymiennymi jednostkami fotelowymi”. Początkowo temat niezbyt interesował (i trudno się dziwić) marynistę. Dopiero kiedy Wiśniewski, dokładnie zapoznając go ze strukturą siedzisk, odsłonił ich metalowe płyty, zapewniające wymiennność i stabilność miejsc, jakby pilniej zaczął się przysłuchiwać wyjaśnieniom. Wreszcie poprosił dyrektora o bilety na najbliższy spektakl. Ależ dlaczego bilet... dla przyjaciół są zaproszenia... No i na tym się skończyło, nie licząc butelki „Napoleona” napoczętej w gabinecie. O bonach, na szczęście, nie było mowy. A raczej była, tylko... Wiśniewski coś tam bąknął o zobowiązaniach, Pyra machnął niedbale ręką:

– Mamy czas, zwodujmy, dyrektorze, „Melpomenę”...

NAUKI DESBAROLLESA

Pani Aura miała spojrzenie badawcze i przenikliwe, niestety, zakres jej obserwacji był więcej niż ograniczony. Widywała bowiem jedynie ludzkie ręce. Okienko kasy Teatru Otwartego, za którym od lat urzędowała, w imię wyższych praw estetyki wewnątrz tak skonstruowano, że nie sposób było dojrzeć twarzy kupujących bilety. Pozostawał niewielki otwór przeznaczony na wymianę dóbr: pieniędzy za niewielką różową kartkę uprawniającą do zajęcia miejsca w określonym

dniu na określonym fotelu zacisznej sali najmłodniejszego teatru stolicy. Lub, co nie należało do rzadkości, wydania białego, ozdobnie drukowanego zaproszenia, ofiarowywanego tylko na zlecenie panów dyrektorów (jak w każdym teatrze, było ich aż dwóch – jeden od sztuki, drugi od papierków, czyli dyrektor artystyczny Marczewski i administracyjny Wiśniewski) lub pani Otylii – sekretarki teatru. Cała szyba dzieląca kasę od hallu była matowa i pani Aura tkwiła w pozorowanej anonimowości swych kontaktów z otaczającym światem i P.T, publicznością. Ale ta właśnie przeszkoda stała się dla jej żywej wyobraźni podniecią do snucia domysłów, ba... całych niesamowitych historii o tym, co i kto przesuwają się za mlecznym światem matowej szyby. Z czasem wyostrzyła uwagę, naiwne bujanie w obłokach fantazji zostało zastąpione solidną obserwacją. Może jedną z przyczyn były tu wspomnienia młodości, kiedy – ach, przedwojenne to lata – piękna wówczas pani Aura, młoda żona lekko podtatusiałego mecenasa Twardo-Krzyskiego, wypełniała nudę nie najbardziej atrakcyjnego mariażu studiowaniem obu tomów „Les Mystères de la main” Desbarollesa. Niezrównanego podręcznika sławnego francuskiego chiromanty i chironoma, dającego nie tylko ekscytującą wiedzę, jak odkrywać tajemnice przyszłości z linii serca, umysłu, losu, wzniesień księżycy, łańcuchów szczęścia itd., ale także jak rozróżnić i zapamiętywać kształty rąk, palców, paznokci – słowem znaków kierunkowych na drodze naszego losu. Pani Aura zdobyła nawet pewną sławę towarzyską dzięki mistrzowi z dalekiej Francji, nie wspominając już dwu czy trzech emocjonujących przygód, w których niepoślednią rolę odegrali przesądni podporucznicy I Pułku Lotniczego, żądni zgłębienia wiedzy o swej ryzykownej przyszłości. Później, kiedy wojna pierwszym podmuchem zmiotła mecenasa

Twardo-Krzyskiego, pani Aura musiała pomyśleć o sobie w kategoriach bardziej prozaicznych. I wtedy z nieoczekiwaną pomocą przyszedł znów mistrz Desbarolles: przez dwa najtrudniejsze lata okupacji młoda jeszcze i piękna mecenasowa parała się wróżbiarstwem zawodowo. W czasach, kiedy zawieszonych między życiem i śmiercią było więcej niż tych pozostałych – podglądanie wyroków losu stanowiło zajęcie nie tylko powszechne, ale i popłatne. Pani Aura wykonywała je z najlepszą wolą, sporą dozą wiary, a przede wszystkim z intuicyjną znajomością ludzi. Ileż to rąk poznała wtedy...

– Poproszę jeden na sobotę – odezwał się spoza szklanej płyty kobiecy głos. – W drugim rzędzie, środek...

Pani Aura zajrzała do książki biletowej. Środek był już zajęty. Dopiero w trzecim miała dwa wolne fotele oznaczone numerami 12 i 13 – ale były to tzw. miejsca dyrekcyjne. Pozostawały w wyłącznej i stałej dyspozycji kierownictwa teatru. Do sprzedaży szły w ostatniej chwili i tylko za zgodą sekretarki W dwójce miała wolne boki.

– Jest pięć lub dwanaście. Może być? – zapytała.

Wypielęgowane palce trzymające stuzłotowy banknot jakby drgnęły. Pieniądz leciutko cofnął się za szybę.

– A dalej... – głos był wyraźnie stremowany. – Czy dalej nic pani nie ma? Może dziesięć? Też w drugim?

Miejsce było zajęte.

– Nie – odpowiedziała kasjerka – są tylko trochę bardziej z boku, a pani chciała przecież środek.

– Nie, nie... to dziękuję – ręka cofnęła banknot, znikając w otworze. Z hallu dobiegło staccato oddalających się kroków.

– Dziwne – przelotnie pomyślała pani Aura – taki upór

i to o jedno miejsce, przecież jeśli idzie się samemu, to ostatecznie dość obojętne, gdzie się siada?.. Po czym pograżyła się we wspomnieniach dawnych, dobrych czasów, kiedy to chadzano do teatru całymi „bandami”, a potem na kolację do „Lija” czy Simona i Steckiego, albo na koniak w „Oazie” lub „Adrii”. Żadna kobieta nie kupowała sobie sama biletu, a zwłaszcza jednego biletu. Tym bardziej jeśli mogła mieć tak dobrze utrzymane ręce, jak ta dziewczyna. Od razu widać, że nie zmywa garnków ani nie pierze pieluch. Nie uchowałyby tych paznokci jak u mandaryna, ani tak gładkiej, białej skóry. Ech... młodość, młodość...

I nagle pani Aura uświadomiła sobie, że na serdecznym palcu prawej ręki nieznamym dziewczyny dostrzegła bladą, ledwie widoczną bliznę. Jakby odbarwienie skóry w miejscu, które teraz zazwyczaj zakrywają ozdobne, wielkie, srebrne pierścienie. Nieważny szczegół, bez znaczenia dla chiromantki (tylko naturalne, wrodzone znaki na rękach się tu liczą), a przecież jej oku nie uszedł uwagi. Jeszcze nie tak źle z ta starością – pomyślała i byłaby zaczęła wspominać swą świetną wróżbiarską karierę, gdyby nie telefon, który przywrócił ją rzeczywistości. Zakłady Róży Luksemburg prosiły o zarezerwowanie stu pięćdziesięciu miejsc na Dzień Kobiet i powoływały się na jakąś ogromną korespondencję z dyrektorem, organizatorem widowiska i księgowością teatru. Ledwie udało się rozjuszonych producentów elektroniki spławić pod właściwy telefon, w okienku ukazały się znów kobiece ręce. Tym razem z legitymacją Spatifu.

– Proszę wejściówkę na dzisiaj – powiedział ktoś za szybą.

Pani Aura wypisała bloczek i... zaczęło się. Raz po raz brzęczał telefon, raz po raz ktoś domagał się biletów. Coraz inne ręce, głosy, daty, miejsca. Sztuka, wydarzenie ostatniego

tygodnia, szła kompletami, lawina zamówień do kasy narastała z godziny na godzinę.

Koło drugiej wszystko ucichło i pani Aura mogła już spokojnie likwidować swój „kramik” przed obiadową przerwą. Właśnie zamknęła szuflady, pozbierała drobiazgi i miała wychodzić, gdy zadzwonił telefon. Początkowo kusiło ją, by nie podnosić słuchawki, udając, że kasa już nieczynna, ale – spojrzała na zegarek, akurat za minutę druga – zwyciężyła skrupulatność.

– Kasa Teatru Otwartego – powiedziała do telefonu.

– Proszę pani, czy mógłbym zamówić bilet na niedzielę? – zapytał męski, lekko zachrypnięty głos.

– Nie przyjmujemy zamówień telefonicznych, proszę zgłosić się między dziesiątą a czternastą lub między szesnastą a dziewiętnastą. – Głos pani Aury był oschły i urzędowy. Że też ci ludzie nie mogą przyswoić sobie najprostszycy zasad.

– Tak... tak – z pospieszną gotowością przyświadczył zachrypnięty baryton – ale widzi pani, to taka zupełnie specjalna sprawa. Przyjeżdża ktoś spoza Warszawy, komu bardzo zależy... Właśnie na niedzieli... to starsza osoba, bardzo tu dawno nie była... Ja wiem, jaki to dla pani kłopot, ale proszę tylko zarezerwować bilet, sam wpadnę. Jeszcze dziś. Po południu.

Ta uprzejma natarczywość, a przede wszystkim odwołanie się do motywów rodzinno-sentymentalnych skłoniły panią Aurę do przełamania bariery niechęci.

– Chwileczkę – powiedziała – muszę sprawdzić w książce biletowej, jak jest z miejscami. – Odłożyła na bok słuchawkę i zaczęła otwierać szuflady, poszukując niedzielnej książki. Wreszcie znalazła potrzebny blok...

– Który rząd? – zapytała.

– Proszę pani – baryton zmatowiał prośbą i słodką uprzejmością – nie tylko rząd, ale i miejsce. Koniecznie dziesiąte w drugim rzędzie... – zawiesił na chwilę głos, po czym

dodał gwałtownie: – Nie chcę się rozwodzić dlaczego, ale naprawdę to musi być dziesiąte w drugim rzędzie... – po czym jakby reflektując się, że niczego siłą nie wskóra, dodał: – Ja bardzo panią proszę...

Przebiegła szybko wzrokiem kartki książki biletowej. Miejsce było wolne, ale wolne były również dwa boczne: dziewiątka i jedenastka. Jeżeli sprzeda środkowe, to co potem zrobić z jedynekami?

– Jest trudność – powiedziała – mam dwa miejsca wolne obok dziesiątki..

– A dziesiątka jest właśnie zajęta? – zaniepokoił się rozmówca.

– Nie, wolna, tylko jak mi pan to rozbije, to co ja zrobię potem z jedynekami? Niech się pan zdecyduje na dziewiątkę lub na jedenastkę.

W telefonie zapadła cisza, po czym nagle baryton powiedział prawie opryskliwie:

– To proszę wszystkie trzy! – I zaraz dodał zupełnie innym tonem: – Przyjdę po południu... albo przyślę córkę. Proszę do szóstej zatrzymać te bilety na nazwisko... Fiszer. I bardzo, bardzo pani dziękuję.

Cicho trzasnęła odkładana słuchawka.

Pani Aura zagięła trzy bilety, napisała na karteczce „Fiszer” i zabrała się do zamykania kasy.

Dyżur popołudniowy jest zawsze bardziej męczący niż ranny. Większy pośpiech, więcej ludzi i najgorsze ostatnie pół godziny przed spektaklem. Telefon nie przestaje dzwonić, a klienci za okienkiem stają się coraz natarczywsi i bardziej niecierpliwi.

Kiedy młyn rozkręcił się na dobre, wśród zmieszanych obcych głosów rozlegających się przed kasą dobiegł do pani Aury głos jakby skądś już znany. Kobięcy, miękki, trochę niepewny czy wylękniony:

– Ja jestem od pana Fiszera...

Jakiego Fiszera? Aura nie mogła sobie przypomnieć w pierwszej chwili, o kogo tu chodzi.

– W jakiej sprawie? – zapytała najoficjalniejszym z urzędowych tonów, przywykła, że wszyscy tu się na wszystkich powołują, od szatniarek poczynając, a na ministrze kultury kończąc.

– Miały być zarezerwowane bilety: drugi rząd miejsce dziesiąte i dwa boczne...

Ach, tak, teraz sobie przypomniła.

– Oczywiście, pani ojciec telefonował – wyrwała z książki różowe bloczki. – Sto dwadzieścia złotych... Na ostatnią premierę mamy podniesione ceny – dodała tonem wyjaśnienia.

Do kasy przez niewielki otwór wsunęły się odliczone pieniądze. Pani Aura wydała bilety.

– Ojciec prosił, aby to pani zostawić z podziękowaniem – powiedziała niewidoczna dziewczyna i wsunęła podłużne pudełko holenderskich czekoladek. Ręka, która podawała prezent, była biała, o ciemno polakierowanych paznokciach, wypielęgnowana i naprawdę ładna. Tylko... tylko na serdecznym palcu, tam, gdzie zwykle dziewczęta noszą wielkie srebrne pierścienie, widniał błydy znak podłużnej blizny.

– Proszę pani – zawołała pani Aura – ja nie przyjmuję żadnych prezentów... – i nie bacząc na obowiązujące przepisy zerwała się, otworzyła drzwi od kasy i wyrzała do hallu. Kilkanaście osób stało przed jej okienkiem, parę kręciło się w głębi, była jednak pewna, że wśród nich nie ma już dziewczyny z blizną na serdecznym palcu.

Nie, nie myliła się. To była na pewno ta sama ręka. Ta sama, co rano. I to samo miejsce.

Na stoliku, między książkami biletowymi leżało barwne, eleganckie pudełko zagranicznych czekoladek, przewiązane różową wstążką.

EUROMOTEL

Przy drodze z centrum Amsterdamu w kierunku na Utrecht, obok ruchliwej autostrady E-9, którą przevalają się setki tysięcy samochodów, ulokował się jeden z moteli kontynentalnej federacji EMF: „Euromotel”. Przedsiębiorstwo przeznaczone nie dla bogatej publiczności, lecz zwykłych, lubiących czystość, porządek i pseudokomfort urlopowiczów, wafłaszających się z kraju do kraju przez trzy tygodnie w roku, aby zaliczyć kolejne tury z tomików Baedekera czy Michelin. Za umiarkowaną cenę Euromotel służył czystymi i obszernymi pokojami (z prysznicem), śniadaniem i miejscem parkingowym. Czegóż więcej trzeba, by zapewnić sobie maksymalny obrót i stały tłok na sali jadalnej?

Dwaj panowie, siedzący przy niewielkim, ustawionym pod oknem stoliku, za którym w dali majaczyły odległe budynki Schipholu, dopijali właśnie poranną kawę, zagryzając ją rogalikami posmarowanymi pomarańczowym dżemem. Nie byli zbyt rozmowni, każdy zdawał się pogrążony w swoich myślach i bezstronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że spotkali się tu przypadkowo, że jedynie wspólny stół w zatłoczonej jadalni połączył ich na te pół godziny. Kiedy kończyli jeść, na salę wlała się nowa fala gości. Widocznie wyładowano jakiś zapchany po brzegi autokar, pozwalając zmęczonym globtroterom tu właśnie pokrzepić nadwątlone długim przejazdem siły. Ludzie zajmowali w pośpiechu miejsca, przekrzykując się wzajem, czyniąc różnojęzyczny rejwach i zamieszanie. Kiedy cały ten międzynarodowy galimatias dochodził szczytu, starszy z panów nachylił się nieco ku młodszemu i zapytał:

- No, więc jak?
- Zaczęliśmy – odpowiedział czterdziestoparoletni,

ciemnowłosy dżentelmen o brutalnej twarzy ozdobionej bok-
serskim nosem. Przypominał na pierwszy rzut oka znakomite-
go odtwórcę niezliczonych ról gangsterskich – Lino Venture.

– Na całą parę? – dopytywał się srebrnowłosy pan o syl-
wetce podstarzałego adwokata lub nobliwego dyrektora banku.

– Nie, tylko próba. Żyjemy w innej epoce, ryzyko elimi-
nuje się poprzez eksperyment.

– Jak to ryzyko?

– Próbę prowadzimy na atrapach. Idealnie przygotowa-
nych, tylko... tylko bez... – tu zatrzymał się, jakby nie mogąc
znaleźć właściwego terminu – ...bez farszu.

– Nie rozumiem – indagował tamten.

– Najpierw sprawdziliśmy technicznie „kontenery”. Nasz
histeryczny włoski przyjaciel wykonał zadanie bezbłędnie. Są
to podłużne, piętnastocentymetrowe kapsuły o prostokątnym
przekroju, sporządzone z plastyku o szczególnych właściwo-
ściach: lekki, niełamliwy, nie przepuszcza światła, no i co
najważniejsze, są pakowane hermetycznie. Na każdą kapsułę
można nałożyć dwie opaski gumowe, sporządzone w dwu
wersjach: magnetycznej i kleistej. W pierwszej do gumy jest
umocowany rodzaj guzika – płytka silnie namagnesowanej
stali, w drugiej pokrywa się opaskę warstwą klejącą. Pozwala
to przytwierdzać pojemniki do ścianek schowków lub łączyć
je w większe bloki.

– I rzeczywiście są niezawodne?

– Tak! Jeden taki pojemnik z opaską magnetyczną prze-
jechał całą trasę Orient-Expressu pod lokomotywą, drugi zaś,
przyklepiony do dna małego żaglowego jachtu, odwiedził
wszystkie porty Włoch i Jugosławii. Nasi eksperci stwierdzili
ich zupełną nieprzepuszczalność, nie mówiąc już o wytrzyma-
łości na wstrząsy, temperaturę i wszystko, co może się zda-
rzyć.

– Jeśli to jest rzeczywiście takie dobre, to myślę, że

technologia produkcji powinna przejść na naszą wyłączną własność. Trochę się lękam, że nasz włoski partner zechce w pewnej chwili wykorzystać swą monopolistyczną sytuację w dziedzinie zaopatrzenia.

– Tak, myślałem o tym, ale na razie musimy pozwolić mu rozkręcić produkcję i uspokoić nerwy. Nie jest specjalnie opanowany.

– Tym gorzej dla nas.

– Transport produkcji w pojemnikach odbywać się będzie w cysternach. Jest takie tureckie przedsiębiorstwo, wożące tanie wino stołowe do Szwecji, trasą przez Bułgarię, Węgry, Polskę – potem promem przez Bałtyk...

– Zakazaliśmy panu korzystać z promów – przerwał ostro starszy pan.

– Zakaz będzie ściśle przestrzegany. Cysterna nie wchodzi na prom w ogóle. Wino przetacza się jeszcze w Polsce na wozy szwedzkie, które zabierają je promem do Ystad. Turcy wracają z powrotem...

– A nasz towar?

Mięsista twarz przypominająca Lino Venture zakrzępla na moment.

– Wybacz pan, dyrektorze, ale to już detale techniczne, niech pan będzie spokojny – rzecz zostaje na miejscu. Zdejmujemy ją bez ryzyka i przesyłamy na punkt wymiany.

– Gdzie?

– W Polsce, oczywiście...

Starszy pan chciał o coś zapytać, ale się wstrzymał. Zwrócił się do rozmówcy:

– No i co dalej?

– Dalej to sprawa nitki zachodniej.

– Więc kiedy zaczyna pan pełną parą? Klienci się niepokoją.

– Za dwa tygodnie będziemy gotowi.

– Dwa tygodnie... – zachnął się starszy pan – nie ma pan sumienia, taka masa pieniędzy. Pracujemy na samych kosztach.

– Teraz, ale potem...

Od Schipholu nadlatywał jumbojet czyniąc tak piekielny hałas, że w ogóle już nie było można zamienić słowa. Starszy pan podniósł się, kiwnął głową młodszemu i odchodząc rzucił jakby mimochodem:

– Reszta zwykłym trybem.

Wycieczka autokarowa kończyła właśnie śniadanie i zbierała się do wyjścia, wzniesając ponowny rozgardiasz. Sobowtór Lino Ventury wstał, przeszedł przez recepcję, wyszedł na dwór, skręcił w prawo i po schodach dostał się na obiegającą tę część motelu galerijkę. Szedł wolno myśląc o ostatniej rozmowie. Czego właściwie chciał starszy pan? Chciał dowiedzieć się więcej, niż potrzebował, ale czemu? Przecież te szczegóły nie miały żadnego znaczenia dla nich, tutaj. Ich sprawą było zorganizowanie sprawnego odbioru z jego punktu zerowego i nic więcej. Ryzyko ponosili równie: oni finansowe, on ryzykował sobą. A może stary lis chciał się przekonać, czy to on właśnie nie wie więcej niż powinien?

Wreszcie doszedł do swoich drzwi. Otworzył, wszedł z przyzwyczajenia ostrożnie, zostawiając sobie wolny odwrót. Pokój wyglądał zwyczajnie. Nikt tu niczego nie ruszał, w niczym nie grzebał. No, chwała Bogu, można szybko spakować walizkę, zapłacić rachunek i jechać na lotnisko. Samolot do Warszawy odlatywał koło jedenastej. W południe będzie na miejscu.

BLINY Z KAWIOREM

Niewielki stolik rozdzielał dwóch dobrze ubranych panów. Spoglądali na siebie uważnie, z napięciem

i ledwo skrywaną nieufnością. Starszy, o grubo ciosanych rysach i po boksersku złamanym nosie, zdawał się być pewniejszym sytuacji i przynajmniej część swjej uwagi poświęcał blinowi obficie polanemu śmietaną i posmarowanemu czarnym, astrachańskim kawiozem. Drugi niemal machinalnie grzebał widelcem po talerzu, jakby nie bardzo wiedząc, co się tu dzieje, skąd znalazł się w tym zacisznym, ekskluzywnym lokalu w towarzystwie krępego cudzoziemca. A przecież fakt, że o tej porze dwóch panów przyjechało samochodem do Kuźni Królewskiej, pod bokiem wilanowskiego pałacu, na osławione bliny z kawiozem, nie był w końcu ani czymś zdrożnym, ani tym bardziej zaskakującym. Jadano tu dobrze i drogo, restauracja stanowiła jeden z ulubionych lokali „nadmierzanych” obcokrajowców i miejsce cichych, półoficjalnych spotkań przy śniadaniach, poświęconych dopinaniu zagranicznych kontraktów, umów i transakcji.

– Obawiam się, że zaskoczył pana nieco mój telefon, mi-ster Zaręba – mówił po angielsku starszy z panów. – Pan Jellinek z Wiednia dał mi pański adres i poradził skontaktować się z panem, gdy będę w Warszawie...

– O... z panem Jellinkiem nie widziałem się bardzo dawno – próbował uciąć młodszy, mówiący słabiej po angielsku, z właściwym Słowianom twardym akcentem.

– Tak, być może, ale pan Jellinek pamięta pana doskonale i polecił mi pana...

– Polecił? Jak to: polecił? – zaniepokoił się młodszy.

– Powiedział wyraźnie: jeżeli będziesz potrzebował kogoś zaufanego w Warszawie, zadzwoń do Zaręby.

– Miło mi, że tak to sformułował, ale doprawdy nie wiem, w czym mógłbym panu pomóc? Moja znajomość z panem Jellinkiem należy właściwie do odległej przeszłości...

– Co pan powie? – zdziwił się cudzoziemiec. – A on twierdził, że panowie prowadzicie jakiś interes.

– Żaden interes, zwykła wymiana grzeczności.

– Zdaje się, że samochody, prawda? – ciągnął nie zrażony protestem cudzoziemiec.

– Kiedyś rzeczywiście pomógł mi nabyć okazji wóz...

– Okazujnie? Chyba nie była to zła okazja?

– Może – uciał młodszy i postanowił szybko zakończyć tę niewygodną rozmowę. – Ale czy mógłbym wiedzieć, co to pana właściwie obchodzi?

– Wie pan co, opowiem panu pewną zabawną historyjkę. Usłyszałem ją właśnie w Wiedniu. Otóż wybrał się tam przed kilku laty pewien młody i niedoświadczony chłopak z pańskiego kraju. Chciał zrobić interes. No, nie taki znów wielki, ale zawsze trochę forsy. A ponieważ był młody, niedoświadczony, a w dodatku miał okropnego pietra, więc postanowił przewieźć nieco pieniędzy: dolarów czy szylingów w takim schowku, którego nikt mu na granicy nie znajdzie. I wyobraź pan sobie, włożył te kilka papierków – cały swój majątek – między dętkę i oponę tylnego koła. Włożył i pojechał. Kiedy przekroczył szczęśliwie wszystkie granice i znalazł się na miejscu, zdjął lewe tylne koło, ostrożnie wyjął dętkę i zobaczył garsteczkę proszku – wszystko, co pozostało z jego kapitału. Temperatura, tarcie – sam pan rozumie – zrobiły swoje...

– Do czego pan prowadzi? – syknął młodzieniec przez zaciśnięte zęby. Był błady i mięśnie wyraźnie wystąpiły mu na szczękach.

– Nie, to głupstwo, to dopiero początek. Nieszczęśnik znalazł się, jak to u was mówią, na lodzie. Ale w Wiedniu jest wielu uczynnych ludzi. Miał szczęście, natrafił na jednego z nich. Ten dał mu na kredyt niewielką partię towaru. Miękki

towar, jakieś poszukiwane tekstylia, czy imitację skóry, a może autentyczne krokodyle, bo ja wiem?... Dość, że można było to zwinąć i wpakować w rozprutą dętkę od samochodu. Potem dętkę delikatnie, lecz starannie skleić, założyć do zapasowego koła, napompować – i w drogę! Powrotną. Na parę kilometrów przed granicą wymieniano się koło na zapasowe, przejeżdżało spokojnie kontrolę celną, robiło znów parę kilometrów, powolutku, bez nerwów, aby znów wymienić koła. I tak na każdej granicy. Do Polski było ich zaledwie dwie. Kiedy nasz młodzian dojechał w końcu do Warszawy, mógł spokojnie rozpruć dętki, wyjąć co trzeba i dostarczyć, gdzie mu polecono. O pieniądze nie musiał się martwić, prowizja czekała w Wiedniu.

Młodzieniec upodobał sobie trasę Warszawa – Wiedeń do tego stopnia, że zwrócił uwagę celników. Przerzucił się więc na drogę okrężną przez Budapeszt, ale i to nie pomogło. Nikt nic nie znalazł, ale zaczynało być ciepło. Wreszcie pewnego razu nasz milusiński wziął większą partię drogiego towaru, podjął zaległą prowizję i... więcej się w Wiedniu nie pokazał. Zafatwił swego dobroczyńcę. Na własną rękę opchnął wszystko w Warszawie...

– Interesujące, ale dlaczego właśnie mnie pan to mówi?

– Bo pan Jellinek, niepoprawny romantyk, jak wszyscy Austriacy, powiedział, że mogę mimo wszystko do tego młodego człowieka mieć zaufanie...

– Wypraszam sobie – Zaręba podniósł nagle głos, który zabrzmiał śmiesznym falsetem – to przekracza granice...

– Mogę mu zaufać – ciągnął nie zrażony cudzoziemiec – ponieważ Jellinek oświadczył, że o ile ten młodzieniec mi teraz nie pomoże, to Urząd Celny w Warszawie i polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych otrzymają bardzo interesujące informacje...

- Informacje? Jakie tam informacje!
- Parę taśm magnetofonowych, trochę zdjęć i terminarz podróży. I – niech pan się nie denerwuje – nikomu prócz młodego człowieka to nie zaszkodzi, bo pozostali kontrahenci pana Jellinka dawno już wyjechali z Warszawy.

Zapadła cisza. Cudzoziemiec z apetytem powrócił do blinów, dobierając jeszcze łyżeczkę kawioru.

– Więc czego pan chce? – prawie szeptem zapytał młody człowiek.

– Bardzo niewiele. Chcę panu pomóc zrehabilitować się i zarobić trochę pieniędzy, bo, o ile wiem, z tamtego skoku już niewiele pozostało. A chyba nie chciałby pan sprzedawać swego wozu. Co?

Zaręba milczał, błady i wpatrzony w blin, jakby to był nie kawałek ciasta, ale grzechotnik polany śmietaną.

Starszy pan pochylił się nad stołem i zaczął wytrwale przedkładać coś swemu towarzyszowi. Tamten raz czy dwa razy zadał pytanie, potem znów słuchał. Wreszcie cudzoziemiec wstał, poszedł do szatni, by zaraz wrócić z atlasem samochodowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dał go młodszemu, po czym zawołał kelnera. Rachunek był równie słony, jak suty napiwek. Wreszcie panowie opuścili lokal. Rozchodząc się przed parkingiem, podali sobie ręce i wtedy starszy powiedział bez nacisku, ale twardo i rozkazująco:

– Za dziesięć dni, trzydziesty piąty kilometr.

Młodszy kiwnął tylko głową i niemal pędem rzucił się w kierunku czerwonego, trochę już wysłużonego porsche'a. Kiedy samochód ruszył, cudzoziemiec wolnym krokiem skierował się do przystanku autobusowego.

EMERYTKA

Kasa biletowa to takie dziwne miejsce w teatrze, w którym zbiegają się nie tyle może najżywotniejsze interesy przedsiębiorstwa (jakiż teatr żyje dziś z biletów?), ile najświeższe plotki, ploteczki i sensacyjki. Tu wiadomo najwcześniej, jak powiodła się premiera, stąd można się dowiedzieć, co powiedział na prasówce recenzent „Życia” recenzentowi „Trybuny”, dlaczego redaktor Miller wyszedł wcześniej, a redaktor Sutkowski nie pojawił się w ogóle. Tu odkrywa się pierwsze symptomy zapowiadających się romansów i kolejnych rozwołów, tu wiadomo, czemu ktoś występuje w Telewizji, a inny nie i kogo wyleli (lub wyleją) na Woronicza.

A jeżeli dodać do tej ogólnej reguły osobowość pani Aury, nie tylko chiromantki z powołania (i wykształcenia), ale także osoby o nieprzeciętnych talentach towarzyskich, ujmującej, miłej, przyjacielskiej i dowcipnej – trudno się dziwić, że kasa Teatru Otwartego była właściwie jego sercem. Dusza, mózg i nienasycony brzuch znajdowały się gdzie indziej, ale serce tylko tu, za matową szybą pani Aury.

Poniedziałki to dni spokojne. Teatr nie gra, aktorów brak, w kasie nie bardzo jest czym handlować, więc przed jej szklanym progiem panowała wyjątkowa pustka. Około jedenastej pani Aura skończyła właśnie omawiać telefonicznie ostatni skandal konkurencyjnego przedsiębiorstwa (dyrektor po raz trzeci zmienił żonę na młodszą, tym razem na młodszą od swej młodszej córki), kiedy w okienku pojawiła się stara, trzęsąca się ręka, pomarszczona i solidnie zniszczona, zbrojna w emerycką legitymację.

– Proszę pani – doszedł uszu pani Aury słabiutki, drżący głos – chciałam panią poprosić o bilet... Jestem rencistką i bardzo mi na nim zależy...

Pani Aura, sama już bliska emerytury – poderwała się z pełną gotowością usłużenia.

Należała przecież do pokolenia, które szanowało wiek sędziwy.

– Oczywiście, proszę bardzo, tylko na kiedy? – zapytała najśłodziej, jak mogła.

– Na dziś, oczywiście na dziś, droga pani... I koniecznie w drugim rzędzie, dziesiąte miejsce...

– Dziś jest poniedziałek i teatr nie gra – usprawiedliwiała siebie, dyrekcję, aktorów i Polskę Ludową pani Aura. – Jutro, dopiero jutro może pani przyjść.

– Jutro? – zadumała się staruszka. – Ale czy to będzie dobrze?

– Ten sam spektakl co wczoraj. Od tygodnia gramy to samo.

– No, niech tam. Może i jutro... – klientka nie była pewna. – Tylko, żeby w drugim rzędzie dziesiąte miejsce.

Pani Aura zajrzała do książki biletowej i grzebiąc między różowymi bloczkami, nagle przypomniała sobie, że przed paru dniami ktoś się dopominał o tę samą dziesiątkę w drugim rzędzie najpierw na sobotę, a potem na niedzielę. Co się dzieje? Czy ludzie poszaleli? Czy stamtąd widać coś szczególnego? Wiedziała, że kiedy w Dramatycznym wystawiano „Na czworakach” Różewicza w reżyserii Jarockiego, który wprowadził do jednej ze scen striptiz, starsi i najmłodszy panowie wykupywali wyłącznie parę wybranych miejsc, z których można było dokładniej obserwować rozneglizowaną panienkę. Ale u nich w „Otwartym” nikt nic takiego nie robił. Sztuka bez rozbiórki, klasyczna i awangardowa zarazem. Recenzje wynosiły ją pod niebiosa, a publiczność nic nie rozumiała, wobec czego rzecz miała powodzenie.

Po dłuższym szperaniu okazało się, że wprawdzie w dwójce

dziesiątka jest sprzedana, ale za to jedenastka wolna. W dodatku dziesiątkę kupił pewien początkujący aktor dla swojej dziewczyny i kazał bilet przepisać na zaproszenie, żeby wyglądało, że ma prawo do wydawania zaproszeń, jeżeli nawet jeszcze nie ma prawa do grania tytułowych ról. Otóż pani Aura, molestowana przez emerytkę o drżącym głosiku (ależ ci starsi ludzie są uparci, jak dzieci. Czy i ja kiedyś taka będę? – zapytywała samą siebie pani Aura) przyrzekła jej, że dokona wymiany miejsca i sprzedała jej jedenastkę, zaznaczając zmianę numeru na dziesięć. Wreszcie, obsypana błogosławieństwami i dziękczynieniami, została sama, a starowinka postukując laseczką powędrowała ku wyjściu.

Teraz trzeba było dokonać całego skomplikowanego virement.

Ileż to razy pani Aura wyrzucała sobie swą nazbyt pośpieszną, choć jakże ludzką, kobiecą życzliwość i gotowość niesienia pomocy. Zawsze bez skutku. Gdy tylko zdarzyła się następna okazja, musiała napętać sobie całej lawiny zbędnych kłopotów.

Zaczęła od poszukiwania przez sekretariat pana Rysia, który kupił nieszczęsną dziesiątkę dla swojej dziewczyny. Pan Rysio był w Telewizji, gdzie próbował jakiś ogon w kolejnym serialu. Po trzech kwadransach telefonowania wywołano wreszcie pana Rysia z próby. Wtedy pani Aura musiała mu wytłumaczyć dokładnie, o co chodzi, wysłuchać jego pretensji, że mu zawraca głowę, odrywa od pracy twórczej, bo ona może nie wie, ale rolę buduje się... itd. Wreszcie pan Rysio udobruchany różnymi czarami, w czym pani Aura była niezrównana – jak wszystkie wróżki – powiedział, że przyjdzie jutro rano i wymieni zaproszenie, bo i tak jeszcze nie dał go dziewczynie. A w ogóle emerytki nie powinny włączyć się po teatrach, tylko siedzieć przed telewizorami.

Zażegnawszy burzę, pani Aura przygotowała nowe zaproszenie dla dziewczyny pana Rysia, włożyła je do koperty i pogrzyżyła się w lekturze przedwojennego podręcznika o me-tapsychice. Na froncie teatralnym panował spokój.

Tylko koło pierwszej zadzwoniono z hotelu Forum z zapytaniem, czy rzeczywiście „Otwarty” dziś nie gra, ponieważ jeden z gości chciał się wybrać na spektakl. Naprawdę zupełny skandal, żeby największy, a w każdym razie najdroższy hotel w stolicy nie wiedział, że w poniedziałek jest dzień wolny i nikt poza Syreną i Operetką w Warszawie nie gra. Chyba wyjątkowo...

We wtorek rano pani Aura wymieniła panu Rysiowi zaproszenie i wszystko zdawało się zapowiadać szczęśliwe zakończenie kwestii miejsca numer dziesięć. Emerytka miała co chciała, Rysiowa dziewczyna właściwie też. Kasjerka powinszowała sobie, że tym razem jej dobra wola służenia bliźnim wydała właściwe owoce. Niestety, w podobnym mniemaniu pozostawała zaledwie do środy. W środę bowiem o dwunastej – właśnie była przerwa w próbach – zjawił się przed kasą pan Rysio, a pech chciał, że rajcowały tam z panią Aurą jeszcze dwie koleżanki, w tym ta okropna plotkara od organizacji widowni – Krystyna, i zaczęło się.

– No, teraz już wiemy, jak wyglądają pani emerytki – zaczął pan Rysio. – Wymienia się bilety dla staruszek, wrywa aktorów z telewizji, bo biedna starowina szuka dobrego miejsca, wykurza mi się dziewczynę i co?

– Co, co takiego? – nie wytrzymała Krysia.

– Nic, zamieniłam z panem Rysiem bilet dla jednej emerytki – próbowała się z godnością bronić pani Aura.

– Emerytki? – szalał z radości pan Rysio – emerytki...! Tylko że w spodniach i niewiele ponad czterdziestkę. Widać pani emerytka bardzo odmłodziła na naszym spektaklu. I w

ogóle była to jakaś emerytka eksportowa. Za walutę wymiennalną, wprost z PeKaO...

– Co też pan wygaduje? – pani Aura była tyleż oburzona, co zaniepokojona. Gdyby nie ta Krystyna, która zaraz rozpadła, że ona, Aura, robi tu jakieś machinacje biletowe, cała sprawa byłaby warta śmiechu.

– No tak – perswadował teraz już spokojniej pan Rysio – Jola powiedziała mi, że po jej lewej stronie siedział jakiś cudzoziemiec. Barczysty brunet. Nawet wcale, wcale. Bardzo podobny do jednego aktora filmowego... tylko zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, którego. Do Francuza czy Włocha....

Pani Aura zamarła. Co się dzieje? Trzęsące ręce i legitymacja staruszki, parę dni wcześniej telefon tego pana o niemieckim nazwisku i dwa razy ręce tej samej dziewczyny, a wszystko o jedno miejsce... Przez dwadzieścia lat jej kasjerkiej kariery nic podobnego się nie wydarzyło.

Rysio z panią Krysią oddalali się już w kierunku bufetu. No, tam już sobie oplotkują ten wypadek i ją – Aurę.

BONY BANKU PEKAO

Kończył się marzec i społeczna inicjatywa budowniczych jachtu „Melpomena” nabierała rozmachu, kiedy nagle i niespodziewanie zjawił się u dyrektora Wiśniewskiego (z nieodstępnym jak zwykle „Napoleonem”) pan Waldemar Pyra. Jowialny, optymistyczny i skory do wylewnej życzliwości. Panowie pogawędzili o wszystkim i o niczym, obgadali, co było do obgadania, a wreszcie powędrowali do malarni. Było na co popatrzeć. Całą długość ogromnej hali zajmował smukły kadłub budowanego jachtu. Była to piękna, rasowa jednostka, niewielka może jak na przestwór oceanów,

lecz gigantyczna w teatralnym warsztacie. Kadłub podparty rusztowaniami lśnił już pierwszą warstwą wodoodpornych, zagranicznych lakierów, które po umiarkowanych cenach dostarczył jeszcze jesienią nieoceniony pan Pyra.

W malarni, z której nolens volens musieli się wyprowadzić malarze (teraz dekoracje malowano w godzinach nocnych wprost na scenie, co było może nieco kłopotliwe, ale za to podwójnie płatne), o tej porze panowała cisza, spokój i jakiś podniosły nastrój. Panowie z podziwem patrzyli na społeczne dzieło, aż wreszcie niepoprawny marynista pan Waldemar Pyra nachylił się do dyrektora Wiśniewskiego i szepnął mu konfidencyjnie:

– Jest amator!

Dyrektor spojrział bystro na rozmówcę i stwierdził, że ogarnia go coś na kształt miłego, łagodnego ciepła.

– Poważny facet – ciągnął Pyra – i zgadza się poczekać do końca sezonu... – tu zawiesił dla większego efektu głos – i połowę płaci w „dolcach”.

Wiśniewski pomyślał, że to i dobrze, i źle, ale nie wiedział jeszcze, jak zareagować. „Zielone” to zawsze „zielone” – rozumował – ale branie takiej forsy w walucie, dzielenie między ludzi, rozliczanie, kursy... no, to już lepszy kryminał. I wpadunek łatwiejszy. Kto tu utrzyma język za zębami? Dotąd wszystko było prawie legalnie, a ile gadają...

– Nie chciałbym się w to łądować. Czysta sprawa to czy sta sprawa, a tak zaraz się zacznie.

– Co ma się zacząć? – spytał konkretnie pan Pyra.

– Gadanie. Za dużo ludzi do podziału, nie ukryje się tego interesu...

– Kogo za dużo? Ludzi? A kto panu każe dzielić walutę między ludzi? Ja mówiłem o naszej części. My bierzemy w dolarach. Po dobrym kursie... dziesięć punktów niżej notowania – dodał. – Załoga, jak załoga: nie będziemy demoralizowali

naszego ruchu związkowego.

Dyrektor Wiśniewski zamyślił się głęboko. No, w takim razie propozycja stawała się interesująca, a nawet chwytliwa...

– Tylko jest jeden warunek – ciągnął przyciszonym głosem Pyra – klient chciałby mieć wbudowanych kilka zamaskowanych pojemników. Wie pan, ci nadziani faceci są cholernie skąpi przy ciele. Lubi sobie starszy pan czasem coś przewieźć. Nic groźnego, takie dziecinne hobby...

Gdyby ludzkie uszy mogły się wydłużać w miarę wzrastania ciekawości słuchającego, to organy słuchu dyrektora Wiśniewskiego osiągnęłyby rozmiary króliczych. A więc to tak? Premia w dolarach za szmuglerskie skrytki. No, nie, tego trochę za wiele. Przecież to już nie ryzyko, ale czyste szaleństwo.

– Nie wiem, o co panu chodzi – powiedział zimno Wiśniewski – ale myślę, że klient, o którym pan wspomina, nie będzie nas interesował. Możemy pomóc sportowcom, ludziom morza, żeglarzom, jak my – zapalał się świętym oburzeniem – ale nie jakimś podejrzanym facetom od kontrabandy...

Pan Pyra nie odrzekł nic, westchnął i powolnym krokiem opuszczał malarnię. Za nim dumnie wznosiła się podparta rusztowaniami śmigła „Melpomena”, wyższa ponad brudne interesy szajki przemytników.

Kiedy jednak panowie znaleźli się z powrotem w gabinecie dyrektora Wiśniewskiego i rozlano ponownie „Napoleona”, z wolna zaczęła wracać atmosfera towarzyskiej życzliwości. Wreszcie rumiany i jowialny marynista zabrał się do wyjścia. Panowie uścisnęli sobie serdecznie dłonie, kropnęli „strzeżmiennego” i już... już gość przestępował próg, gdy nagle zatrzymał się i rzekł nieśmiało:

– Ach, wie pan – jest taki niemiły drobiazg, omal że nie zapomniałem o nim... Głupstwo zupełne, ale...

- Co takiego? – zaniepokoił się dyrektor Wiśniewski.
- Zeszłej jesieni pożyczył pan bony...
- Tak, pamiętam – półtora tysiąca dolarów...
- Otóż to, otóż to... To nie były moje bony, tylko jednego pana i teraz mu są na gwałt potrzebne.
- Teraz? To znaczy kiedy? Przecież w zimie wspominał pan, że to nie takie pilne...
- Zima zimą, drogi dyrektorze. Bony są potrzebne na jutro. Przyjdę do pana.

I szybko zamknął drzwi za sobą. Wiśniewski osunął się na rozłożysty dyrektorski fotel.

Kiedy ochłonął, zrobił to, co czyni każdy w kryzysowych sytuacjach: chwycił za telefon. Wydzwaniał do przyjaciół, znajomych i kumpli. Najpierw żeby dowiedzieć się o bony, potem o gotówkę. Akurat Monika – ostatni i najmłodszy rocznik wśród kolejnych żon dyrektora – wymogła na nim wycieczkę do Hiszpanii, za którą właśnie wczoraj wpłacił do Orbisu równo dwadzieścia osiem tysięcy złotych polskich, a tu taki klops. Ponieważ jednak nieszczęścia nie lubią samotniczej egzystencji, więc po pierwsze okazało się, że w zeszłym tygodniu bony skoczyły na stołecznym rynku o pięć punktów w górę, a po drugie, jakoś nikt z dyrektorskich przyjaciół nie miał zbywających stu czterdziestu tysięcy złotych.

Koło czwartej Wiśniewski był spocony, blady i roztrzęsiony do tego stopnia, że dopił „Napoleona” wprost z butelki, bez pośrednictwa kieliszka. Skoro ciepło rozeszło się po całym ciele, a świat wydał się mniej okrutny i wrogi, dyrektor zaczął obliczać, ile forsy może zmobilizować. Nie zapominając o pożyczce związkowej, chwilówce, opróżnieniu konta w PKO i doliczając drobne kwoty od przyjaciół, doszedł do dwudziestu trzech tysięcy sześciuset złotych. Była to nawet nie jedna

piąta potrzebnej sumy. Ale cóż robić, postanowił przynajmniej tym zatkać Pyrze gardło.

Resztę dnia dyrektor Wiśniewski poświęcił zbiórce, której jednak nie dokończył z uwagi na tryb pracy kasy związkowej, nieobecność swego szefa – dyrektora Marczewskiego oraz kilku przyjaciół, obliczanych na „kopernika” każdy. Saldo dyrektorskie nazajutrz w godzinach rannych wynosiło zaledwie piętnaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt złotych.

– Z czym do gościa? – pomyślał, gdy w drzwi jego gabinetu wkraczał jowialnie uśmiechnięty Waldemar Pyra – marynista.

Rozmowa obu panów trwała długo. Dyrektor Wiśniewski zapowiedział nawet sekretarce, aby go z nikim, ale to absolutnie z nikim nie łączyła, że go nie ma, przepadł, wyjechał – niech mówi zresztą co chce, byle mu dała spokój. Płynęły godziny, gabinet wypełniał się coraz gęstszymi kłębam dymu, aż wreszcie – było już chyba koło trzeciej – Waldemar Pyra, serdecznie uściskawszy dyrektorską prawicę, wreszcie wyszedł. Na biurku pozostał rulon jakichś rysunków, wykreślonych tuszem na kalce technicznej, a w portfelu dyrektora obok nienaruszonej gotówki tkwił bilecik do niejakiego Miguela de Branco da Silva w Barcelonie z uprzejmą prośbą, aby pani Monice Wiśniewskiej wypłacił równowartość stu dolarów w pesetach.

Budowniczych „Melpomeny” czekały dodatkowe, niełatwe zadania konstrukcyjne.

COSAG COMPANY

Sala konferencyjna Centrali była tak zadytmiona, że jedynie z trudem rozróżniało się siedzące przy długim stole sylwetki obradujących. Nie było ich zresztą wielu. Po jednej stronie trzech Kanadyjczyków, po drugiej pięciu

Polaków. Tkwili tu już od kilku dni, z krótkimi przerwami na sen i posiłki, nie wyjmując, zdawałoby się, papierosów i cygar z ust. Rokowania szły opornie. Zawsze tak bywa z nowym, nieufnym klientem.

Trzej Kanadyjczycy reprezentowali nieznaną na polskim rynku firmę COSAG (Canadian Organisation of Sports and Games) Company, zajmującą się handlem sprzętem sportowym, maszynami do gier i takim tam rozrywkowym chlłmem. Zwabieni powodzeniem swych amerykańskich kolegów, którzy zbijali wcale dobre pieniądze na imporcie polskich wózków golfowych o elektrycznym napędzie, postanowili i na własnym terenie spróbować tego towaru.

Po tygodniu Kanadyjczycy przedłożyli listę swych żądań i propozycji. A więc przede wszystkim proponowali zawarcie umowy sondażowej na rok, czyli czas, w którym obie strony będą mogły ustalić najkorzystniejsze, najbardziej opłacalne i efektywne warunki współpracy, rozeznac potrzeby rynku i – co było dla Kanadyjczyków sprawą numer jeden – ustalić prawidłowy harmonogram dostaw. W okresie próbnym oznaczonego dnia każdego miesiąca opuszczało Polskę trzydzieści sprawdzonych na miejscu, odebranych przez przedstawiciela COSAGu wózków elektrycznych. Miały one podróżować drogą morską na frachtowcach kanadyjskich lub amerykańskich. Strona polska nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za transport. Wózki miały być przyjmowane loco Warszawa i plombowane przez rzeczoznawcę COSAGu.

Za to wszystko, o ile oczywiście polski producent zgodzi się na dokonanie kilku niezbędnych zmian technicznych, Kanadyjczycy oferowali kwotę o dziesięć procent wyższą niż Amerykanie. Oferta była więc bardziej niż ponętna, szczególnie, że żądane zmiany techniczne nie stanowiły poważnego problemu. Chodziło o produkowanie wózków w kilku wariantach kolorystycznych oraz o powiększenie pomieszczenia na

akumulatory przez dodanie jeszcze jednego miejsca. Ustalono, że będzie tam instalowany dodatkowy akumulator. Kazano także założyć dodatkowe, ruchome reflektory do oświetlania terenu, co miało ułatwiać pracę na polu golfowym przy zapadającym zmierzchu.

Można było wreszcie wywietrzyć salę i oblać parafowane warunki umowy na kolacji w „Adrii”. Kilkanaście tysięcy rachunku za skromne raczej przyjęcie poszło w koszty transakcji.

I nikt nie mógł wtedy wiedzieć, łącznie z uparciuchami z Toronto, o jak poważny interes idzie tu naprawdę, o jakie pieniądze...

USŁUGI DLA LUDNOŚCI

Jan Doliński – elektryk, mistrz w rzemiośle z dziada pradziada, znalazł się w trudnej sytuacji. Może jeszcze nie krytycznej, ale więcej niż kłopotliwej. Jego warsztat „Ładowanie akumulatorów, elektrodiagnostyka, ustawianie zapłonów – usługi dla ludności”, od pierwszych lat powojennych prosperujący w okolicach Chłodnej, musiał ustąpić kolejnej wielkopłytowej budowie. Jana Dolińskiego po prostu wyrzucano z jego przytulnych ruinek i rozległego placu, wskazując na dalekich Jelonkach miejsce na rekonstrukcję placówki. Od czego tu zacząć i ile w to włączyć forsy, aby zaczęło działać? I czy warto? Kto tu przyjdzie szukać usług dla ludności? Studenciaki z drewnianych akademików po budowniczych Pałacu Kultury, czy miejscowe łyki-badylarze, a może wcześniej już zasiedzieli konkurenci od blacharki i lakiernictwa samochodowego?

Mistrz Doliński dumiał, łamał sobie głowę, popijał od czasu

do czasu i nie mógł się na nic zdecydować. Gdybyż to zresztą tylko warsztat był przyczyną trosk, ale gdzie tam... Było ich znacznie więcej. Choćby jego córka Janka (nie pozwalała się teraz nazywać inaczej jak Gina – nie miał pojęcia czemu) – dziewiętnasty rok, pstro w głowie i chce być aktorką. W związku z tym całe noce przesiaduje w jakichś knajpach, wyciąga od ojca pieniądze na komisowe ciuchy i jak podejrzewał – puszcza się coraz bardziej. Nie miał na dziewczynę żadnego wpływu, tak samo jak na syna, który kręcił się koło rajdowców i za jego, Jana Dolińskiego, pieniądze stawiał koleжки mechanikom, aby tylko znaleźć się bliżej szosowych gwiazd.

– Ech... – machnął ręką ze smutkiem pan Jan – dzieciaki do niczego, na nic wszystko...

Wreszcie pewnego sobotniego popołudnia, za namową starego kumpla, z którym jeszcze przed wojną terminowali w niezrównanej firmie „Auto-Krupka – Części Samochodowe i Naprawy”, zdecydował się pan Jan dać ogłoszenie do „Życia Warszawy”. Że ma plac, sprzęt, uprawnienia mistrzowskie i długoletnią praktykę, poszukuje zaś współnika, który wniesie pewien kapitał w celu uruchomienia nowoczesnej stacji elektrotechniki samochodowej na Jelonkach. Oferty tylko pisemne i tylko poważni kandydaci, pod „Solidny”.

Anons ukazał się po kilku dniach, a pan Jan zaczął odtąd cierpliwie wędrować do biura ogłoszeń dopytując się, czy są oferty pod „Solidny”. I już zdawało się, że kilkaset złotych wpłaconych do kasy „Życia Warszawy” zostało zmarnowane, gdy nagle pewnego popołudnia do niewielkiego, ale wygodnego mieszkania pana Jana przy ulicy Grzybowskiej zawitała dziwna para. Kobieta – nie pierwszej już młodości, wysoka, gidiowata dama, przypominająca podstarzałego mężczyznę (nawet miała coś niby cień zarostu nad górną wargą) i nieco otyły, miękki w ruchach jegomość, robiący wrażenie przebranej

baby. On mówił po angielsku, ona – służyła za tłumaczkę.

– Czy to pan – zapytała wyjątkowo wysokim i piskliwym głosem pani o męskim wyglądzie – ogłaszał w „Życiu”, że poszukuje wspólnika do uruchomienia warsztatu samochodowego?

– Ja – odpowiedział spokojnie, z niejakim namysłem Doliński.

– Otóż przyjaciel tego pana – tu dama wskazała na swego towarzysza – pewien Kanadyjczyk, zainteresował się pańską ofertą...

– To dlaczego nie napisał do gazety? Pod „Solidny”, jak było w ogłoszeniu! – indagował nieufny rzemieślnik.

– Bo po prostu nie mógł. Rozumie pan, nie mógł. Cudzoziemiec nie może być u nas wspólnikiem prywatnego przedsiębiorstwa. Ale ten pan...

Doliński zjeżył się cały, wężąc jakiś kant. Nie lubił ciemnych interesów.

– Mnie jest potrzebny prawdziwy wspólnik, legalny – rąbnął nie bawiąc się w dyplomację.

– A któż tu mówi o nielegalnym? Ten Kanadyjczyk kupuje od nas, od naszego państwa wózki elektryczne i musi mieć specjalny warsztat do przyjmowania towaru. Normalnie, legalnie, z komisją. Potrzeba mu dużego warsztatu elektromechanicznego do kontroli na dwa, trzy dni w miesiącu, a potem może, pan sobie w tym warsztacie robić, co się panu żywnie podoba... – zatrzymała się na chwilę i dodała: – Choćby usługi dla ludności. Tylko warsztat musi być odpowiednio wyposażony...

– Ale ja teraz nie mam warsztatu. Mam tylko trochę narzędzi, urządzeń, plac i koncesję – dokumentnie wykladał Doliński. – Niech się ten pani znajomy zwróci gdzie indziej.

– Pana wspólnikiem będzie Polak. Cichym wspólnikiem

oczywiście, którego spłaci pan odstępując każdego miesiąca na trzy, no, powiedzmy cztery dni warsztat firmie kanadyjskiej. Oni wystawią panu za to oficjalny rachunek, ale pieniędzy pan nie otrzyma. Pieniądze będą należały do cichego wspólnika. Tylko tyle. No więc, jedziemy obejrzyć plac?

Mistrz Doliński zasepił się, spuścił głowę, pomyślał o wszystkich swych kłopotach, po czym niepewnie zapytał:

– A ile ten pan może włożyć pieniędzy?

– Tyle, ile potrzeba na takie wyposażenie warsztatu, jakie będzie niezbędne dla odbioru wózków.

– To pewnie dużo...

– Tyle, ile będzie niezbędne. Zbuduje się i zainstaluje to, czego zażąda klient. No i to, co pan ma z poprzedniego warsztatu.

Zapadła cisza, wreszcie pan Jan wymamrotał jakby z oporem:

– Jedziemy...

Teren przypadł gościom do gustu. Gidia z pulchnym cudzoziemcem gadali zawzięcie po angielsku, tłumacząc sobie coś nawzajem. Potem obchodzili plac; bardzo interesował ich dojazd, woda, światło. Pytali, czy będzie można założyć telefon, wreszcie powiedzieli, że przyjdą jutro o piątej z umową i kuzynem Polakiem. Na tym się rozstano.

Pan Jan spał niespokojnie. Wizyta, dziwna rozmowa, jakieś wspomnienia z awanturycznych filmów i ostatnia telewizyjna „Kobra” – mieszały się nieszczęsnemu elektrykowi w jeden nieprzerwany koszmar. I kiedy ościęwały wstawał rano z łóżka, już był gotów zerwać pertraktacje i cierpliwie wyczekiwać rozwoju sytuacji. Poczłapał do kuchni, aby zagrzać kawę i przy okazji spostrzegł, że u Janki i u Maćka łóżka są nie ruszone. Znów noc poza domem. Cholerny świat!

Kiedy kończył jeść, zgrzytnął klucz w drzwiach wejściowych. Zjawił się Maciek. Nie, nie Maciek – obraz nędzy

i rozpaczy. Na czole miał przybrudzony bandaż ze śladami krwi, na nosie świeżo zakrzepłą ranę, jedna ręka na temblaku, drugą zaś przytrzymał poszarpaną marynarkę.

– Kto cię tak urządził? – krzyknął ojciec.

– Nic, tato – odpowiedział chłopiec cicho, skruszony i niepewny – nic, mogło być gorzej. Rozwaliłem wóz. Dachowaliśmy.

– Jaki wóz, gdzie, kiedy...?

– A, jednego gościa, wziąłem od kumpla ze stacji. Volvo. No i poszedł w poślizg. W nocy...

– Byłeś na bani?

– Trochę... nie więcej niż ćwiartka...

– Ach ty!.. – zamierzył się pan Jan szeroko i na odlew, lecz spojrzawszy na nieszczęsnego syna, wstrzymał swój ruch gwałtowny i jednoznaczny. – Tylko ty, czy ktoś jeszcze? – zapytał sapiąc z tłumionej pasji.

– Dziewczyna, ale wyszła cało. Podrapała sobie trochę nogi. Była w pasach.

– A wóz?

– Dowlekliśmy do warsztatu...

– Ile? Ile to będzie?

– Kto wie? Czterdzieści, pięćdziesiąt... może więcej. Części nie ma, blacharka, lakier... Gdyby nie konstrukcja, już by mnie tata nie oglądał... – zakończył płaczliwie.

– Może byłoby i lepiej – nie wytrzymał Doliński-senior. – Kto to zapłaci, taki pieniądz...

– Nie wiem... – wyznał pokiereszowany młodzian z rozbrajającą szczerością.

– Ja nie mam! – oznajmił twardo ojciec. – Nie mam na twoje wariactwa, na chuligaństwo, na to wszystko! Nie mam! Nie mam i nie dam! Nawet gdybym miał.

– To mnie wsadzą, a z taty i tak ściągną, bo jestem

niepełnoletni. Dopiero za trzy miechy kończę osiemnaście – cynicznie odparował junior.

Dolińskiego zamurowało. Sytuacja była bez wyjścia. Jedno pewne: tak czy owak będzie płacił.

Kiedy o piątej po południu odezwał się dzwonek i w drzwiach stanęła długa sylwetka kobiety o męskich kształtach, a obok niej nieznamy pan o nijakim wyglądzie, mistrz Doliński wiedział, że podpisze każdą umowę. Nie tylko z kuzynem Kanadyjczyka, ale nawet z samym diabłem. Wiedział też, że koszty budowy będą o kilkadziesiąt tysięcy wyższe od rzeczywistych i że czas nagli.

Goście mieli ze sobą wszystko: umowę, plany budowy, terminarz prac, spis niezbędnych maszyn i urządzeń, a nawet orientacyjny kosztorys. Pan o nijakim wyglądzie miał wyrobiony i rzeczowy pogląd na sprawy, o których mówiono, kłócił się o każdy tysiąc i tylko przymusowa sytuacja Dolińskiego dała mistrzowi dość argumentów, pozwalających na zawyżenie kosztorysu o równo pięćdziesiąt siedem tysięcy złotych – koszt reperacji wozu marki Volvo, przy użyciu którego „dachował” Maciuś.

LATO... LATO...

Koniec sierpnia – koniec lata. Jeszcze nie tego kalendarzowego, według astronomicznych rachub, ale zwyczajnego, liczonego urlopami, upałem i migracjami między morzem a górami. Lata śmietankowych lodów, wrzeszczących dzieci, pluskania się w wodzie i krótkich, jak wakacje, przygód.

Spuszczony na wodę w pierwszej połowie lipca imponujący jacht Rady Zakładowej Teatru Otwartego „Melpomena” dumnie pruł bałtyckie fale, sprawnie kładł się pod wiatrami i bezbłędnie podnosił, manewrował, nabierał szybkości,

trzymał kurs – słowem spełniał wymogi najwybredniejszych żeglarzy. Był dumą konstruktorów, nadzieją inicjatorów i niemal już własnością pana Waldemara Pyry – marynisty, czy też raczej jego tajemniczego mocodawcy. Dyrektor Wiśniewski poświęcił połowę swego z takim trudem wypracowanego (a co gorsza samotnego, jako że pani Monika zapoznawała się właśnie z urokami kultury iberyjskiej i gościnnością señora Miguela de Branco da Silva, która poważnie przekroczyła zakres próśb pisemnych pana Pyry) urlopu na przekonanie załogi „Melpomeny”, aktywu związkowego i jeszcze paru osób, że następny rok – to nowe, wielkie perspektywy: jacht-cudo i rejs wokół wybrzeży śródziemnomorskich. „Melpomenę” trzeba z zyskiem spylić, pomoc związku pewna, PTTK coś dorzuci i sposobem gospodarczym zrobią transatlantyk, że aż ha...! Już on to załatwi, właśnie dogaduje się z inżynierem ze stoczni, rozłożą sprawy na cztery ręce: trochę oni, trochę teatr i dwa miesiące pływania między Hiszpanią (tu coś piknęło w dyrektorskim sercu), włoskim butem i malowniczymi brzegami Dalmacji.

Kiedy Wiśniewski przekonywał innych, Pyra wieczorami opukiwał na „Melpomenie” wszystkie schowki i skrytki zainstalowane tam według dostarczonych planów, a potem długo w ciepłą noc przechadzał się po molo obserwując kładący się na zatoce blask księżyca.

Zdarzało się niekiedy, że jego błogi, romantyczny spokój mącił przypadkowy przechodzień, który zajmował miejsce przy tej samej balustradzie, a jeśli wokół było zupełnie pusto i spokojnie, zamieniał z Waldemarem Pyrą parę słów, niekiedy dawał mu jakąś kopertę, po czym z wolna oddalał się w mrok nocy. Spotkania te były nieregularne, przypadkowe i krótkie. W ogóle trudno powiedzieć, czy były to spotkania...

Pusty plac na Jelonkach, przydzielony mistrzowi Dolińskiemu,

roił się od robotników. Nikt tu nie kopał papierosów, nie obijał się i nie ciągnął piwka. Pracowano na fuchę – całą parą. Z dwóch stron teren zamykały już solidne budynki warsztatów wzniesione z szarej cegły, kryte falistym eternitem, trzeci bok zajmowała obszerna wiata, pod którą można było ustawić swobodnie dwadzieścia wozów. Cały plac był wybetonowany równo i dokładnie niczym krąg taneczny w parku kultury. Masywne obmurowanie i potężna brama zamykały wjazd na teren warsztatu. Doliński był zdania, że taka brama to już zbyt cenny wydatek, ale jego cichy wspólnik – inżynier Pakuła – wytłumaczył mu, że kanadyjskie przedsiębiorstwo postawiło pewne wymagania co do bezpieczeństwa i trzeba je respektować. Zresztą jeżeli pan Doliński ma jakieś trudności, to on sam pokryje dwie trzecie kosztów muru i stalowej bramy, a potem się rozliczą. Na tym też stanęło.

Mimo, że majster początkowo nie darzył swego wspólnika ani zbyt dużym zaufaniem, ani sympatią, z czasem przyznać musiał, że facet zna się na rzeczy i jest nawet więcej niż przyzwolity.

Jakoś tak chyba w lipcu zdarzył się na budowie paskudny wypadek. Nie na budowie właściwie, ale dwóm robotnikom z budowy. Pracowali krótko, sprowadził ich tu sam inżynier, więc pan Jan nic nie mówił, choć obaj wyglądali na łobuzów. Może się zresztą mylił. No i co? Ledwo skończyli swoją pracę u Pakuły (narożna, ściśle oddzielona od reszty warsztatów część przeznaczona była tylko dla wspólnika; instalowano tam jakieś precyzyjne aparaty, przywożone w częściach, które miały służyć do owych kanadyjskich ekspertyz), poszli „w Polskę” na całego. Jak zaczęli w sobotę wieczorem, to dopiero w środę znaleziono ich w Lasku Bielańskim. Sztywnych. Metylowy pili idioci. Sekcja wykazała. Ech, było z tym kłopotu,

przyjeżdżała milicja, ale nikt nic nie wiedział. Nikt ich nie znał, obce chłopaki, mieli zresztą skierowanie z pośredniaka. Potem, po pogrzebie, Pakuła przyszedł do pana Jana, dał mu cztery tysiące i poprosił, aby to posłał matce jednego i żonie drugiego. No i posłał im, pocztą, pod własnym nazwiskiem, choć było mu trochę głupio, że to pieniądze od inżyniera.

Na pierwszego września umyślili otworzyć warsztat. Ze dwa razy przyjeżdżali ci z Kanady, szwargotali po angielsku i potem Pakuła powiedział, że dziesiątego września przyjdą pierwsze wózki do odbioru. Więc pan Jan zakasywał rękawy, pokrzykiwał na robotników i nawet Maćka zagnał do roboty. Niech poczuje teraz ojcowską rękę.

*

Na niewielkim placu w Wenecji, zwanym Campo SS. Giovanni e Paolo, wznosi się – znany z większości popularnych podręczników historii sztuki – konny posąg Bartolomeo Colleonego, zwany pomnikiem kondotiera. Nieco dalej, w głębi, jest gotycki kościół San Zanipolo, a przed spiżowym wojownikiem, nieomal w jego cieniu ustawiono kilka biało nakrytych stoliczków maleńkiej cafeterii. Atrakcją jej, po równi z Colleonim, są nachalne, kręcące się między nogami turystów gołębie, żebraki dopraszające się okruchów ciastek. Ponieważ wenecki sierpień jest wyjątkowo upalny, a kanały śmierdzą już na potęgę, przeto ruch turystyczny ma szczególnie, bardziej przelotowy charakter. Tasiemcowe wycieczki i indywidualiści przebiegają w pośpiechu miasto, zatrzymując się raczej w Maestre nie tylko dlatego, że tam taniej i można spokojnie zaparkować samochód, ale także mniej śmierdzi i powietrze jest lżejsze, nie tak duszne. W godzinach sjeisty można więc spokojnie – o ile dobrze znosi się upał – pogawędzić w samotności u stóp Colleonego, co też czynili dwaj panowie: starszy, opasty Włoch i drugi – młodszy, gibki cudzoziemiec. Na stoliku leżały dwie paczki papierosów marki

Marlboro.

– No więc, niech pan pokaże to swoje cudo – mówił młodszy, spoglądając niecierpliwie na starannie opakowaną paczkę stojącą przy krzeselku grubasa.

Tamten nie reagował, tylko popijał campari z lodem, udając, że wszystko, poza pobrzękiwaniem kostek lodu o szkło i gorzkawym smakiem napoju, jest mu obojętne. Wreszcie odstawił szklaneczkę i powiedział:

– Nic nadzwyczajnego, zwykła klatka z plastyku. Mieści się w niej dokładnie dwadzieścia kilogramów towaru w kontenerach, plus waga opakowania. Zamyka się na mur przy ładowaniu, nie da się otworzyć bez zniszczenia. Z każdej strony wygodny uchwyt, przekrój pozwalający na umieszczenie w... no, w środku transportowym. Eksportowana w dwu częściach na miejsce przeznaczenia jako nowoczesne opakowanie do pomarańcz...

– To znaczy – powiedział młodszy – przeszedł pan na ogrodnictwo? Pojemniki były, zdaje się, opakowaniami do medykamentów?

– Zdumiewające, że jeszcze trzymają się pana dowcipy. W taki upał. Niech pan bierze paczkę, obejrzy u siebie i na poste restante w Rzymie przyśle mi adres, gdzie mam wysłać pierwszą partię.

– Poste restante?

– Jak zwykle pod „Marlboro”, niech już tak zostanie.

– Dobra, napiszę. Addio! – Młodszy wstał i oddalił się powoli z pakunkiem.

*

Pani Aura dostojnym krokiem okrążyła tężnie, wdychając morski zapach jodu. Wiadomo było powszechnie, że nic tak zbawiennie jak Cieclocinek nie działa na podwyższone

ciśnienie. A więc pani Aura każdy wolny sierpień, nie bacząc na ciechociński tłok, coroczną suszę (woda kapała z kranów tylko do szóstej rano i po dziesiątej wieczorem) ani nudę wypoczywania zawsze w tej samej miejscowości, spędzała tu w trosce o bezpieczeństwo swych naczyń. Ostatecznie jeśli gdzieś odpoczywa się od lat, ma to też i dobre strony. Spotyka się starych znajomych, odwiedza znane kąty, ma ulubione miejsca i jakieś tam, gdzieś tam, gdzieś tam nabyte, prawa.

W tym roku tłok okazał się być jeszcze większy, a susza bardziej dojmująca. Niewielu natomiast zjechało się przyjaciół i pani Aura była zdana na towarzystwo przygodne i zmienne. Ostatnio przykleiła się do niej młoda, ładna dziewczyna, która przez tydzień statystowała w kręconym pod Ciechocinkiem filmie, a teraz wyłądownała tu, by zażywać kurortowych komfortów na jakimś rozpalonym poddaszu i jarskich daniach w mlecznym barze. Najpierw powiedziała, że nazywa się Gina, ale już następnego dnia przyznała się do bardziej swojskiej Janki. Kiedy pani Aura zdradziła, że pracuje w teatrze, a następnie wyrzuciła jej z ręki pełną przygód i podróży przeszłość, Gina-Janka nie odstępowała jej już na krok. Musi wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko, przecież będzie aktorką... Filmową, oczywiście, albo w telewizji. Teraz właśnie zaczęła. Zagrała tu u pana Połuby. Nie, to jeszcze nie była rola, ale zawsze przez tydzień ganił ją po planie. W takiej staromodnej sukni z falbanami i wielkim kapeluszu z piórem. Koleżanki pozielenieją, jak ją zobaczą na ekranie...

Pani Aura słuchała paplania dziewczyny i myślała sobie, że trzeba by coś dla małej zrobić. Przede wszystkim namówić, żeby wróciła do nauki. Gina bowiem porzuciła szkołę i postanowiła pójść śladami Marilyn Monroe. To znaczy własnym talentem zdobyć świat. I jak ona skończy zapewne, bo nikt

jej nie rozumie... Ani ojciec – prosty człowiek, ani brat – dzieciak jeszcze, osiemnastu nie ma, ani koleżanki, co zazdroszą, ani chłopcy, co chcą tylko jednego. Może trochę ją rozumiał asystent reżysera Połuby, ale i on także tylko przez kilka wieczorów. Potem skończyły się zdjęcia.

Po tygodniu pani Aura mówiła do Janki po imieniu.

*

Czerwony porsche puł sto czterdzieści na godzinę pustą o wczesnej rannej porze szosą E-8 ze Szczecina do Warszawy. Była piąta z minutami, kiedy kierowca spojrzął na zegarek. Starał się dokładnie liczyć czas, zapamiętać trasę, nauczyć się jej „na blachę”. Teraz droga spadała w dół, potem będzie górka, za nią lasek, jezioro, nie, raczej niewielki staw trochę zarośnięty szuwarami, potem znów wzniesienie i z lewej polna droga, która wpada w szosę zakrytą gąszczem krzaków. Cholera!... jeśliby tam ktoś wyjeżdżał lub zaczął się, wpadka pewna. Dalej znowu lasek, ale po prawej, taki młodniak, i pola... Gdzieś na ich skraju sine dymy wioski i niskie bryły domków...

CzuJNI i uważny, sprzężony z wozem, nie zmniejszał szybkości, póki nie obliczył, że zarośla zasłaniające wjazd z polnej drogi są nie dalej niż sto metrów. Wtedy zaczął wytracać szybkość.

A kiedy trochę minęło napięcie, uświadomił sobie nagle, że właściwie to ma fart. Trasę robi dopiero siódmy raz, a pamięta ją, jakby nigdy inną nie jeździł. W Międzyzdrojach poderwał dziewczynę, jest więc chata, wygoda i alibi dla tych ciągłych podróży. Porsche ciągnie jak smok, a dziwny „innostraniec”, co go dopadł w Wilanowie i tak mu dosunął tym Jellinkiem, okazał się fajnym facetem. Na razie trzeba było tylko jeździć trasą, zadomowić się na niej i pamiętać o tym cholernym

trzydziestym piątym kilometrze. To był jedyny prawdziwy kłopot. Kiedy zatrzymał się tam pierwszy raz, pomyślał, że koniec, że stąd już nie wyjdzie. Ale wyszedł. Wyszedł i nic się nie stało. Może byłby skrewił, może zwał w ostatniej chwili, gdyby nie to, że przez całą drogę widział w lusterku o pięćset metrów za sobą nieodstępny cień. Smukłą lanię, która prowadziła go od Warszawy. Zwalniała, kiedy on zwalniał, przyspieszała, kiedy przyspieszał, stawała i ruszała wraz z nim. Był na muszce.

Jedno, co go zaniepokoiło, to że cudzoziemiec kazał mu w zeszłym tygodniu oddać zapasowe kluczyki do porsche'a.

– Po co? – zapytał.

– Potrzebne – odpowiedział tamten, do czym dorzucił: – Niech pan się nauczy, że i pytać, i odpowiadać bez ostatecznej potrzeby jest bardzo niezdrowo. Zbyt częste otwieranie ust szkodzi na gardło. Migdałki można sobie przeziębic. – I schował kluczyki do kieszeni.

No tak, ale na razie jest gaz pod nogą, pusta szosa przed maską, trochę forsy w tylnej kieszeni i nadzieja na duży kurz... A dziewczyna w Międzyzdrojach też nie od wąchania rezedy...

*

Dwaj elegancyści panowie szli z wolna nadmorskim bulwarem Ostendy. Od Kanału wiał porywisty wiatr, ale było słonecznie. Na plaży kłębili się ludzie, tłum przewalał się przed witrynami wielkich magazynów, tarasy hoteli pełne były obcojęzycznej, głównie angielskiej, publiczności.

– To już nie te czasy, nie ta Ostenda – smętnie skonstataował starszy pan o srebrzyście siwej czuprynie. Jego towarzysz, ciemnowłosa mężczyzna krępej budowy, o brutalnych rysach twarzy i złamanym nosie, milczał z szacunkiem, jakby nie chcąc przerywać toku wspomnień starszego dżentelmena.

– Boże, co to była za Ostenda – wspominał – jacy ludzie, jakie stroje. Najlepsze towarzystwo z całej Europy. Dawnej, dobrej Europy prawdziwych pieniędzy, granic i stabilizacji...

Właśnie przeszła koło nich grupa roześmianych Murzynów, głośno rozprawiających po angielsku.

– Któż by ich tu wtedy wpuścił? – zasępił się. A potem, nagle zmieniając temat i ton, zapytał ostro swego towarzysza: – Więc kiedy pan zaczyna?

– Transport przejdzie granicę turecko-bułgarską pierwszego września.

– Nie można było wcześniej?

– Nie, bo dopiero od pierwszego zaczyna działać punkt bezpieczeństwa przecinający trasę wschód i trasę zachód. Muszę mieć jakąś rezerwę. Pewność swobodnego skoku.

– Skoku? Co pan powiedział? – zaniepokoił się starszy pan.

– No ruchu, manewru... – spokojnie tłumaczył młodszy.

– Więc i zachodni szlak musi być gotów w tym samym czasie!

– Oni mają jakieś dziesięć dni, dwa tygodnie opóźnienia. Tyle będzie trwało przepakowanie, transport, zatarcie śladu. Będą gotowi.

KASA CZYNNA

Teatr Otwarty zaczynał nowe życie. Nowy sezon. Nowy, powszedni dzień. Zanim uruchomiono którykolwiek z elementów wstrzymanego na lato mechanizmu, trzeba było najpierw otworzyć kasę. Pani Aurze przypadło

dokonanie tej inauguracji. Wróciła do swego królestwa opalona, szczuplejsza (wielkie zwycięstwo charakteru nad zmysłami), ciśnienie spadło, zasypiała bez relanium – słowem żyć nie umierać. Rozgościła się więc na dobre i nawet z pewną satysfakcją – po ciechocińskich nudach – w swoim konfesjonale teatralnych nowinek. Z wolna zaczęli ściągać wszyscy. Opaleni, roześmiani, bez grosza przy duszy i strasznie leniwi. Coraz częściej przychodził do kasy ktoś z widzów, zamawiał bilety, uśmiechał się i pytał: – Jak tam urlop?... Jak pani pięknie wygląda! Czy mogłabym dostać dwa na wtorek, trzy na środę, koniecznie w trzecim rzędzie na sobotę... Słowem wszystko wracało do normy, ale jeszcze na wolnych obrotach.

Pierwszego czy drugiego dnia po otwarciu kasy zjawiła się klientka i poprosiła o miejsce w drugim rzędzie, koniecznie dziesiąty fotel na środę. Pani Aura sprawdziła w książce biletowej – było wolne, wyrwała więc bilet i podała. W chwili, kiedy odbierała od kupującej pieniądze, coś ją nagle tknęło. Ręka, prawa ręka o długich palcach i idealnym manicure wydała jej się jakby skądś znajoma. Zaczęła więc jakieś niezręczne manipulacje z drobnymi, aby zmusić tamtą rękę do ponownego ukazania się w jej, Aury, ograniczonym polu widzenia. Właściwie nic takiego: dziewczęca, pięknie na złoto opalona dłoń, wypielęgnowana, nie zniszczona skóra i tylko na serdecznym palcu maleńka, jak ślad blizny, bielsza rysa.

Gdyby nie to, że zaraz przyszło trzech klientów, pani Aura miałaby więcej czasu na przypomnienie sobie, gdzie i kiedy widziała podobną rękę. Ale właśnie jakiś pan kładł banknoty za dwa „najlepsze, jakie pani ma” miejsca na niedzielę, potem była pulchna rączka udekorowana połową eksponatów z wystawy „Jubilera”, potem pomarszczona, sucha dłoń ze staroświeckim sygnetem na małym palcu – „prosiłabym nie dalej

niż w piątym rzędzie i koniecznie środek” potem grube palce o pooblamywanych paznokciach nie pierwszej czystości – „dwa ze studencką zniżką”, i zaraz tłumaczenie pani Aury, że tylko na legitymacje szkół artystycznych... i tak już do dwunastej. Wtedy zaczynała się przerwa w próbie i wokół kasy gęstniał tłumek aktorów. Pani Aura wyszła nawet ze swej „jaskini” i stojąc w drzwiach wysłuchiwała opowieści o sukcesach, przygodach i pogodach, o drożyznie na Peljeszacu, kempingach na Hvarze, cenach wjazdu na Via del Sol, gulaszu w puszkach, którego zabrakło w Mikołajkach, rybach, co brały albo nie brały, o tym, co noszono i co zdejmowano – słowem wielka kronika wakacji przewinęła się w ciągu kwadransa, by ustąpić tematowi-bombie: już w przyszłym miesiącu mają się zacząć próby „Operetki”. Pierwszy Gombrowicz w ich teatrze i od razu sam Poray. Duży strzał z grubej rury.

- Nie opędzi się pani z biletami!
- Trzeba będzie sprzedawać na cztery zmiany!
- Właściwie ta jedna pozycja wystarczy na cały rok!
- Stary miał nosa...
- Sam tytuł, sam tytuł wart setkę spektakli...

Aktorzy byli wyraźnie podnieceni i, gdyby nie pokrzykiwania inspicjentki, nie sposób byłoby ich zapędzić z powrotem na scenę.

A więc „Operetka” – skonstatowała pani Aura, która już niejedną zapowiedź sukcesu przeżyła w teatrze i niejedną po takiej zapowiedzi klapę. Ale tu chyba aktorzy nie przesadzili. Autor, reżyser, tytuł... bomba jak ta lala! I znów nie było czasu myśleć o jakiejś tam ręce z małą blizną na serdecznym palcu. Tym bardziej, że zaraz po dwunastej odwiedziła panią Aurę Gina-Janka. Z triumfem oznajmiła, że koleżanki nie mogą darować jej statystowania w filmie, po czym,

z właściwym sobie talentem do zmiany nastroju, zaczęła wypląkiwać się w mankiet pani Aury, że ojciec krzyczy na nią i krzyczy, bo nic nie robi, nie pracuje, więc gdyby jednak pani Aura... jak to mówiła wtedy w Ciechocinku... mogła cokolwiek w teatrze, coś najmniejszego, ale zawsze...

Pani Aura nie była nigdy odporna na takie prośby. Zadzwoiła natychmiast wewnętrznym do dyrektora Wiśniewskiego.

Wrócił wczoraj opalony i szczęśliwy z Sopotu. „Melpomena” – cud gospodarczego systemu techniki stoczniowej, najdoskonalszy jacht wykonany w historii teatru, została na znakomitych warunkach „opchnięta” pewnemu Kanadyjczykowi polskiego pochodzenia. Nadwyżki uzyskane ze sprzedaży (po podziale zysków) pozwalają na podjęcie kolejnej inicjatywy – wielkiej, wspólnie ze stoczną jachtową budowanej jednostki pełnomorskiej, prawdziwego żaglowca na piętnastoosobową załogę, którym w przyszłym roku pruć będą fale Morza Śródziemnego. Dyrektor Wiśniewski i reszta zespołu teatralnego już widziała się na lśniącym pokładzie w nieskazitelnych marynarskich uniformach. Barcelona, Marsylia, Neapol, Palermo, Pireus, Konstantynopol – stały przed nimi otworem.

W każdym razie szef był w znakomitym humorze i zgodził się natychmiast osobiście wysłuchać tej „ważnej z ludzkiego punktu widzenia sprawy”, jaką zamierzała go pani Aura uraczyć. „Sprawa” siedziała tymczasem w hallu i popatrywała tępo na wywieszony w okienku kasy napis „Zaraz wracam”. Ale zanim pani Aura opuściła swój przybytek, zadzwoniły kasy Spatifu z prośbą o zarezerwowanie dla nich na czwartek dziesiątego miejsca w drugim rzędzie. Oni tej strefy nie mają w swoim handlu, a jeden ze stałych klientów bardzo prosi... Aura zapisała na kartce, powiedziała, że oczywiście... jeśli tylko będzie wolne... i żeby zadzwonili za pół godziny, bo

teraz ma ważną konferencję w dyrekcji. Po czym pomknęła do Wiśniewskiego.

Był to naprawdę dobry dzień. Rozmowa okazała się łatwiejsza niż przypuszczała. Dyrektor – do rany przyłóż, szczęśliwy, szczebiotał jak ptaszę.

– Oczywiście, dziewczynie trzeba pomóc. Nawet dobrze się składa, bo jest wolne pół etatu i nie można go dłużej blokować... – Proponuje więc pani Aurze, żeby tę jej protegowaną wziąć jako pomoc w kasie, na połówkę. Niech się dziewczyna przyuczy przez kwartał, a potem zobaczymy. Przyda się w administracji, albo w organizacji widowni. Tam sobie rady dać nie mogą.

Pani Aura nie wierzyła własnemu szczęściu. Z właściwą jej dystynkcją podziękowała dyrektorowi i już za drzwiami straciła salonową rezerwę, pędząc do Giny-Janki z dobrą nowiną. Mała może zaczynać choćby od jutra. Przyniesie dokumenty, pani Aura zaraz podyktuje jej podanie, no i życiorys, a do roboty zabierze się od razu.

Dziewczyna rozpływała się w podziękowaniach, żałując w głębi duszy, że tylko kasa... Że nic ze sceną, nawet statystowania, nawet garderoby... No, ale trudno, postanowiła nie pokazywać niczego po sobie, obcałowując panią Aurę, która – nie trzeba zapominać, że najważniejszy początek – od razu dała Ginie pierwsze zadanie bojowe. Pójdzie do kas Spatifu w Aleje i zanieś im bilety na czwartek. Odbierze pieniądze – osiemdziesiąt złotych – i odda jej w teatrze następnego dnia rano.

Funkcja wychowawcza tego polecenia miała być dwojaka: raz – Janka powinna zrozumieć, że do roboty trzeba się brać od razu i że będzie musiała latać, a nie siedzieć za okienkiem; dwa – ma poczuć, że fazuje się jej zaufanie, powierzając pieniądze teatru. Niewielkie, ale zawsze.

JAN III SOBIESKI

Potęźna cysterna marki Hannomag z turecką rejestracją i kwadratową tablicą opatrzoną literami TIR, puła siedemdziesiątką przez pustą, zalaną słońcem szosę. Jej srebrzyste boki zdobił efektowny i wyrazisty napis: INTÜRQTRANS Istambuł, Turqui. W obszernej kabinie siedzieli dwóch ludzi. Na zmianę od Konstantynopola przez Edirne, Płowdiw, Sofię, Nisz, Kragujevac, Belgrad, Nowy Sad, Suboticę, przez całe Węgry, nie omijając Budapesztu, a potem biorąc ostry kurs na zachód – przez polską granicę, a dalej Kłodzko, Wrocław, Zieloną Górę, Gorzów aż do Świnoujścia prowadzili tę kolubrynę zawierającą dziesięć tysięcy litrów czerwonego wina przeznaczonego dla Szwedów. Przeładunek na cysternę szwedzką, która wjeżdżała na prom, potem parę godzin odpoczynku i powrót do domu. W sumie pięć tysięcy kilometrów i dziewięć dni drogi. A potem znowu to samo.

Mordercza praca, morderczy wysiłek, na który żaden z nich nie poszedłby, gdyby za każdy kurs nie dopłacano im cichcem po dwieście dolarów. Spora suma. Premia nie za pośpiech, ale za drobną przysługę. W cysternie siedł niewielki, dobrze ukryty ładunek. Tak schowany, że można było defilować z nim na każdej kontroli celnej; tak oddawany, że właściwie nie przedstawiało to żadnego ryzyka; tak opakowany, że nie było nawet pokusy dobrania się do środka.

Dziś jechali trasą pierwszy raz na całego. Dotychczas robili tę drogę normalnie, z legalnym tranzytem, wieźli wino, przepompowywali je w tym małym, rybackim porcie do podobnej cysterny z olbrzymim napisem SVEDEN CONTINENTAL, przesyłali się w miejscowym hoteliku i wracali co prędzej. Jeździli tak od miesiący, póki nie zdarzyła się okazja – szwagier Yusufa, starszego kierowcy, sam marynarz, zaproponował

im ten interes. Małe ryzyko – duży zysk. Radzili, myśleli, w końcu przeważały pieniądze. Na Allacha, ileż za to można sobie kupić. Pojeżdżą rok i dorobią się własnej ciężarówki, założą firmę i wreszcie na nich zacznie ktoś pracować.

Czysty interes. Tym bardziej, że szwagier uspokajał: głupi szmugiel i w stu procentach bezpieczny. Nie do wykrycia. Towar zostawiają w umówionym punkcie, po czym jakby nigdy nic wracają do domu, gdzie czeka na każdego po dwieście dolarów w pięknych, nowiutkich, zielonych banknotach. Dwadzieścia papierków po dziesięć. Allah im sprzyja...

Z poprzednich kursów znali dobrze drogę, znali też dobre miejsce, w którym należało rozstać się z towarem. Na trzydziestym piątym kilometrze za wsią Grudy Wielkie (wykuli się tej nazwy na pamięć), w środku otaczającego szosę z obu stron lasu, była wąziutka przecinka. Kiedy przeszło się nią dwadzieścia, może trzydzieści kroków, znów po prawej stronie widać było gęszcz krzewów zarastających głęboką rozpadlinę, lej, czy resztkę jakichś wojennych umocnień. Trzeba było wejść między te krzewy, aby w najgęstszym gąszczu, zakrytym liśćmi i badyłami wyczuć pod stopami równą, twardą powierzchnię. Tu należało już zachować ostrożność: pod jednym z krzaków otwierała się bowiem kwadratowa studzienka, do której trzeba było ześliznąć się po kilkunastu zardzewiałych klamrach. Tam, na dnie zapomnianego od trzydziestu lat bunkra, należało złożyć towar i wracać. Proste?

Zanim odbyli pierwszy – ten właśnie – skok z towarem, zatrzymywali się tu dwa lub trzy razy, penetrowali z zewnątrz bunkier, badając pilnie, czy nie kryje jakiejś zasadzki. Za pierwszym razem znaleźli nawet zardzewiały hełm żołnierski, ale było jasne, że nikt i nic tu teraz nie zagłada.

Przejście graniczne między Edirne a Svilengradem przejechali bez kłopotów, choć Bułgarzy od pewnego czasu byli

wobec wozów jadących z Turcji wyjątkowo podejrzliwi. Samochody prywatne bebeszyli bez żenady, zaglądali gdzie mogli, raz po raz ciągnęli kogoś do osobistej rewizji. Nie było tajemnicą, że szukają narkotyków i chyba ich zabiegi od czasu do czasu dawały rezultaty. Awantury wybuchały nieustannie, wozy czekały w coraz to dłuższych kolejkach, a długowłosi młodzieńcy z reguły lądowali w kabinach, gdzie musieli pod czujnym okiem celników rozbierać się do naga, podczas gdy ich brudne dżinsy obwącichiwały tresowane w tropieniu narkotyków pieski.

Ale cysterna INTÜRQTRANSu, której regularne przeloty należały niemal do tradycji punktu granicznego, przeszła kontrolę jak zwykle bez przeszkód, mimo że tym razem i do ich kabiny wskoczył węszący niespokojnie piesek. No, niech tam. Mogą sobie niuchać po całej kabinie, ich samych też mogą rozbierać do golasa. Ryzyko bez ryzyka!

Jugosławia, Węgry, Czechosłowacja i granica polska nie nastroczały większych emocji, żadnych kłopotów. W Polsce lubiono ten turecki wóz-cysternę, której kierowcy zawsze częstowali świetnymi papierosami, na do widzenia wołając z okropnym akcentem: „Sobieski”!

Skąd się to wzięło?

Otóż pewnego wieczoru w Świnoujściu Yusuf spędzał wesoło czas w towarzystwie pulchnej blondyny o temperamencie dającym jak najlepsze świadectwo córom północy, gdy nagle wyniknął spór. Spór na tle ekonomicznym. Chodziło po prostu o to, ile Yusuf ma zapłacić za towarzystwo i uciechy dostarczone mu przez blondynę, która zorientowała się nagle, że jej klient po prostu przekroczył limit czasu, a więc musi pokryć koszty overtime'ów. Ponieważ Yusuf był odmiennego zdania, harmonia między parą została zniweczona i doszło do wymiany inwektyw. Kłopot polegał na tym, że blondyna nie znała

tureckiego, a język, którym posługiwała się w stosunkach z obcokrajowcami, tylko ona uważała za angielski. Toteż na okrzyk damy:

– You! Bloody turkey!

Yusuf zbaraniał. Nie rozumiał, dlaczego nazywa go „cholernym indykiem”, podczas gdy jej po prostu pomieszały się podobne słowa „Turk” i „turkey”: Turek i indyk. Dalej nastąpił dość skomplikowany wykład o stosunkach Rzeczypospolitej z Wielką Portą i zwycięstwie Jana III Sobieskiego nad Kara Mustafą, co blondynie miało dawać szczególne uprawnienia do dwudziestu dolarów Yusufa.

Spór zakończono kompromisowo... na piętnastu dolarach. Yusuf wyniósł z niego niezbite przeświadczenie, że „Sobieski” to szczególnie finezyjne i dosadne przekleństwo w języku polskim. Ponieważ zaś nie pałał szczególną sympatią do instytucji ceł i urzędników sprawujących kontrolę graniczną, kiedyś w przystępie gorszego humoru postanowił jakąś odprawę w Polsce skwitować owym brzydkim słowem i ruszając rzucił na pożegnanie funkcjonariuszom w zielono-szarych mundurach:

– Sobieski!

Efekt był nieoczekiwany. Wybuchnęli wszyscy głośnym śmiechem i zaczęli klaskać z radości. Tak im się spodobało.

No i już zostało. Yusuf wraz ze swym współnikiem zawsze żegnali polski punkt graniczny gromkim okrzykiem „Sobieski”, co do reszty rozbrajało celników, WOP i cały urzędowy personel. Zwłaszcza żeński.

Tym razem hasło „Sobieski” zabrzmiało mniej pewnie, ale wywarło to samo, co zwykle, dobre wrażenie, bardziej zresztą niż kiedykolwiek potrzebne.

Do Świnoujścia dojechali bez przeszkód, bez przeszkód też przetankowali swoje wino na szwedzką cysternę, zaparkowali

wóz i wykąпали się w hoteliku. Potem wbrew zwyczajowi, który sprowadzał się do wieczornego wypadu w męskich sprawach do jednej ze znanych melin, wcześniej i przykładnie poszli spać, każąc się zbudzić o trzeciej rano.

Trzydziesty piąty kilometr wymagał surowej dyscypliny.

ŁADUNEK

Potężna cysterna INTÜRQTRANSu pełnym gazem zbliżała się ku ciemniejącej na horyzoncie ścianie staro- lasu. Jak okiem sięgnąć, nie było widać zabudowań, ani nawet smug dymu unoszących się z chat ukrytych wśród kęp zieleni. Było jeszcze wcześniej. Dochodziła piąta i drogi były puste tak jak pola. Kiedy srebrzysta cysterna znalazła się między drzewami, kierowca zaczął zwalniać, wreszcie stanął.

– Co jest? – zapytał jego młodszy pomagier-zmiennik. – Przecież to jeszcze nie tu.

– Głupiś! – odparł Yusuf – tu wypakujemy to draństwo, a tam tylko skok i po wszystkim, żeby przędeż.

Wyleźli z kabiny na świeże, pachnące żywicą powietrze, jeszcze trochę otumanieni rannym niedospaniem. Żwir przyjemnie skrzypiał pod nogami. Yusuf otworzył skrzynię z narzędziami, pogrzebał w niej, wyciągnął starannie zwiniętą, giętką, plecioną z plastikowych włókien linkę. Na jej końcu chybotąła się niewielka, trójpalczasta, stalowa kotwiczka. Podał to młodszemu.

– No, włącz – powiedział – i ostrożnie wyciągaj.

Kolega, rozejrzawszy się ostrożnie wokół, zaczął bez większego entuzjizmu wspinać się po metalowej drabince na wierzch cysterny. Przykucnął koło klapy zamykającej wlew

do zbiornika, chwilę mocował się z nią, wreszcie krzyknął na dół:

– Yusuf, klucz! Zacięło się.

Starszy sięgnął do skrzynki z narzędziami. Wybrał odpowiedni klucz, podszedł bliżej drabinki i rzucił go w górę. Wreszcie włąz puścił. Z wnętrza buchnęło gęstym, kwaśnym zapachem taniego czerwonego wina. Chłopak zajrzał.

– Nic nie widać – zawołał.

– Poświeć latarką! Masz?

– Mam – odpowiedział.

Krąg bladego światła zaczął błędzić po wklęsłym dnie cysterny, zalanym płytką warstwą czegoś ciemnego, co przypominało kałużę krwi. Unoszący się ze zbiornika silny zapach alkoholu oszałamiał. Blask odbijał się od ciemnej powierzchni wina, pokrytych rudym osadem ścian zbiornika, wreszcie sięgając w głąb napotkał kanciasty kształt, przypominający trochę więcierz na ryby albo niewprawnie zrobioną klatkę. Przedmiot, w jednej trzeciej zatopiony w winnych zlewkach, leżał przesunięty w kierunku przedniej ściany cysterny. Chłopak zaklął.

– Co jest? – dobiegło z dołu.

– Przesunął się w stronę kabiny. Nie wiem, jak go złapać.

– Spuść sznur i rozbujaj kotwicę. Może zaczepi.

Nie było innej rady. Łatwiej jednak radzić niż wykonać. Najpierw zwolnił za mało linki, potem trzykrotnie kotewka ześliznęła się z tej diabelskiej klatki, wreszcie za którymś razem zaczepił. Teraz ciągnął wolno, wolniutko, drżąc, żeby znowu metal się nie obsunął. I kiedy już doholował opakowanie niemal do końca, pod sam otwór wlewu, usłyszał Yūsufa:

– Zjeżdżaj migiem z góry, ktoś jedzie.

Ledwo zdążył zaczepić koniec sznura o przykrywę, którą błyskawicznie przymknął, jak już wylądował na trawie od

strony lasu. Potłukł się trochę, ale samochód zasłaniał go od szosy. Leżał bez ruchu, podczas gdy Yusuf grzebał dla niepoznaki w otwartej szoferce. Po chwili usłyszeli szum: wielka ciężarówka z tablicą TIR i wypisanym czerwonymi literami słowem PEKAES przemknęła szosą. Podniósł się i podszedł do Yusufa.

– Nie ma rady – powiedział szef – ładuj się z powrotem na górę.

Stojąc okrakiem na cysternie rozejrzał się po szosie. Było pusto. Podniósł pokrywę, ostrożnie uwolnił sznur i pociągnął. Ładunek podniósł się na pół metra w górę i ciężko pacnął na dno, rozbryzgując fontannę czerwonego wina.

– Tylko spokojnie, tylko powoli i spokojnie – tłumaczył sobie i wrócił do manipulacji kotwiczką. Wreszcie chwyciła na dobre. Teraz ciągnął z wysiłkiem. Pakunek był ciężki. Lało się z niego wino. Chłopcu wydawało się, że plusk kapiącego wina słychać na kilometry wokoło...

W końcu ładunek był na wierzchu. Oparł go o krawędź wlewu.

– Spuszczaj od strony lasu – zawołał Yusuf.

Po chwili dziwny przedmiot – a było to ciężkie draństwo, ważyło dobre dwadzieścia kilo – leżał na trawie. Obok, niczym wąż wczepiony w ofiarę, wiła się plastikowa lina uwiązana do białej między pręty „klatki” trójpalczastej kotwicy.

Yusuf rzucił koledze na górę szmatę. Ten stał ślady ciekącej czerwieni, zamknął wlew, dokręcił kluczem i mokry od potu, bardziej z emocji niż z wysiłku, zlął na dół. Tą samą szmatą otarł „klatkę”, po czym obaj władowali ją – jako tako wysuszoną – do szoferki.

Szosa była pusta. Ruszyli spokojnie.

Przez otwarte okna wpadło świeże, poranne, leśne powietrze. Po dziesięciu kilometrach jazdy zmienili się.

– Ty siedź za kółkiem – zakomenderował Yusuf – ja zrzucam towar.

Był to dobry kolega i człowiek sprawiedliwy. Rozumiał, że ryzyko należy dzielić po połowie i jeżeli zmiennika wysłał na pierwszy ogień, to tylko dlatego, że tamten był młodszy, silniejszy i zwinniejszy, a więc bardziej przydatny do pracy na śliskiej pochyłości cysterny, skąd łatwo spaść i kark skrócić. Teraz przyszła kolej na jego, Yusufa, ryzyko.

TRZYDZIESTY PIĄTY KILOMETR

Podjechali do trzydziestego piątego kilometra licząc od wsi Grudy Wielkie, tak jak zamierzali, przed szóstą. Okazało się jednak, że o tej porze ruch na szosie wzmógł się znacznie i musieli otworzyć klapę silnika, aby jakoś umotywować postój. Wyczekawszy chwili, gdy zrobiło się zupełnie pusto, Yusuf chwycił mocno „klatkę”, zeskoczył ciężko na ziemię i pobiegł przecinką w głąb lasu. Aż dziw brał, ile miał teraz siły i zręczności, choć już nie był młody i parę kilo sadła dźwigał na brzuchu.

Yusuf mierzył kroki i bacznie spoglądał w prawo. To chyba tu? Zarośla gęstniały wyraźnie, parę metrów od przecinki w bok kępa krzaków, paprocie, jałowce. Zboczył, aby od przeciwnej strony wśliznąć się ze swym przyciężkim ładunkiem między zarastające rozpadlinę chaszcz. Nie było to łatwe. Jedną ręką należało rozgarniać oporny gąszcz, drugą ciągnąć ciężar. Wreszcie nogi trafiły na równe, twarde pod pokrywającym je mchem podłoże. Był na miejscu. Postawił swój nieporęczny ładunek i wolno, uważnie szukał włazu. O mało nie wpadł, gdyż jego kwadratowy otwór przykrywał ścięty krzak jałowca. Podciągnął „klatkę”, odsunął kłujące maskowanie i spojrzął w głąb. Czerń. Nawet światło płynące z góry nie

dawało na dole refleksu. Aż tak głęboko? Ciszę przerwał plusk spadających kropel wody. Rzucił grudkę ziemi. Niemal natychmiast usłyszał, jak plusnęło.

Wyciągnął latarkę elektryczną, zapalił i skierował strumień światła w głąb otworu. Ostrożnie śledził ruch światła. Brzegiem niewielkiej obetonowanej sztolni biegła prosta, mocno nadżarta przez rdzę, żelazna drabinka. Szczelble jej urywały się z pół metra nad grubym kożuchem rzęsy, który pokrywał wodę. Rzucił jeszcze jeden kamyk; plusnął miękko, pogrążając się w zieleni. Potem znów cisza. Uchwycił obiema rękami drabinkę i szarpnął. Mimo że wyglądała na zupełnie zżartą przez rdzę, trzymała się mocno betonowej ściany. Postawił nogę. Nie ugięła się. Z wolna zaczął schodzić, pozostawiwszy na razie ładunek na górze. Coraz gęstsza ciemność ogarniała go z każdym krokiem, a niewielki otwór wjazdu, przysłonięty gęstą roślinnością, przepuszczał znikomą ilość światła. Kiedy skończyła się ściana i drabinka zwisała już luźno w powietrzu, zrobił jeszcze kilka kroków i zapalił latarkę, wyciągając możliwie daleko rękę. Omiótł reflektorem wnętrze. Był to stary, zapuszczony bunkier z minionej wojny. Zbudowany zbyt solidnie, by tu, w leśnej głuszy, komukolwiek opłacało się go rozbierać. Dno zalewała woda pokryta kożuchem rzęsy, ściany toczył zielony liszaj porostów i wilgotne zacieki. Nie było nikogo. Od lat chyba, może od wojny?

Nie bardzo wiedział, co ma zrobić ze swoim pakunkiem, gdzie go złożyć? Rzucić po prostu do wody, przywiązać do drabiny czy... i wtedy ujrzał w świetle latarki pod trochę suchszym kawałkiem betonowej ściany coś jasnego. Coś nowego, co wskazywało, że kryjówka nie jest ani tak całkiem opuszczona, ani tym bardziej zapomniana. Oparty na czterech nie okorowanych palikach wbitych w dno, stał niewielki stolik

z surowego drzewa. Ot, blat z paru desek nie dłuższy niż metr i nie szerszy niż pół metra.

A więc chyba tam?

No cóż, należało wleźć w tę zieloną breję. Z niechęcią zanurzył nogę. Woda była zimna, ale głębokość jej nie przekraczała kilkunastu centymetrów. Po prostu kałuża. Dno pokrywała warstwa szlamu, a może gliny i należało uważać, by się nie pośliznąć. Szedł ostrożnie aż do samej półki. Oświetlił ją dokładnie latarką. Tak, to była zupełnie świeża robota. Wyprostował się i starając się wracać po własnym, niewidocznym śladzie dobrnął do drabinki. Dopiero kiedy zaczął wspinać się w górę, zorientował się, że od wjazdu do dna bunkra jest jednak nie mniej niż jakieś sześć – siedem metrów. A więc prawie dwa piętra.

Wygramolił się ubłocony i zmachany piekielnie, a tu jeszcze trzeba znieść ten kosz. Operacja zajęła mu nie mniej niż piętnaście, a może nawet dwadzieścia minut i gdy wracał wolny od bagażu i utyłany w glinie, rzęsie wodnej, ochlapany błotem – pomyślał, że jednak nie jest to takie łatwe zadanie i na przyszłość należałoby wszystko jakoś usprawnić. Po pierwsze – kombinezon, brudny, usmarowany szoferski kombinezon, który można zaraz zdjąć, po drugie długa lina, choćby ta od wyciągania ładunku z cysterny. Na tej linie należy spuszczać kosz, potem zejść i już tylko dowlec go na półkę. A najważniejsze, to wytłumaczyć szwagrowi, że za taką pracę płacą za mało.

Zmiennik rozbierał i składał, co się dało, w motorze. Allah miał go w swojej opiece, że nie popsuł silnika i instalacji elektrycznej, że nie rozłożył maszyny na części. Najgorsze jednak, że – jak twierdził – w czasie nieobecności Yusufa, trwającej trzy kwadransy, przejeżdżał patrol policji drogowej. Nawet zwolnił, ale widząc, że kierowca zawzięcie grzebie w silniku, dodał gazu i pojechał dalej.

Wsiedli do szoferki.

– Ty prowadź – powiedział ledwie dysząc Yusuf – ja muszę się trochę oczyścić, włożyć coś suchego i schować gdzieś te łachy. Przecież wyglądam jakbym dopiero co zwiął z kryminału.

GOOD MORNING, MR. ZARĘBA!

W cieniu rozłożystej lipy, na zacisznej uliczce Dolnego Żoliborza stał rasowy, czerwony sportowy wóz. Oczywiście porsche. Od czasu sukcesów mistrza Zasady marzenie każdego nastolatka, dziesiętlatka i w ogóle każdego prawdziwego mężczyzny. Wóz był pusty, aczkolwiek na tylnym siedzeniu leżał jakiś niekształtny, nakryty kocem toból. Szyba od strony chodnika była lekko uchylona.

Dochodziła szósta rano, gdy zza rogu najbliższej uliczki dał się słyszeć przyciszony trzask zamykanej furtki, a potem szybkie, męskie kroki. Za chwilę pojawił się młody, smukły mężczyzna o bladawej cerze i lekko podkrążonych oczach. Robił wrażenie mocno, lecz mile sfatygowanego, a pewien nieład jego garderoby i potargane włosy pozwalały mniemać, że opuszczał on mieszkanie dość pospiesznie, nie zaczawszy nawet toalety. Świt był zawsze nieubłagany dla Romeów, a wyglądało, że i tym razem zasada ta znajduje praktyczne potwierdzenie.

Ziewający młodzian zbliżył się do porsche'a, trochę nieprzytomnie pogrzebał w kieszeni, wreszcie wy dobył kluczyki i otworzył wóz. Nie oglądając się rzucił w tył marynarkę, cicho zamknął drzwiczki, po czym spuścił lewą szybę. Wtedy dopiero włączył stacyjkę i wsłuchując się w szum silnika, sięgnął po paczkę papierosów spoczywającą nad tablicą. W chwili, gdy rozległ się suchy trzask zapalniczki, nieoczekiwanie z tyłu

zabrzmiał cichy, lecz twardy głos:

– Good morning, mr. Zaręba.

Młodzieniec spróbował się odwrócić, ale w tej samej chwili poczuł, że czyjeś palce, niczym żelazne kleszcze, wpijają mu się w barki i przygważdżają go do fotela.

– Don't move! – zabrzmiało groźnie.

Znieruchomiał. Trzymał sztywno wyciągnięte przed siebie ręce z nie zapalonym papierosem i zgasłą zapalniczką.

– O co idzie? – wydusił wreszcie lekko drżącym głosem.

– Go on! – padł rozkaz.

Nacisnął gaz i wóz ruszył posłusznie. Przy najbliższym zakręcie kazano mu jechać w lewo, potem znów w prawo i tak po paru minutach krążenia znaleźli się na drodze prowadzącej do Wisłostrady. Tam polecono, by jechał w kierunku Centrum, nie przekraczając pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przez pewien czas w wozie panowało zupełne milczenie. Wreszcie koło mostu kolejowego tajemniczy pasażer powiedział:

– Mr. Zaręba, jutro rano odbierze pan przesyłkę z trzydziestego piątego kilometra, między piątą a szóstą. Proszę dobrze zapamiętać: między piątą a szóstą rano. Wóz postawi pan na poboczu, prawidłowo, z uchyloną szybą, aby robiło wrażenie, że po prostu poszedł pan na chwilkę w krzaki. Pakunek proszę wyjąć z wiadomego miejsca. Niech pan nie zapomni o dobrym, plastikowym worku, najlepiej takim, w jaki pakuje się sprzęt turystyczny. Uprzedzam, że przesyłka może być wilgotna i plamić. No więc właduje pan to wszystko do worka i wyjdzie ostrożnie na szosę.

Jeżeli będzie absolutnie pusta, wrzuci pan ładunek do bagażnika. Dobrze byłoby przykryć go jakimś starym kocem

lub płachtą namiotową. Potem prosto do Warszawy. Powtarzam: prosto. Bez żadnych wizyt w Międzyzdrojach. Romanse mogą poczekać.

Zaręba jechał wolno, ale i tak nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Raz nawet o mało nie wpakował się na wyjeżdżającego z boku fiata.

– Nerwy w garść, chłopcze! – poradził niewidoczny pasażer (nawet lusterko nad kierownicą było ta przekręcone, że Zaręba nie mógł zobaczyć, kto siedzi w tyle) – przecież ma pan przed sobą poważne zadanie. No więc przywiezie pan pakunek do Warszawy i postawi samochód – prawidłowo, zgodnie ze wszystkimi przepisami – na parkingu przy Podwalu. Im bliżej placu Zamkowego, tym lepiej. I nie będzie się pan pojawiał w tej okolicy do następnego dnia rano. Powiedzmy do ósmej. O ósmej odbierze pan wóz także na Podwalu, może nie z tego samego miejsca. Paczki już nie będzie. Niech pana o to głowa nie boli. Aha... i proszę nie zapomnieć zostawić w bocznej kieszeni, tej po lewej stronie, książki wozu i wszystkich dokumentów: polisy, opłaconego podatku itp. W książce wozu znajdzie pan potem honorarium. Proszę zaraz wyjąć, bo w razie jakiegoś legitymowania przez kontrolę ruchu nie miałyby sensu okazywanie im zielonej podobizny prezydenta Hamiltona. I to wszystko... A teraz na dworzec Powiśle.

Zawrócili i lawirując nowymi trasami podjechali pod okrągły budynek dworca.

– Radziłbym panu na przyszłość – powiedział na pożegnanie tajemniczy pasażer – nieco wcześniej opuszczać panią mecenasową Mrowińską, nawet jeżeli mąż jest w Krynicy. Nocleg w pana wozie to istna tortura dla człowieka w moim wieku. I jeszcze jedno: niech się pan odwróci, jak będę wysiadał. I tak pan mnie nie zna, a lepiej, by nie miał pan kiedykolwiek okazji mnie poznawać.

Zaręba posłusznie odwrócił głowę. Gość błyskawicznie wyskoczył z wozu, tak że rzeczywiście nawet kątem oka nie można było dojrzeć jego twarzy. Trzasnęły drzwi, porsche ruszył. Jedyne, co kierowca zdążył zauważyć, to że jego pasażer jakby lekko utykał. Ale nie był nawet w stanie zorientować się, na którą nogę. Po prostu niezgrabny, chromy chód.

Dodał gazu. Boże, do domu! Kąpiel i do łóżka!

ELEKTRO-SERWIS DOLIŃSKI

W życiu pana Jana Dolińskiego od tej jesieni wszystko zaczęło zmieniać się na lepsze. Zakład – bo już trudno było mówić o tym „warsztat” – okazał się istną perłą. Nowe, wygodne budynki, specjalne urządzenia diagnostyczne, obszerny teren i inżynier Pakuła, który w trudnych sytuacjach zawsze umiał wszystko załatwić. Jak Bóg na niebie, pan Doliński nie dałby sobie rady bez cichego współnika. Jedno było tylko poza wszelką dyskusją – oddział, własny oddział pana Pakuły, gdzie miały być przejmowane dla Kanadyjczyków elektryczne wózki golfowe, był dla nikogo, poza nim jednym, niedostępny. Zamki, rygle, kraty w oknach i matowe szyby. Z końcem sierpnia zaczęto zwozić tam mnóstwo urządzeń, a przede wszystkim akumulatorów. Trudno uwierzyć, gdzie się to wszystko mieściło, ale transport za transportem ginął w przepastnych magazynach inżyniera. Coraz też częściej odwiedzali go Kanadyjczycy i na ich wyraźne żądanie na murze koło bramy umieszczono tabliczkę z napisem „Canadian Organisation of Sports and Games Company, Toronto, Service-Warsaw”. Tabliczka była niewielka, miedziana i wyglądała dostojnie, aczkolwiek nie w tym stopniu rzucała się w oczy, co potężny szyld nad bramą:

„Elektro-Serwis Doliński niżej zupełnie drobnym maczkiem:
„Usługi dla ludności”.

Pierwszego września dokonano otwarcia, a jakże, tradycyjnie, był ksiądz i poświęcił, potem wszyscy poszli do „Trojki” w Pałacu Kultury na obiad. Zakrapiano suto, bo początek powinien być z gestem. Następnego dnia zaczęli zjeżdżać się klienci z wozami po wakacyjnych trasach. Mistrz Doliński miał pełne ręce roboty, jego dwóch pomocników także, nie mówiąc już o Maćku, który w pokorze ducha odpracowywał wiosenne „dachowanie” na volvo.

Ale nie tylko dodatnie saldo w interesach niosła panu Janowi tegoroczna jesień. Oto bowiem objawiła się Janka przemieniona z Giny. Nie dość, że usatkowała się trochę, ale nawet dostała pracę. Szkoda, że nie w jakimś porządnym biurze, tylko w teatrze, ale za to „przy kasie”. To już trochę lepiej. Nie zarabiała wiele, ale nie o to przecież szło; niech się dziewczyna uczy obowiązku, niech się uczy, może jej z głowy wywiejrzą głupoty. Kiedy opowiadał o tym inżynierowi, ten początkowo słuchał jednym uchem, gdy jednak dowiedział się, że Janka pracuje w teatrze, i to w Teatrze Otwartym, z miejsca zainteresował się sprawą. Powiedział, że to świetny teatr, a dla Janki wielka szansa. Nauczy się fachu. Jance zaś szepnął:

– Ma pani szczęście, już oni zrobią z pani gwiazdę. Tylko się trzymać. Zębami trzymać, żeby nie wiem co. Wolałaby pani występować? Ale kasa... milionerzy amerykańscy zaczęli od pucybutów, a pani od razu od kasy... panno Gino – dodał, robiąc tym dziewczynie ogromną przyjemność.

W kilka dni później, już po uruchomieniu „Serwisu”, zjechał do warsztatu inżyniera jakiś młody człowiek. Janka była właśnie u ojca i widziała, jak tamten wysiadł ze sportowej lancierki, wszedł do inżynierskiego laboratorium, zostawiając po sobie powiew wielkiego świata. Ubrany niczym model

z francuskiego zumała, poruszał się jak włoski aktor. Janka przykleiła nos do szyby i czekała, kiedy bóstwo ukaże się po wtórnie. Bóstwo wprawdzie nie ukazało się, ale ukazał się inżynier Pakuła i skierował swoje kroki do ojcowskiej części, wpadając niemal na Jankę.

– Panno Gino – powiedział pospiesznie – pani zdaje się chciała wracać do miasta. Wpadł na chwilę mój kolega i mógłby panią podrzucić.

– Ten pan w sportowym wozie? – nie ukrywała zachwytu Janka.

– Tak, Roberto. Wspaniały chłopak. Matka Włoszka, ojciec Polak z Ameryki.

Jankę zatkało zupełnie. Nie zdołała nic powiedzieć, tylko kiwnęła głową, „że tak”, i wyszła przed budynek. Pakuła wrócił po chwili w towarzystwie młodzieńca, przedstawiając go szarmancko. Polsko-amerykańsko-włoski koktajl zajrzał w dziewczęce oczy do dna, ujął wymownie jej dłoń i złożył na niej nieco staroświecki, lecz całkiem warszawski pocałunek.

– Bye! – krzyknął Pakule, otworzył drzwiczki przed Janką pomagając jej zająć miejsce w lancii, po czym wskoczył sam i ruszył na pełnym gazie.

– Gdzie panią zawieźć? – zapytał z leciutko gardłowym akcentem. I zaraz dodał: – Jadła pani obiad?

– Jeszcze nie – bąknęła.

– Jedziemy do Forum – oświadczył nie pozostawiając jej czasu ani na protest, ani na opamiętanie. Boże, Forum – najdroższy hotel w Warszawie. Sami cudzoziemcy, i to jacy...

Lancia pod wprawna ręką kierowcy pokonywała przeszkody ulicznych zatorów, jakby była żywym, mądrym stworzeniem, a nie maszyną. Wykonując manewry wokół ronda i skomplikowanych dojazdów do monumentu szwedzkiej architektury, wreszcie zatrzymali się przed wejściem do hotelu.

Obiad – dobierany wyłącznie przez księcia z lancii – przewyższał cały dostępny Jance zasób doświadczeń kulinarnych. Wszystko nazywało się po francusku albo po angielsku. Nieustannie zmieniano talerze, sztućce, szklanki i kieliszki. Pili wprawdzie mało, ale za to jakieś baśniowe napoje o czarodziejskich kolorach. Po dwóch godzinach skończyło się fajerwerkami w postaci płonącej leguminy, której Janka nie potrafiła nazwać. W końcu – mimo że była gotowa na wszystko – Roberto wsadził ją do swej lancii i rozmarzoną odwiózł do domu na Grzybowską. Jedynie pożegnalny pocałunek, który złożył na jej dłoni, był przejmująco długi i znaczący.

*

Pani Aura nie miała powodu do narzekania na swoją protegowaną. Dziewczyna była chętna, pracowita, nazbyt może egzaltowana i nieco zdemoralizowana próbami wspinania się ku aktorstwu przez statystowanie w filmie. Wydawało się zresztą, że ona sama – Janka – nabiera dystansu do tamtych spraw i doświadczeń. Jednym z elementów oddziaływania wychowawczego na dziewczynę było zaufanie, jakie okazywała jej raz po raz pani Aura. Zaufanie umiejętnie dawkowane, tak aby pokusa nie okazała się ponad siły, ale dość mocna, by skłaniać do zajmowania zdecydowanej postawy.

Zdarzyło się już nawet parę razy, że pani Aura na kilka czy kilkanaście minut, w czasie najmniejszego ruchu, zostawiała Jankę samą – „w zastępstwie”, jak mawiała – w kasie. I zdarzyło się pewnego dnia, że Janka pod nieobecność swej szefowej dokonała niezwyklej transakcji: sprzedała bilety na kilka miejsc na dwa tygodnie naprzód. Na wtorek następnego tygodnia w pierwszym rzędzie trzynaste i czternaste, na czwartek:

czternaste i piętnaste w drugim, na sobotę trzynaste i czternaste w czwartym, na kolejny wtorek dwunaste i trzynaste w piątym i na czwartek jedenaste i dwunaste także w piątym, wreszcie na sobotę dziewiąte i dziesiąte w czwartym.. Pani Aura była zachwycona obrotnością swej pupilki, zdziwiła ją tylko mnogość transakcji w tak krótkim czasie.

– Eee... nic takiego – wyjaśniła skromnie Janka – to kupiła jedna klientka.

– Jak to jedna?

– Ano tak, najpierw poprosiła o trzynastkę i czternastkę w jedyńce, ja zaczęłam szukać, nie bardzo mi szło. Ona się nawet zapytała, czy jestem nowa. Powiedziałam, że tak, więc to potrwa trochę dłużej. Roześmiała się tylko i dodała: to ja pani zrobię dobry początek. Pani ma książki na dwa tygodnie z góry – prawda? No to proszę szukać, a ja kupię hurtem. I podała rzędy i numery miejsc. Podliczyłam, kupa forsy. Zapłaciła, podziękowała i powiedziała, że na pewno będę dobrą kasjerką. Elegancka dama, ręce miała jak jaka księżna, paluchy bez końca, a paznokcie...

Tu pani Aura spróbowała powstrzymać potok wymowy Janki i skierować jej uwagę na mniej kosmetyczne tory.

– A nie powiedziała ci, dlaczego kupuje naraz tyle biletów?

– Pewnie ma dużą rodzinę, zresztą nie pytałam jej. Jak pani chce, to zapytam następnym razem, bo powiedziała, że ona to najchętniej kupowałaby tylko u mnie... – tu Janka ugryzła się w język pojmując, że palnęła głupstwo. Pani Aurze mogło zrobić się przykro.

* * *

PORSCHE ZMIENIA POSTÓJ

Czerwony porsche Zaręby pędził środkiem szosy, jakby go ścigał patrol milicyjny, albo jakby nadrabiał czas na trasie rajdu Monte Carlo. Zaręba był wprawnym kierowcą, a strach podwajał jego pośpiech. Mimo uchylonych szyb nie mógł pozbyć się tego ostrego, kwaśnego zapachu wina, jaki rozchodził się od leżącego w tyle wozu, zawiniętego w zwój folii pakunku. Chciał być dalej, dalej, dalej... Dalej od niesamowitości tego ranka, poszukiwań w zatęchłym, ciemnym bunkrze, taplania się w bloku, moczenia nóg, a przede wszystkim dalej od strachu, jaki rodził w nim wieziony bagaż. Naciskał więc klakson ile wlazło, wiraże brał kontrolowanym poślizgiem i rznął całym gazem do Warszawy. Wreszcie gdzieś za Pniewami, gdy wjechał już na E-8, nagle zorientował się, że ma przed sobą jadący w tę samą stronę patrol drogowy.

Szara warszawa telepała się spokojnie, ale jej pasażerowie musieli zorientować się w jego szybkości. Zaczął zwalniać, ale nie mógł tego czynić za ostro, aby nie wpaść w poślizg. Przestrzeń między wozami zmniejszała się gwałtownie. Wydało mu się nawet, że w milicyjnej warszawie ktoś siedzący obok kierowcy odwrócił się i patrzył w jego stronę. Przycisnął nieco mocniej hamulec i porsche zatańczył na szosie. Opanował wóz natychmiast, ale już równał się z milicjantami. Z okienka wysunęła się ręka z lizakiem. Zaręba wyprzedził, w pierwszym odruchu chciał wiać. Natychmiast jednak zrozumiał, że nie ma sensu. Wprawdzie oni go nie dogonią, ale zablokują drogi. Musieli odczytać numery, a porsche też nie latają po polskich szosach stadami. I jeżeli go nakryją... Wolał o tym nie myśleć. Powoli wytracał szybkość, wreszcie stanął. Był mokry od potu i trząsł się ze strachu.

Zanim tamci dojechali do niego, wyciągnął z bocznej kieszeni papiery i opuścił szybę. Z warszawy wysiadł, nie spiesząc się, stateczny, masywny starszy pan w milicyjnym mundurze z oznakami służby ruchu i podszedł do porsche'a. Zasalutowował i powiedział bezosobowo:

- Proszę dokumenty.
- Służę panu – odrzekł słodko uśmiechnięty Zaręba, po czym zapytał: – Czy może coś nie w porządku?
- To się zobaczy – mruknął milicjant. – Kontrola drogowa – dodał.

Zarębie zrobiło się nieco raźniej, opanował drżenie rąk i nawet pot przestał mu rosić czoło. Kontrola drogowa to frajer. Już chciał się uśmiechnąć do grubego sierżanta, gdy spostrzegł, że ze stojącego przed nim wozu wysiada oficer. Zmartwiał. „Wpadłem! Kontrola, tylko dlaczego? Pewnie mają mnie na oku od tamtej parszywej dziury. Może nakryli tych łobuzów, jak melinowali ten pieprzony towar, i teraz wpadka na całego? Co robić?... Co robić?” – kołatało mu w głowie.

Tymczasem milicjant flegmatycznie przewracał kartki do wodu, studiował książkę wozu, prawo jazdy. Sprawdzał adresy, daty, numery. Oglądał tablice rejestracyjne, wreszcie zabrał się za technikę:

- Lewy kierunkowskaz – komenderował – prawy. Światła mijania, długie, stop...

Zaręba gorliwie wykonywał polecenia, wszystko zdawało się być w porządku. Jedno, co go niepokoiło, to ów oficer z warszawy, który tajemniczo zniknął po drugiej stronie szosy, w przydrożnym gąszczu krzaków. Czyżby tam była rezerwa, może połowa radiostacja, patrol motocyklowy?...

- A dlaczego to pan kierowca tak po kawalersku jeździ?
- huknął nieoczekiwanie nad uchem sierżant. – Ile było na liczniku? Sto pięćdziesiąt? Rajd czy wyścigi tu urządzacie?

Co?! – i nachylając się w stronę siedzącego w wozie Zaręby pociągnął nosem.

Z otwartego okna buchał ostry, kwaśny zapach wina.

– Ach, to tak! – odkrył nagle tajemnicę szybkości. – Spróbujemy balonikiem. Przejdźcie do naszego wozu.

Zaręba na drżących nogach wygrzebał się z samochodu, obnażając nie tylko przed światem, ale przede wszystkim przed sierżantem, upaprane spodnie, zabłocone buty, całe swoje sponiewieranie poszukiwaniami w podziemiach zalanego wodą bunkra. Wlókł się chwiejnym krokiem, robiąc istotnie wrażenie pijanego, pewien, że dalszą drogę, skuty kajdankami, odbędzie w popielatej warszawie. Gdy dochodził do milicyjnego auta, z krzaków wyłonił się oficer z dystynkcjami majora, dopinając mundur.

– No to koniec – pomyślał Zaręba i zaczął posłusznie dmuchać w podany mu balonik. Im dłużej to trwało, tym groźniejszym marsem wzbierało oblicze sierżanta. Balonik uparcie nie chciał zmienić barwy,

– Niedobry – powiedział sierżant do kolegi. – Daj mu drugi, niech dmucha.

I operacja odbyła się raz jeszcze. Zarębie już oczy wychodziły z orbit od tego dmuchania, a balonik nadal był dowodem jego absolutnej abstynencji.

Wreszcie włączył się major.

– Skończcie tę zabawę, sierżancie, nie mamy czasu...

Zaręba zachwiał się, świat zawirował mu przed oczyma, a na przegubach poczuł niemiły chłód.

– ...przecież widzicie, że pan jest czysty. Wypiszcie mandat za przekroczenie szybkości i jazda! Spiesz mi się!

– Tak jest, obywatelu majorze! – służbiście zameldował sierżant i zwracając się do Zaręby zdecydował: – Dwieście złotych. Płacicie gotówką czy kwitem?

– Proszę bardzo – Zaręba wyciągnął lekko wilgotne

banknoty z tylnej kieszeni, odliczył dwieście złotych, wziął kwit, odebrał dokumenty, powiedział jak umiał najgrzeczniej „dziękuję”, po czym ociężałe poczłapał do swego porsche'a. Siadł i wtedy opadły go siły. Na szczęście wóz milicyjny nie czekając ruszył pierwszy.

Do Warszawy, nie przekraczając osiemdziesiątki, dojechał po południu. Za ledwie zdążył wykąpać się i przebrać, musiał znów wsiadać do tego przeklętego wozu, by odstawić go na Podwale. Niedaleko pomnika Kilińskiego znalazł wygodne miejsce do parkowania, wprowadził samochód, zasunął szyby, starannie zamknął drzwiczki, nie zapominając zostawić dokumentów w lewej kieszeni.

Kiedy jednak odchodził od porsche'a, wreszcie lekki, lecz zamyślony, omal nie wpadł pod radiowóz milicyjny. Rany boskie, znowu oni! – przemknęło mu przez głowę. A potem zobaczył, jak od Rycerskiej idzie w stronę pomnika patrol z krótkofalówkami. Szybko skręcił w Kapitulną i po chwili był na Miodowej, potem tyłami Senatorskiej i już plac Teatralny. Nie zastanawiając się, co robi, przeszedł plac na ukos i znalazł się pod kolumnadą Teatru Wielkiego. Właśnie dochodziła siódma. Do Narodowego pchał się tłum ludzi. Niewiele myśląc wmieszał się weń i nie bardzo wiedząc co robić, podszedł do kasy. Na okienku wisiała karta: „Dziś wszystkie miejsca wyprzedane”. Stał bezradny przed tym napisem, póki nie podeszła do niego młoda dziewczyna.

– Może pan chce bilet na dziś? Mam jedno miejsce do odstąpienia – zaproponowała.

– Tak, tak... bardzo pani dziękuję. – Machinalnie odkupił bilet i dopiero wchodząc na schody zorientował się, że ma jakieś okropnie odległe miejsce na samej górze.

Kiedy koło dziesiątej wieczorem wychodził z teatru, pierwszą rzeczą, którą zrobił, była runda wokół placu Zwycięstwa.

Przekonał się, że nikt za nim nie idzie. Wtedy przez Krakowskie Przedmieście, wolniutkim kroczeniem doszedł do placu Zamkowego, skręcił w lewo i przedefilował Podwalem aż do Barbakanu. Nigdzie nie było czerwonego porsche'a. Miejsce, na którym go zostawił, zajmowała teraz pospolita syrena brudnożółtego koloru. Na wszelki wypadek poszedł spać nie do siebie, ale do pewnej gościnnej dziewczyny, która nigdy jeszcze nie odmówiła mu towarzystwa, o ile nie była zajęta przez kogo innego. Tego wieczoru na szczęście miała czas.

O ósmej rano, przyjemnie zmęczony, aczkolwiek nie wolny od niepokoju, znów wędrował Podwalem. W pobliżu placu Zamkowego, na pustawym parkingu spokojnie drzemał jego czerwony porsche. Obejrzał się niepewnie – nikogo w pobliżu. Wyciągnął kluczyki, podszedł, otworzył. Z wnętrza kabiny bił mocny zapach jakichś duszących perfum. Nic, co by przypominało czerwone wino. Usiadł przy kierownicy i zanim zapalił silnik, sprawdził, czy w lewej kieszeni są papiery. Wyczuł je nie wyciągając. Obejrzał się – za siedzeniem było pusto. Pakunek zniknął. Uspokojony wyprowadził wóz i pojechał w kierunku Nowego Miasta, dalej w stronę Cytadeli i przez Wisłę mostem Starzyńskiego. Dopiero pod samym Nieporętem odważył się zajrzeć do dokumentów. W książce wozu leżało sto pięćdziesiąt dolarów i kartka napisana na maszynie: „Pięćdziesiąt procent potrącenia za przekroczenie przepisów ruchu. Następnym razem rygory będą ostrzejsze. To nie zabawa.”

Zrobiło mu się nijako. Skąd do diaska wiedzieli o jego przygodzie?

Skąd i kto im doniósł?

Zapomniał tylko, że to on sam nie wyjął spomiędzy dokumentów mandatu wypisanego przez grubego sierżanta...

GALERIA KRÓLÓW

Cichą, skrywaną namiętnością pani Aury były pasjansy. Nie przyznawała się do tego, jako że uwierzyła komuś przed laty, iż zamiłowanie do układania pasjansów jest pierwszym znakiem nadciągającej starości. A pani Aura nie chciała zgodzić się na starość. Postanowiła obejść ją boczkiem, wystrychnąć na dudka, nie przyjmować do wiadomości. Dlatego nudziła się corocznie w Ciechocinku, by obniżyć ciśnienie, dlatego zrywała, się skoro świt, by odbyć przepisane radiowym programem ćwiczenia gimnastyczne, dlatego ubierała się jasno i pastelowo (choć naprawdę tęskniła za zgniłymi zieleniami i brązami), dlatego kryła się z namiętnością do pasjansów. Zawsze jednak, po lekkim, dietetycznym obiedzie, w przerwie między rannym i wieczornym dyżurem w kasie, kładła jednego pasjansa. Na drugiego przychodziła kolej wieczorem, koło dziewiątej, o ile była wolna, to znaczy nie miała brydża, interesującego programu w telewizji, kina lub przyjacielskich ploteczek. Tych z biegiem lat ubywało, bo i pokolenie pani Aury, mocne, ale podpiłowane wojną, wykruszało się z wolna.

Zgodnie z tradycją zasiadła więc pani Aura przy biedermeierowskim sekretarzyku (jedyne meble, jakie ocalały jej z wojennej zawieruchy), tak zgrabnym i zręcznym, że mieścił się w jej M-2 na dziewiątym piętrze gigantycznego bloku, by rozłożyć karty do najdoskonalszego z pasjansów. Trudnej, nigdy prawie nie wychodzącej „galerii królów”. Cała sztuka polegała tu na spokoju, dalekosiężnej kalkulacji i polityce małych kroków. Próba efektywnych i szybkich rozwiązań z reguły kończyła się zablokowaniem sytuacji i nieodzowną koniecznością zebrania kart w poczuciu poniesionej klęski. A więc spokój i koncentracja stanowiły warunek sukcesu.

Dziś jednak nie szło pani Aurze od początku. Potasowała starannie małe, pasjansowe karty, rozłożyła ośmioma szeregami i zapadła w odrętwiałe zamyślenie. Powinna była skoncentrować całą uwagę na tym, jak dobrać się do czerwonej damy przykrytej dziewiątką, dwójką i dwiema czarnymi czwórkami, a przecież nie mogła się uwolnić od natrętnego wspomnienia słów Janki: dlaczego właśnie od niej wykupiono ten zestaw biletów? Dlaczego klientka tak się ucieszyła z nowej kasjerki? Zazdrość zawodowa? Skądże, pani Aura była najdalsza od czegoś takiego. A przecież kiedy w ciągu następujących kilku dni siedziała w swoim okienku, co do jednego wykupiono na pozostałe nie zajęte dni wszystkie te miejsca, które hurtem sprzedawała Janka. Przypadek czy coś więcej? Wszystko było o tyle dziwne, że Janka posprzedawała jednej klientce szereg biletów na te same sztuki. Tylko dni były różne i rozmaite miejsca. Karuzela miejsc. To samo co Janka sprzedawała na środę, piątek, wtorek, czwartek i sobotę, ona – różnym zresztą osobom – sprzedawała na czwartek, sobotę, środę, piątek i niedzielę. Każde z miejsc wcześniej nabytych u Janki, później kupowano u niej.

Chyba to jednak coś więcej niż przypadek – pomyślała przypominając sobie znów dziewczynę z bliźną. Dlaczego raz po raz pojawia się właśnie ona?

I już zupełnie bezmyślnie wpatrując się w szeregi kart, pani Aura doznała nagle olśnienia: milicja! Milicja albo kontrwywiad śledzą kogoś w teatrze. Wykupują dla niepoznaki miejsca z kasy, aby rozsadzić na sali swoich ludzi. Ale jeżeli trzeba ich aż tylu i tak często, to szykuje się coś niezwykłego. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zawiadomić o tym dyrektora Wiśniewskiego, ale z jednej strony trochę się bała, że ją wyśmieje, z drugiej zaś – rozumowała – albo już wie oficjalnie, albo sprawa jest tak delikatna, że należy trzymać się od niej z daleka. Trzeba będzie tylko powiedzieć Jance, by o

tych biletach nie rozgadywała, bo może sobie jeszcze dziewczyna napisać biedy.

Ponieważ pasjans nie tylko nie wychodził, ale nawet na dobre się nie zaczął, pani Aura zebrała karty z mocnym postanowieniem rozpoczęcia najbardziej tajnego z tajnych śledztw – na własną rękę. Trzeba było wreszcie ustalić, kto wykupuje partiami bilety, kto w ślad za kupującymi bierze te same miejsca. Może nie zawsze zupełnie te same, ale zawsze jakoś się pokrywające choćby jednym krzesłem. Dla rozwikłania zagadki były niezbędne dwa elementy: plan widowni i ostatnie książki biletowe. Wszystko to miała jednak w teatrze, więc dochodzenie należało odłożyć do wieczornego dyżuru.

Wieczorem zaś był tłok i nie było mowy o zajęciu się czymkolwiek innym niż tłumem klientów. Jacyś państwo kupili na drugą połowę miesiąca dziesięć i jedenastkę w czwartym rzędzie, w czym nie byłoby zresztą nic dziwnego, gdyby nie to, że kupili te miejsca na dwa kolejne dni. Tłumaczyli, że i oni, i dzieci chcą zobaczyć spektakl, a mała wnusia wymaga opieki i rodzina musi dzielić się teatrem. Los dziadków i babć – normalny los, pomyślała pani Aura i zrobiło jej się żal, że nie ma własnego wnuka, że nie ma kłopotów z wieczorami i że musi wrócić do swego samotnego M-2. I aby czymś wypełnić pusty czas, zabrała do domu plan widowni oraz kartkę z wynotowanymi miejscami transakcji biletowej Janki.

AUTOMAT FIRMY „GALVANI”

Dziesiątego września od samego rana do nowej, lśniącej czystością i świeżą farbą stacji obsługowej „Elektro-Serwis Doliński” zaczęły zjeżdżać wielkie platformy

załadowane wózkami golfowymi o napędzie elektrycznym. Z platform ściągano ogromne plandeki zielonego koloru, opuszczano trapy zjazdowe i po zluźwaniu lin mocujących mechanicy bezszelestnie zjeżdżali swymi elektrycznymi cacuszkami, by sprawnie manewrując ustawić je w szeregi pod obszerną wiatą. Do południa wyładowano trzydzieści pojazdów i blokujące ruch platformy wyjechały z terenu warsztatów. Zaroiło się natomiast od tłumu panów ze skórzanymi teczkami, mówiących we wszystkich chyba językach świata. Z jedną grupą przyjechał inżynier Pakuła, potem zjawiła się znana panu Janowi z pierwszych transakcji, starsza się gidia o męskiej sylwetce, kręcił się jakiś lekko utykający mrukliwy facet. Słowem rejwach i zamieszanie na całego.

Mechanicy wyprowadzali wózki spod wiaty, komisja kazała otwierać wszystko, co było do otwarcia, potem odbywała się próbna jazda, wreszcie pojazd wprowadzano do „laboratorium” inżyniera Pakuły. Inżynier i trzech Kanadyjczycy w czerwonych kombinezonach pukali, stukali, włączali jakieś przewody, zegary, liczniki, a wreszcie – co bardzo denerwowało polskich partnerów – wyjmowali wszystkie akumulatory i przepuszczali przez stojącą na środku pomieszczenia wielką maszynę z napisem: *Corporazione Electronica Galvani, Milano Italia*.

Maszyna wyglądała jakby zwędzono ją z amerykańskiego filmu futurologicznego. Była błyszcząca, opływowa, samoczynna. Na pulpicie zapalały się światła, drgały zielonym blaskiem oscylatory, pobrzękiwały na różne tony tajemnicze sygnały, a z niewielkiej szpary wysuwała się rola papieru zadrukowana tylko dwiema cyframi, choć w najróżniejszych układach: zera i jedynki. Tylko tyle.

Jeżeli akumulatory pomyślnie przeszły próbę na tej tajemniczej maszynie, mechanicy plombowali własną plombownicą

COSAG Comp. pojemnik, w którym były zamontowane i wózek zjeżdżał – odebrany – na plac. Tam dwaj panowie: Polak i Kanadyjczyk podpisali certyfikat odbioru technicznego, pojazd zaś wracał pod wiatę, czekając na platformy ze znormalizowanymi opakowaniami do transportu morskiego: wielkie, czerwone skrzynie-kontenery z olbrzymim napisem „COSAG Company, Toronto, Canada”. Przy ładunku, odbiorze i po całym placu kręcili się celnicy, ale wszystko odbywało się jawnie, na oczach zainteresowanych. Kilkakrotne próby obmacywania siedzeń i zagłądania pod wózki potwierdziły jeno przeświadczenie urzędników, że niewiele będą tu mieli do roboty.

Zresztą Kanadyjczycy byli wobec nich tak opryskliwi i niesympatyczni, tak deklarowali swoje niezadowolenie, że przeszkadzają i opóźniają odbiór, iż można było mieć absolutną pewność, że wszystko jest w porządku.

Nikt nie próbował zjednać sobie przychylności Urzędu Celnego ani jego funkcjonariuszy. Przykre to może, ale jakże w tym zawodzie prawdziwe, że im miłszy, bardziej serdeczny klient, tym większa pewność, że kryje się za tym jakieś świństwo, oszustwo, kant – no, szmugiel po prostu.

Polska ekipa znosiła cierpliwie techniczne próby swych nowych kontrahentów, podśmiewając się z lekka, że chce się im tyle czasu tracić na kontrolę akumulatorów, które najlepiej byłoby i tak transportować osobno. Ale nasz klient – nasz pan. On płaci – on wymaga.

Zwijali się chyżo, a przecież nie udało się jednego dnia przyjąć wszystkich wózków. Dopiero następnego, przed siódmą wieczorem z bramy warsztatów pana Dolińskiego wyjechała ostatnia platforma załadowana czerwonymi kontenerami. Pod wiatą było znów pusto. „Galvani” został wyłączony, tak prawdę powiedziawszy, to pracował po próżnicy, zaledwie

w dwóch akumulatorach wykrył jakieś braki czy usterki. Wymieniono je natychmiast. Mimo wszystko z odbioru zadowoleni byli wszyscy. Nawet kręcący się z cudzoziemską ekipą ponury kuternoga.

MIEJSCA DYREKCYJNE

Pani Aurze nie dawała spokoju transakcja Janki. Wieczorem w domu, po dzienniku telewizyjnym, wyciągnęła plan widowni i zaczęła zakreślać miejsca sprzedane hurtem przez swoją pomocnicę. Z rysunku nic nie wynikało – poza tym, że trzynastka ma tu wyjątkowe szczęście. Sprzedano ją aż trzykrotnie, w pierwszym, czwartym i piątym rzędzie. W trójce natomiast nie wykupiono żadnego miejsca. No tak, ale tam trzynastka należała (wraz z fotelem dwunastym) do rezerwy dyrekcyjnej. Ale w drugim rzędzie też nikt nie kupił trzynastki, a tylko czternastkę i piętnastkę. Nie, to wszystko nie ma za grosz sensu. Zakupy są przypadkowe. Wpatrując się w pomazany schemat, pani Aura dorysowała jeszcze krzyżyk na miejscu dziesiątym w drugim rzędzie. Tym, które zaraz po powrocie z urlopu sprzedała panience z blizną na palcu. A więc jedno jest pewne, że trzeciego rzędu jej dziwni klienci nie tykają. Czemu? Wypisując na „trefnych” miejscach daty zauważyła, że Janka sprzedawała je na co drugi dzień, podczas gdy ona sama, różnym klientom – odstępowała miejsca na dni pozostałe. Akurat te wolne. Ani razu nie zdarzyło się tak, by jedno przynajmniej ze sprzedanych przez Jankę miejsc było wolne następnego dnia. I tak o ile sobota blokowała w czwartym rzędzie trzynastkę i czternastkę, to niedziela cały rząd. Jasne i zrozumiałe, podobnie było następnej soboty i niedzieli. W niedziele ludzie mają zwyczaj chodzenia do teatru, więc nie

ma co porównywać, sprawdźmy jednak rząd piąty. Wtorek – Janka sprzedawała tam dwunaste i trzynaste krzesło, ona – Aura – trzynaste i czternaste. Na czwartek Janka sprzedawała jedenaste i dwunaste, ona dziesiąte i jedenaste. Jest jakieś przesunięcie. Powtórzyły się tylko miejsca jedenaste i trzynaste. No i zamówień na bilety dokonano w jednym kierunku: zgodnie z ruchem wskazówek zegara, w związku z czym powstał jakby krąg osaczający centrum w trzecim rzędzie.

Ale co z tego... co z tego? Strzałki i znaki na rysunku gmatwały się coraz bardziej. Tak bardzo, że w końcu pani Aura poczuła ból głowy, pościeliła tapczan, zażyła optymistycznie różową pastylkę relanium i pogrążyła się w błogi sen. Dzięki zdobyczom farmakologii nie śniła jej się ani karuzela zmieniających się miejsc, ani dziewczyna z blizną na palcu, ani nawet spartolony pasjans królewski.

Ranek zastał ją wypoczętą i pełną optymizmu. Nie rzuciła nawet okiem na zagryzłone schematy, tylko szybko dopijając herbatę ubierała się w popłochu. Relanium zrobiło swoje, zasnęła cały kwadrans.

Przed kasą, niczym niemy wyrzut sumienia, czekała na nią Janka. Pierwsze, o czym pomyślała pani Aura, to czy jej własne spóźnienie nie zdemoralizuje dziewczyny. Ale na uśmiechniętym obliczu młodej praktykantki nie można było jeszcze dojrzeć symptomów zepsucia, jeżeli za jego sygnał nie przyjmować trochę zbyt grubej, jak na porę dnia, warstwy kosmetyków. Weszły do kasy razem i rozpoczęły urzędowanie od wietrzenia, zmiany wody w wazoniku z kwiatkami i różnych innych zajęć tego rodzaju. Po dziesiątej zjawili się pierwsi klienci.

Koło południa ktoś zażądał w czwartym rzędzie dziesiątego i jedenastego miejsca. Pani Aura zdrętwiała: a więc znowu, zaczyna się! Na wszelki wypadek, by przedłużyć rozmowę i zdobyć jakiegokolwiek informacje o kupującym powiedziała,

że niestety, dziesiątka jest już zajęta, ale może być w tym samym rzędzie jedenaste i dwunaste. Ku jej nieopisanemu zdziwieniu i pewnemu zawodowi kupujący zgodził się i wziął bilety.

Przed samą przerwą był telefon do Janki. Męski głos o lekko cudzoziemskim akcencie zapytał, czy jest pani Gina. Aura odpowiedziała, że wyszła na miasto i już dziś nie wróci. Wtedy rozmówca sumitując się za sprawiony kłopot prosił, by jak tylko zobaczy pannę Ginę, powtórzyła, że dzwonił Roberto. Nic więcej, zresztą i tak wpadnie do zakładu jej ojca, to może tam ją znajdzie. Przeprasza, dziękuje. Trzasnęła słuchawka.

Jak zwykle w ostatniej chwili, Spatif zgłosił się o miejsca dyrekcyjne w przyszłym tygodniu: odmówiła. Nalegali, że to dla jakichś zagraniczników z Orbisu, ale poradziła im, aby raz na zawsze zapomnieli o rezerwie dyrektorskiej. Potem wywiązała się dłuższa dyskusja z ich kierownikiem kas, kto dostaje najgorsze rzędy, a kto najlepsze; i tak przepierali swoje racje dobre dziesięć minut.

Kiedy już wychodziła, nieoczekiwanie wpadła jak bomba Janka. Była zgrzana i podniecona. Nie umiała opanować niepokoju.

– Pani Auro – wyrzuciła jednym tchem – czy nie było do mnie telefonu?

– Był – odpowiedziała z surowym chłodem pani Aura. – I wielka szkoda, Janko, że rozdajesz znajomym telefon kasy. Z niego naprawdę nie można prowadzić prywatnych rozmów. Chcesz, dzwoni z portierni, umów się z panem Tytusem, żeby cię wołał. Ale nie ode mnie. Kasa jest tylko dla klientów.

Janka pokornie, choć z wyraźną niecierpliwością, wysłuchała reprimendy, po czym zapytała:

– A kto dzwonił?

– Jakiś Robert czy Roberto, nie bardzo zrozumiałam.

Powiedział, że wybiera się do twego ojca, chyba do warsztatu.

– Dziękuję pani – Janka rzuciła się Aurze na szyję, okręciła się wokół niej trzy razy, ucałowała w oba policzki, po czym dodała:

– Już więcej nie będę. Żadnych telefonów do kasy.

I rzeczywiście telefony się nie powtórzyły, ale za to wkrótce wybuchła potworna burza. Nie, nie burza, istny tajfun, cyklon, w którego oku znalazła się nieszczęsna Janka. Oto w kilka dni później, jak zwykle koło dwunastej, pani Aura poszła na zastrzyk. Brała je co drugi dzień, zapisane przez teatralnego lekarza, bardziej z sympatii, niż istotnej potrzeby. Na kwadrans została w kasie sama Janka. Sprzedała kilka biletów, zainkasowała pieniądze, postemplowała nowe książki, słowem wykonała wszystko, co do niej należało. Dopiero na sobotnim spektaklu wybuchł skandal. Okazało się, że miejsca dyrekcyjne zostały sprzedane. Siedziały w nich jakieś dwie młode dziewczyny i odmówiły opuszczenia foteli. Miały zresztą bilety. Bilety z kasy teatru. Nie pomogły prośby i perswazje, że przesadzają gdzie indziej, na podobne, nie gorsze miejsca, ale tu właśnie dzisiaj pan dyrektor zaprosił pewnego znakomitego reżysera z samego Paryża, więc panie rozumieją... Nie, panie nie rozumiały i zrozumieć nie chciały. Paryski reżyser został usadzony w piątym rzędzie z boku. Dyrektor był wściekły.

W poniedziałek Wiśniewski wezwał do siebie panią Aurę i zrobił jej kosmiczną awanturę za bałagan, niechlujstwo i brak dyscypliny, jakie panują w kasie. Krzyczał, że zawiódł się na niej, że na to nie pozwoli, że to skandal... Ponieważ jednak ofiara nie wiedziała dotąd, o co chodzi, siedziała spokojnie, z chłodną godnością czekając na koniec ataku męskiej hysterii. Wreszcie opanowanym i bardzo oficjalnym tonem spytała:

– Przepraszam, a o co właściwie chodzi, panie dyrektorze?

– O co? O co? Pani pyta o co? O to, że sprzedała pani na sobotę miejsca dyrekcyjne, a Marczewski miał właśnie jakiegoś faceta z Paryża i nie było go gdzie posadzić.

– Miejsca dyrekcyjne? Dwunastkę i trzynastkę? – zapytała.

– No tak, dwunastkę i trzynastkę. Jak pani mogła! – znów zaczął Wiśniewski.

– Pozwoli pan, że sprawdzę w książce.

– Proszę bardzo, tylko zaraz!

Pani Aura pospiesznie opuściła dyrektorski gabinet i pobięła do kasy. Na jej miejscu spokojnie siedziała Janka i wypełniała jakiś wykaz.

– Masz książki z soboty? – zapytała.

– Proszę – nie przeczuwając niczego Janka wyciągnęła grzbiety pozostałe po biletach.

Pani Aura szybko przebiegła wzrokiem mizerne resztki ksiąg biletowych.

– Janka, coś ty zrobiła z dyrekcyjnymi miejscami? – rzuciła, a zabrzmiało to jak hamletowskie „być albo nie być”.

Istotnie bilety były wydarte, a przecież mogła przysiąc, że sama ich nie sprzedała.

– Jak to co? Nic.

– Przecież są sprzedane – zawołała pani Aura podsuwając Jance pod nos dowód rzeczowy.

Janka zaczerwieniła się i spuściła oczy.

– Może się pomyliłam... były wolne, to nie chciałam, żeby zostały – płątała się.

– Więc jak? Pomyliłaś się, czy bałaś się, że zostaną: wybieraj, albo – albo.

Janka milczała. Była coraz czerwiejsza i widocznie bardzo starała się wybuchnąć płaczem.

– Omyliłam się... – wybąkała wreszcie.

Jedynie, co udało się pani Aurze ustalić po dłuższym śledztwie, to że Janka sprzedała oba miejsca dyrekcyjne jakiejś staruszce z prowincji, która koniecznie chciała siedzieć w środku i blisko (a bliżej niczego wolnego nie było, bo to sobota). Że nie przyznała się do tego pani Aurze, bo myślała, że nic takiego, a w ogóle to pani Aura była na zastrzyku. I jeśli idzie o nią, Jankę, to zaraz sama pójdzie do dyrektora i wszystko wyjaśni, może zapłacić, może odejść, może wszystko, tylko niech pani Aura o niej nie myśli, że... I to „że” już nie znalazło dalszego ciągu, tylko rozplynęło się w potoku rześzystych łez.

Minęło pół dnia, zanim sprawa została na tyle załagodzona, że Jance przestało grozić natychmiastowe wyrzucenie. Wiśniewski zakłajstrował jakoś poranną awanturę i życie wróciło do normy. Wróciło, ale i nie wróciło, bowiem pani Aura czuła przez skórę, że Janka wszystkiego jej nie powiedziała. Staruszka spoza Warszawy i dwie bezczelne dziewczyny na dyrekcyjnych miejscach – to w żaden sposób nie pasowało. Nagle też zdała sobie sprawę, że amatorzy z góry upatrzonych, nieznanym kluczem wybieranych miejsc – zawsze potrafią je zdobyć

Na razie postanowiła zostawić dziewczynę w spokoju, nikomu nic nie mówić, tylko na osobnym planie widowni znać wszelkie podejrzone zakupy biletów, wszystkie miejsca, przy których ktoś się upierał, słowem zamieniła się w Sherlocka Holmesa, rozpoczynając od zbierania materiałów poszlakowych. O co tu szło – nie miała pojęcia. Czuła natomiast dobrze, że za tymi biletami, za tym uporem w wyborze miejsc, coś się kryje.

A może to Wiśniewskiego śledzą za jachtowe kombinacje? – przemknęło jej przez głowę.

* * *

ULICA PIEKARSKA

Zaręba ustawił swego porsche'a jak mu kazano: na parkingu przy Podwalu, znów niedaleko od Kilińskiego. Zatrzasnął drzwiczki, przekręcił kluczyk i lekkim krokiem skierował się na Stare Miasto. Piekarską wprost na Rynek. W wozie na tylnym siedzeniu leżał opakowany w plastikowy worek, owinięty kocem ten cholerny, śmierdzący czerwonym, podłym winem pakunek. Jeszcze na podłodze samochodu zieleniały resztki wodnej rzęsy, naniesionej tam z tej przeklętej dziury. Jeszcze czuł mdlący strach, kiedy mijał którykolwiek z milicyjnych patroli, ba, pierwszego lepszego milicjanta. Jeszcze ciągle miał przed oczyma zatęchłą mroczną studnię, do której dziś zląził właśnie po raz trzeci, o mało nie skręciwszy karku, żeby zarobić parszywe trzysta dolarów. U tych łobuzów i wyzyskiwaczy, którzy za pierwszym razem obrali go z połowy sumy.

Ale tego im nie daruje – dzisiaj zasadzi się i zobaczy, co się dzieje z porsche'em, jak tylko on sam znika z pola widzenia.

Wymyślił to sobie bardzo chytrze. Od znajomego faceta pożyczył skodę na całą noc. Zaparkował ją też na Podwalu, tylko bliżej placu Zamkowego. Wóz ustawił tak, by mieć dobry widok na porsche'a. Teraz pokręci się po Rynku, przejdzie na Brzozową i tyłem, za katedrą, koło Pałacu Ślubów wróci przez plac Zamkowy. Potem spokojnie wsiądzie do skody i będzie czekał na ciąg dalszy...

Zaręba zrobił wielkie koło i w gęstniejącym zmierzchu wyszedł na plac. Mieszając się z tłumem, podszedł do pożyczonej skody. Wyciągnął kluczyki, pomanipulował nimi trochę dłużej niż przy własnym samochodzie (co przyzwyczajenie, to

przyzwyczajenie) i wreszcie siadł za kierownicą. Opuścił lewą szybę i udając, że drzemie, patrzył na ginącą w gasnącym dniu sylwetkę czerwonego porsche'a.

W pewnej chwili zdawało mu się, że wóz rusza. Zapalił silnik, cofnął się i pojechał Podwalem. Nie! Auto stało tam, gdzie je zostawił. Zrobił więc pętlę przez plac Krasińskich, Miodową, Krakowskie i znowu znalazł się na placu Zamkowym. Skręcił w Podwale, aby zaparkować bliżej porsche'a. Szczęściem niedaleko było wolne miejsce. Robiło się coraz mroczniej. Latarnie rozświetlały tylko niewielki odcinek ulicy, rzucały mdłe błyski na trotuary. Siedział napięty, wpatrzony, nie zapalał nawet papierosa, aby nie zdradzić się błyskiem ognia.

W pewnej chwili, kiedy było już całkiem ciemno, a wokół panował niezmacony spokój, zauważył, że przy jego wozie kręci się paru wyrostków. Niby to oglądali tablicę, kucali, coś tam gadali i sprzeczali się, nie odstępując jednak wozu na krok. Pomyślał, że pewnie chcą mu gwizdnąć fabryczną plakietkę albo ściągnąć dekiel. Wysiadł więc, by ich spłoszyć; ale zorientował się, że chłopcy zrobili mu grubszy kawał. Z prawego tylnego koła z sykiem ulatywało powietrze: odkręcono wentyl.

Wściekły rzucił się za szczeniakami, którzy biegli w kierunku wyciągającego szablę pułkownika Kilińskiego. Potem smyrnęli w mroczny tunel Piekarskiej. Tam stracił ich z oczu. Nie przerwał jednak pościgu. Ledwie minął krąg światła koło pomnika, na samym skraju staromiejskiej ciemności nagle władował się na kogoś, ten pchnął go z całej siły w lewo. Nic nie widział, ale poczuł, że znów obija się o kogoś, że ktoś ładuje mu „bombę” w brzuch. I jeszcze raz, i jeszcze... Ciosy sypały się zewsząd jak grad. Chciał krzyżeć, ale zatkano mu usta śmierdzącą wódką szmatą. Czyjeś ręce trzymały go w

żelaznym uścisku, ktoś walił pięściami w żołądek, jeszcze inny kopał. Wreszcie rzucono go pod mur i tylko rozległ się w ciemnościach tupot nóg. Chuligani dali nura.

W ustach czuł stony smak krwi, w głowie szumiało, brzuch bolał, jakby przejechał po nim buldożer, nogi miał potłuczone, oczy podbite i – cuchnął wódką. Ubranie zlane było alkoholem. Z trudem się podźwignął; początkowo chciał wołać o ratunek, wzywać milicję, rychło jednak zrozumiał, że w takim stanie sam zbyt wiele będzie musiał tłumaczyć, więc chwiejnym krokiem powlókł się do skody. Minął Kilińskiego i znalazł się koło postoju samochodów. Wóz, w którym siedział jeszcze przed dziesięcioma minutami, stał na miejscu z oklapniętą prawą oponą. Spojrzał w kierunku, gdzie stał porsche. Miejsce było puste.

Klucząc bocznymi ulicami, późnym wieczorem dowlókł się do mieszkania. Bandaże, opatrunki, kąpiel, dezynfekcja – wszystko to zajęło mu czas do północy. Wreszcie obolały, ale jako tako doprowadzony do porządku zasnął. Spał źle, choć długo. Na Podwalu zjawił się dopiero o dziesiątej rano. Porsche stał obok pożyczonej skody. Otworzył swój wóz: pachniało, jak zwykle po zabraniu towaru, duszącymi perfumami. W lewej kieszeni spoczywały w spokoju dokumenty, a między nimi tylko sto pięćdziesiąt dolarów i małeńki bilecik: „Nie kapować”. Zrobiło mu się mdło. A więc to byli tacy chuligani?!

Zrozumiał wreszcie: wkopał się w sytuację, w której nie może nic zrobić. Żadnego kroku bez zgody tamtych, bez kontroli. Poczul się więźniem, zdanym na łaskę i niełaskę groźnej, bezwzględnej siły. Ludzi, którzy byli wszędzie.

* * *

ROBERTO

Janka była zakochana. Śmiertelnie, bez pamięci, naprawdę pierwszy raz w życiu. Zakochała się w młodym bogu z lancier, w Roberto. Roberto był inny niż ów trzeci asystent drugiego reżysera, który zaangażował ją jako statystkę na pięć dni zdjęciowych i nie wypuszczał od siebie przez pięć kolejnych nocy, co początkowo było romantyczne, ale wkrótce stało się męczące, a wreszcie nudne i w końcu obrzydliwe. Czego się jednak nie robi dla sztuki?

Roberto był zupełnie, ale to zupełnie inny. Dyskretny, subtelny, łagodny. Zachowywał się jak bajkowy książę skrzyżowany z amantem filmowym. Miał najmodniejsze ubrania, najpiękniejsze koszule, pachniał wodą Wortha, był wygolony jakby dopiero co wrócił od fryzjera i całował... Ach, jak Roberto całował! Janka po tych pocałunkach chodziła jak pijana, kręciło się jej w głowie, szumiało w uszach...

Roberto niczego nie wymagał. Oprawdzał ją po najdroższych lokalach, zapraszał na kolacje, do kina, do teatru, wyciągał na nocne programy kabaretowe, po czym najspokojniej odwoził lancier pod dom i tylko przed pożegnaniem całował... całował... całował.. Janka czuła się wtedy winna. Winna, że nie odplaca mu czymś więcej za to, co dla niej robi. Na jedno słowo, jeden gest gotowa była zadokumentować swą płomienną miłość całą sobą. Nawet trochę ją niepokoiło, że Roberto nie domaga się tego od niej. W najgorsze godziny, te, w których czekała na niego, zaczynała się obawiać, czy nie jest jakiś... inny. Może obarczony nieznanym jej, a strasznym zwyrodnieniem? Może ona nie potrafi wzbudzić w nim dość silnej namiętności? Może... Ale złe godziny mijały, Roberto zjawiał się na horyzoncie i szczęście – niemal pełne – wracało.

Roberto był przedstawicielem zagranicznej firmy i czas jego zawsze zależał od tysięcy interesów. Miał też mnóstwo cudzoziemskich przyjaciół, którzy byli miłośnikami teatru. Tłumnie zjeżdżali do Warszawy i latali z przedstawienia na przedstawienie, a najchętniej – było to cichym powodem dumy Janki-Giny – odwiedzali Teatr Otwarty. Stąd też Roberto nieustannie prosił ją, by rezerwowała mu bilety, lub sama je wykupywała (należności regulował natychmiast, w ogóle pieniądze nie miały żadnego znaczenia). Niekiedy obarczał ją interwencjami w kasach Spatifu w sprawie jakichś upatrzonych miejsc dla jego kolegów, znajomych i zwierzchników, zawsze jednak tylko do „Otwartego”.

Raz, kiedy Gina, z radością zresztą spełniająca te drobne prośby, dziwiła się teatralnemu hobby jego przyjaciół, wyznał jej w sekrecie, że zamierza zmienić branżę – chce przejść do show-bussinesu, zostać wielkim agentem artystycznym. Jak niegdyś w Ameryce Hurok. Gina nie bardzo zrozumiała, o co mu chodzi, a więc wyjaśnił jej, że wraz z kilku przyjaciółmi nosi się z myślą założenia takiego prywatnego Pagartu w USA, ale to jeszcze wielka tajemnica. Chyba już teraz rozumie, czemu tylu ludzi z jego otoczenia interesuje się teatrem.

Teatr pasjonował ich istotnie. Zwłaszcza w określone dni i na określonych miejscach widowni. Roberto nigdy nie potrzebował biletów w ogóle – potrzebował zawsze tylko takie a takie fotele w wyraźnie podanych rzędach. Raz nawet doszło przez to między nimi do ostrej sprzeczki. Gina, nie mogąc dostać miejsc, na których zależało Robertowi, przyniosła inne bilety. Nawet lepsze: bliższe, środkowe. Wtedy zaczął na nią krzyczeć, a w oczach pojawiły mu się złe błyski, zacisnął szczęki i już zdawało się, że szybki cios rozwartej dłoni wyląduje na jej policzku. Ale nie. Pohamował się. Potem przeprosił ją i powiedział, że to dla niego wielki kłopot, bo miejsca, na

których mu zależało, są dla reżyserów z Hollywoodu. Przyjechali zobaczyć tu kilku aktorów z „Otwartego” i muszą ich obejrzeć na scenie pod specjalnym kątem, a poza tym to wszystko tajemnica i nikt nie może się dowiedzieć o amerykańskiej wizycie. Gina – pochlipując – obiecała naprawić wszystko. Wtedy właśnie zdarzyło się w „Otwartym” nieszczęście z dyrektorskimi miejscami, o nie bowiem chodziło amerykańskim bossom z Metro-Goldwyn-Mayer.

O awanturze w teatrze oczywiście nie wspomniała Robertowi.

Chociaż jesień siąpiła październikowym deszczem i chłody stawały się coraz dotkliwsze, miłość Giny kwitła pełnią wiosny. Wszystko wydawało się jej piękne i promienne, a oczekiwanie wielkiego spełnienia, którym chciała udowodnić mężczyźnie, jak bardzo go kocha i jak bardzo potrafi kochać, napawało ją radosną niecierpliwością. W tym upojeniu nie dostrzegała, że załatwia dla przyjaciół Roberta bilety na każdy dzień tygodnia, że wykupywane miejsca układają się w jakieś dziwne meandry na planie teatralnej widowni. Gina tego nie widziała, ale zaczynała widzieć pani Aura.

Od historii z miejscami dyrekcyjnymi pani Aura stwierdziła, że nagle znakomicie zmalała ilość niezwykle zamówień na określone miejsca, że tajemniczy klienci przestali się pokazywać, a dziewczyna z blizną na serdecznym palcu odwiedziła kasę już tylko raz czy dwa, oczywiście domagając się wybranych miejsc, o dziwo jednak – aż czterech (od dwunastego do szesnastego) i to w dziewiątym rzędzie. Potem była cisza, ale kiedy przypadkiem pani Aura zajrzała do ksiąg biletowych, skonstatowała, że w dziewiątce miejsca dwanaście i trzynaście są z góry sprzedane na dzień później po tym, który wybrała sobie jej klientka, zaś czternastka i piętnastka na dzień wcześniej. Nietrudno było ustalić, że obu transakcji dokonano

podczas zastępczego dyżuru Janki w kasie.

Galeria królów poszła w ką i teraz całe wieczory – a wieczory jesienne są wyjątkowo długie – pani Aura spędzała przy swoim biedermeierowskim sekretarzyku, nanosząc na plan widowni informacje o podejrzanych transakcjach biletowych. Z chaosu wyłaniał się dziwny obraz. Wyglądało na to, że tajemniczy klienci wykupują miejsca kręgami obejmującymi po pięć rzędów, przy czym zawsze, lub prawie zawsze, rząd środkowy zostawał pusty. Żadne ze znajdujących się w nim miejsc nie interesowało podejrzanych widzów.

Druga obserwacja wskazywała, że „kręgi” posuwają się ku tyłowi i w prawą stronę widowni. Tu znowu następowała komplikacja, jako że rzędy od szóstego do ósmego sprzedawał Spatif i pani Aura nie mogła niczego na tamtym terenie dokładnie skontrolować bez wzbudzenia podejrzeń. Tego zaś chciała uniknąć za wszelką cenę. Tak więc na jej biurczku piętrzyły się stosy szkiców, rysunków i notatek. Kupiła nawet komplet kolorowych flamastrów, aby bardziej przejrzystość prowadzić swoje skomplikowane wykresy, zmierzając do wykrycia jakiegokolwiek prawidłowości w tym wszystkim. Ostatecznie na system „kręgów” wpadła też nie od razu, ale po przeprowadzeniu akcji wywiadowczej, której początkowo wstydziła się sama przed sobą. Mając mgliste podejrzenia co do Janki, zaczęła bardzo starannie wyszukiwać bilety, które ona sprzedawała z największym wyprzedzeniem. Pani Aura przeglądała książki, jakimi dysponowała kasa na najdalsze terminy, i tam wyszukiwała sprzedane pod jej nieobecność bilety. Następnie cofała się coraz bliżej ku aktualnej dacie. Dane uzyskane tą drogą pozwoliły jej odkryć zasadę „kręgów”, i to kręgów ruchomych, ale nieforemnych. Z wolną linią środkową. Pani Aura nie miała już wątpliwości, że stale

ktos kogoś śledzi na sali. Pozostawało tylko przekonać się, kto i kogo?

Technika obserwacji była dość prosta – należało jedynie wynotować „trefne” miejsca i daty, a potem wśliznąć się niepostrzeżenie na salę, poszukać sobie możliwie blisko wolnego fotela i czekać do przerwy. Wymagało to czasu. Zmuszało do gry nie fair z Janką, którą pani Aura naprawdę polubiła i której nie chciała okłamywać. Ale może dziewczyna istotnie wplątała się w coś nieopatrznie i trzeba jej pomóc? Wyciągnąć z kłopotów, zażegnać wiszące nad jej głową niebezpieczeństwo?

Tymczasem dni Janki upływały na oczekiwaniu spotkań z Robertem i radości, że chociaż drobnymi usługami w teatrze może okazać mu swą pomoc i przywiązanie. Jedno ją niepokoiło, a równocześnie napawało nadzieją. Otóż miłość ich ciągle nie wychodziła poza formy tradycyjnych konkurów, coraz podobniejszych narzeczeństwu. Czyżby więc Roberto myślał o czymś poważniejszym, niż przygoda z warszawską dziewczyną? Czyżby rzeczywiście do Giny miało uśmiechnąć się wielkie, największe szczęście: mąż – królewicz z bajki?

I kiedy wszystko układało się najlepiej, w ostatnich dniach października Roberto zabrał Ginę na kolację do Europejskiego. Cały czas był smutny, markotny, jakby coś przed nią ukrywał. Wreszcie pod koniec wieczoru wydusił, że niestety – w Jance zamarło serce – jutro wieczorem musi wyjechać. W interesach firmy, na kilka dni. Dziewczynie łzy zaszklily się w oczach.

A więc to koniec? – zadała sobie pytanie i opuściła głowę.

– Gina, nie utrudniaj – mówił szeptem Roberto – mnie jeszcze ciężiej niż tobie. Wrócę, naprawdę wrócę za parę dni. Wrócę, bo już tak dalej, bo bez ciebie... nie potrafię – po czym dodał głośniej i tonem uroczystym:

– Gina, ja cię kocham i chcę się z tobą ożenić.

Jankę sparaliżowało. Nie mogła wydobyć słowa, zaczerpnąć oddechu, mrugnąć powieką. Siedziała skamieniała z wyrazem bezbrzeżnego zdziwienia i zaskoczenia.

– Naprawdę? – szepnęła wreszcie. – Naprawdę chcesz się ze mną zaręczyć?

– O niczym innym nie marzę – niemal krzyknął Roberto – zaręczyć, ożenić się i zrobić z ciebie gwiazdę.

Świat tańczył przed oczyma Janki. Potem był już tylko wystrzał butelki szampana i jazda lanią w ciemną noc. Pierwszy raz do niego. Na pożegnanie i powitanie zarazem. Nie, nie mogła już czekać i sama zaproponowała mu tę noc – jak z mężem – żeby ją tam, daleko, wśród zagranicznych kobiet, dobrze pamiętał.

U Roberta w domu wszystko było niezwykle, cudownie egzotyczne i ekscytujące. Większość przedmiotów pochodziła z zagranicy i miała odmienne, podniecające wyobrażnię kształty i barwy. Na ścianach wisiały dziwaczne obrazy, w barku połyskiwały kolorowe butelki o fantastycznych kształtach z obcojęzycznymi nalepkami. Grube, lejące się story zasłaniały okna. Cały pokój był wybity kosmatym dywanem, po kątach stały głębokie, miękkie i niskie fotele. Jak w filmie. Łazienka wyłożona liliowymi kafelkami kusiła do kąpieli. Gina rozebrała się szybko i puściła prysznic. Potem wytarła się olbrzymim, włochatym prześcieradłem kąpielowym i włożyła na gołe ciało obszerny, śmiesznie duży szlafrok Roberta.

W pokoju panował ciepły półmrok, mężczyzna stał czujny i wyczekujący. Gdy zjawiła się w drzwiach, rzucił się jednym skokiem ku niej. Już była w jego objęciach, już ją podnosił, niósł... przestała orientować się w przestrzeni. Poczowała, że leży na miękkim tapczanie, a nad nią schyla się z płonącymi oczyma

on – jej chłopak. Roberto. Gorące wargi błędziły po jej szyi, ramionach, piersiach, ręce natarczywie szukały ciała. Ranek obudził ich głodnych rozkoszy. Gina chciała przedłużyć noc, która przemknęła jak chwilka, zaczęła wtulać się w ciepłe, silne ciało mężczyzny, ale on najlepszym i najpiękniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała, szepnął:

– Nie można, Gina – musimy zostawić coś na później. Teraz jest dzień i muszę jechać.

Zrobiło jej się zimno. Znów ogarnęły ją wątpliwości, czy los nie pokrzyżuje wszystkich planów, czy to nie koniec, nie wspaniały finał, romantyczna śmierć ledwo zrodzonej miłości. Ale jakby odgadując jej myśli, Roberto powiedział:

– Słuchaj, wróć za parę dni... za tydzień, najdalej za dwa tygodnie, ale mam do ciebie prośbę, wielką prośbę...

– Wszystko... wszystko, czego zażadasz, Roberto.

– Właściwie to nic wielkiego. Podczas mojej nieobecności trzeba będzie załatwić kilka drobnych spraw. Widzisz, nie chciałbym cię nimi kłopotać, ale myślę, że powinnaś przyzwyczajać się do obowiązków żony...

Gina rzuciła mu się w ramiona, przepętniona wdzięcznością za to, co powiedział.

– Wszystko zrobię z radością, o ile tylko potrafię... – zasępiła się nagle, zdając sobie sprawę, jak niewiele może pomóc temu wspaniałemu mężczyźnie.

– Widzisz, to drobiazg. W przyszłym miesiącu przyjeżdża chmara różnych facetów z show-bussinesu. Trzeba dla nich zarezerwować, a raczej kupić, miejsca w twoim teatrze...

– Już zrobione...

– Tak, tylko trzeba tego dokonać dyskretnie. Bardzo dyskretnie. Ci faceci od grubej forsy nie lubią się ujawniać. Wolą zachować incognito. Więc nie rozgaduj tego – dobra?

– Roberto – powiedziała z wyrzutem – jak możesz...?
– Nie, nie, wiem dobrze, tylko tak na wszelki wypadek. Pamiętaj i naucz się: kupisz po dwa miejsca na dwa dni pod rząd, na następujące fotele... – Tu Roberto sięgnął na półkę, wyjął z niej jakąś angielską książkę z figurami szachowymi na okładce, zaczął szybko kartkować. Wreszcie znalazł odpowiednią stronę. Gina kątem oka dostrzegła narysowaną tam szachownicę z zaznaczonym układem figur.

– A więc uważaj – mówił, a głos jego brzmiał teraz poważnie, niemal surowo – na pierwszy wtorek po pierwszym listopada kupisz dwa miejsca w dwunastym rzędzie, jedno z nich to musi być koniecznie fotel siedemnasty, drugie obojętne, z lewej lub z prawej. Tę samą siedemnastkę kupisz na środę. Także z dowolnym miejscem z boku. Na czwartek i piątek wykupisz w jedenastym rzędzie osiemnastkę plus coś tam jeszcze, na sobotę i niedzielę fotel dwudziesty w jedenastym, na wtorek i środę – już w następnym tygodniu: dwadzieścia jeden w dwunastce...

– Poczekaj – krzyknęła przerażona Gina – ja tego nigdy nie spamiętam, muszę zapisać!

– O nie, kochanie, to są tajemnice handlowe i tego nie wolno pisać. Teraz, kiedy jesteśmy małżeństwem, mogę ci się przyznać, że płacą mi prowizję za takie przysługi, tylko nie chcę, aby ktokolwiek o tym wiedział. Nie bardzo wypada. Zresztą idzie nie o te parę dolarów, ale o stosunki, jakie wyrabiam sobie w branży rozrywkowej. To u nas, w Stanach, podstawa powodzenia. Więc jeszcze raz, musisz się nauczyć: wtorek, środa dwanaście-siedemnaście, czwartek, piątek: jedenaście-osiemnaście, sobota i niedziela: jedenaście-dwadzieścia. Ucz się tylko rzędu i jednego miejsca, drugie zaś obojętne, byle obok. A więc powtarzaj...

I tak zaczął się żmudny proces wkuwania przez Ginę skomplikowanego systemu wykupu miejsc na widowni. Systemu, w którym nie widziała żadnego ładu i składu, bo go zresztą nie szukała. Czyż to ważne, dlaczego ci bogacze zza oceanu chcą siedzieć tu, a nie gdzie indziej, skoro mają dolary?...

DRINK W VASSENAAR

Dla kogoś nie obeznanego ze stosunkami holenderskimi, między Amsterdamem a Hagą nie ma właściwie żadnej przerwy. Miasta zlewają się tonącymi w zieleni dzielnicami willowymi i trzeba bardzo uważnie śledzić mijane znaki i nazwy, by jadąc z Amsterdamu nie zapędzić się zbyt daleko, zamiast w Vassenaar – nie wylądować nagle w centrum stołecznej Den Haag. Jest to jednak jedyna niedogodność mieszkania w Vassenaar, które zachowało jeszcze resztki wioskowego układu ulic, wioskowej zieleni, ciszy i spokoju, a już obrosło wygodami i luksusem nowoczesnego miasta. Ot, bogata, willowa dzielnica, której mieszkańcy w swoich klimatyzowanych, kosztownych willach starają się upodobnić do holenderskich chłopów, w miejsce mulistych polderów uprawiając różane ogródki i angielskie trawniki.

Przy jednej z ulic odchodzących z placynu, na którym stoi wiejski (wszystko jest tu bardziej wiejskie niż na autentycznej wsi) kościółek, zwanej Portlaan, pod numerem 25b, stała rozłożysta, pokryta ciemno-purpurową dachówką jednopiętrowa willa. Otaczały ją krzewy i niewysokie drzewa, a wzdłuż frontu biegł wąski pas nieskazitelnego trawnika. Szerokie okna, oszklone drzwi i zupełna cisza. Tylko z sąsiedztwa dobiegały nawoływania dzieci, bawiących się w głębi ogrodu. Dom przy

Portlaan robił wrażenie wymarłego.

Koło wpół do piątej ciemniejącą w mroku ulicą szedł człowiek. Postawny, zgrabny młodzieniec o lekko łatyńskiej urodzie. Rozglądał się uważnie, jakby szukając nieznanego budynku, liczył numery i obserwował równocześnie przeciwną stronę jezdni, niekiedy nagłym ruchem oglądając się za siebie. Wreszcie stanął przed numerem 25b, podszedł do drzwi opustoszałej, ciemnej willi, po czym kilkakrotnie w nierównych odstępach czasu nacisnął taster dzwonka. Dom wydawał się martwy. Przybysz odczekał dwie lub trzy minuty i powtórzył operację z dzwonkiem, tym razem inaczej. Ledwie dbkończył, drzwi otworzyły się automatycznie, wpuszczając go do ciemnego hallu. Przekroczył próg i automat bezszelestnie zamknął wejście, z góry zaś przez ukryty megafon ktoś powiedział:

– Schody na lewo, potem korytarzem, drzwi po prawej. Nie zapalać światła.

Przybysz ostrożnie posuwał się przed siebie w ciemnościach, mając pod stopami tłumiący odgłos kroków, gruby chodnik. Wreszcie obmacując rękoma ściany dotarł do schodów. Trzymając się poręczy wchodził wolno na górę, czujny i uważny, gotów na odparcie nieoczekiwanego ataku. Wreszcie dotarł do podestu, z którego szło się w głąb korytarza, słabo rozświetlonego jaśniejszą plamą okna na końcu. Nadal ufając bardziej zmysłowi dotyku niż wzroku, błędził ręką po ścianie, aż poczuł framugę drzwi, a następnie ich gładką, chłodną płaszczyznę. Klamka była masywna, odlana z jakiegoś ciężkiego metalu, zapewne z brązu. Nacisnął ją ostrożnie. Pomieszczenie, do którego miał wejść, zalegały ciemności. A przecież coś się tam działo. Stał nasłuchując i dopiero po chwili uświadomił sobie, że dobiega go słaby odgłos ludzkich oddechów i leciutkie trzeszczenie mebli. Znieruchomiał, sprężył się, gotów odskoczyć w tył lub rzucić się w ciemność

na nieznanego przeciwnika. Wtedy ktoś z głębi pokoju powiedział:

– No, niechże pan zamknie te drzwi, bo nas tu zawieje.

Posłusznie wykonał rozkaz. W momencie kiedy usłyszał za sobą lekki trzask zamka, pokój zalało ostre światło. Przez chwilę stał oślepiiony, bez ruchu, osłupiały, bezbronny.

Sprytnie pomyślane – skonstatował – wyłącznik w klamce.

Znajdował się w sporym, dostatnio urządzonej salonie: miękkie, kryte futrem fotele, wokół ścian zabytkowe, ciężkie szafy biblioteczne, pełne tomów w bogato złożonych oprawach, w głębi rozłożyste biurko z lampą przyćmioną jedwabnym abażurem. Była też kanapa, niski stół i wygodny, dobrze zaopatrzony barek na kółkach. W ścianie po lewej stronie dostrzegł zamknięte, dwuskrzydłowe drzwi. Jedyne, czego tu brakowało, to okna. Dwoje drzwi, cztery ściany. Nic więcej.

Na rozstawionych półkolem fotelach siedziało w swobodnych pozach trzech starszych panów. Nie znał żadnego z nich. Robili wrażenie solidnych biznesmenów, którzy zeszli się w klubie na drinka przed koleżeńskim obiadem. Każdy z nich miał w ręku szklaneczkę z jakimś kolorowym płynem, podzwaniając kostkami lodu.

– Proszę, niech się pan poczęstuje – zaproponował najstarszy – i niech pan siada.

Przybysz podszedł do barku, nalał do szklanki trochę whisky, wrzucił dwie kostki lodu i siadł na najbliższym z foteli. Były niezwykle miękkie, człowiek zapadał się nagle i głęboko.

Niełatwo byłoby szybko się z tego poderwać – pomyślał przezornie i pociągnął łyk alkoholu.

– Zaprosiliśmy pana na drinka – powiedział najstarszy z dżentelmenów – aby skonfrontować pańskie zdanie z opinią naszych przyjaciół. Są pewne komplikacje techniczne, z

którymi ekspozytura warszawska nie bardzo może sobie poradzić. Zdając sobie sprawę z trudności pracy na tamtym terenie, postanowiliśmy przed powzięciem jakichkolwiek decyzji rzecz dokładnie i bezstronnie zbadać. Uważamy, że okres rozruchu przedsiębiorstwa wreszcie powinien się skończyć i pora przejść do intensywnej eksploatacji. Tymczasem cała linia działa mało wydajnie. Słabo. Ospale. Ilości, jakie otrzymujemy, są wprost śmieszne. Nie pokrywają kosztów produkcji i transportu, nie mówiąc już o normalnej amortyzacji wkładów. Jeżeli tak dalej pójdzie...

– Tak dalej nie pójdzie – wtrącił ostro pięćdziesięcioparoletni szczupły mężczyzna wyglądający na stetryczalego profesora. – Tak dalej iść nie może; nie wolno lekkomyślnie zaprzepaścić naszych wkładów. Koncepcja zmniejszenia ryzyka nie może być równoznaczna z praktyką wstrzymania działalności. Pieniądz, który nie pracuje, traci na wartości, zwłaszcza obecnie, w czasach wzmożonego tempa inflacji. Poza tym nasze dzieciennie małe dostawy wyprą nas z rynku. Raz na zawsze... – zawiesił głos, po czym dodał: – A kto za to zapłaci?!

Przybysz nie umiał ukryć zaskoczenia przemową obu panów. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiej rzeczowej, handlowej dyskusji. Ponieważ zapadła cisza i pomyślał, że teraz oni czekają, by się odezwał, zapytał:

– Nie bardzo rozumiem, w czym mogę być panom pomocny? Obawiam się, że moje informacje nie będą odbiegały od tego, co panowie już wiedzą.

– Mamy możliwości techniczne – wyjaśnił senior – przeliczenia około sześćdziesięciu kilogramów towaru miesięcznie. Tyle otrzymujemy i tyle możemy wysłać. Ale wszystko opóźnia przeładunek. I wie pan, jak opóźnia? Pracujemy na dziesięciu procentach naszych mocy technicznych. To skandal!

– Takie były warunki wyjściowe, których nie pozwalano nam przekroczyć. Warunki ryzyka. Przekięcie linii wschód-zachód ma zapewnić pełne bezpieczeństwo.

– Bzdura! Rzecz polega nie na cackaniu się z przeładunkiem, lecz na nowym szlaku – zirytował się trzeci, dotychczas milczący rozmówca. – Niech pan coś zaradzi na zwiększenie tempa przeładunku, przecież to pana sprawa.

– Owszem, wszystko można, tylko trzeba wiedzieć, za jaką cenę. Nie ma trudności technicznych, by przeładowywać na punkcie nie sześć kilogramów miesięcznie, ale około pięćdziesięciu. Tyle, ile panom potrzeba. Ale wtedy zarówno liczba ludzi wmieszanych w sprawę będzie wielokrotnie wyższa, jak też codziennie na punkcie przeładunkowym znajdować się będzie równocześnie przez dwie godziny co najmniej cztery kilogramy towaru. Teraz nie ma więcej niż pół kilograma. Wzrost obrotu musi prowadzić do wzrostu ryzyka, wzrost ryzyka do wzrostu kosztów...

– Kosztów, dlaczego? – zapytał pan wyglądający na profesora.

– Bo ryzyko będzie oczywiste, a im kto więcej stawia na kartę, tym większej oczekuje wygranej – odpowiedział spokojnie młody człowiek.

– Jak więc proponuje pan zintensyfikować przeładunek? – zapytał po chwili ogólnego milczenia senior.

– Myślę, że nie idzie panom o szczegóły ściśle techniczne. Z grubsza biorąc rzecz wygląda tak, że nasz człowiek z linii wschodniej zostawia w punkcie przeładunkowym – a jest to punkt ruchliwy, przesuwają się tam setki ludzi dziennie – pół kilograma towaru w dwu pojemnikach. I tu urywa się kanał pierwszy. Inny, zupełnie mu nie znany człowiek – pierwszy z linii zachodniej – zdejmuje towar następnego dnia z tego samego miejsca. Ludzie ci nie kontaktują się, nie stykają, nie

mają możliwości śledzenia się wzajem. W dwadzieścia cztery godziny po zdjęciu towaru, w innym miejscu punktu przeładunkowego, inny człowiek z linii wschodniej znów składa swoje dwa pojemniki, by następnego dnia podjął je łącznik linii zachodniej. Ponieważ do punktu kontaktowego mamy dostęp sześć razy w tygodniu, przeto, jak łatwo obliczyć, możemy dokonać trzech przerzutów ładunku – w sumie półtora kilograma. Jest to może powolne, ale dość pewne. Brak możliwości wzajemnych kontaktów, rzadkie powtarzanie się tych samych łączników itd. Oczywiście, możemy te wszystkie operacje zwielokrotnić do tego stopnia, by każdego dnia – z pozostających do naszej dyspozycji sześciu dni tygodnia – ładowało towar w punkcie osiem osób (tę cyfrę wyznaczają względy techniczne) i jednocześnie rozładowywało drugie osiem osób. Lecz wtedy każdego dnia szesnastu naszych ludzi będzie w tym samym miejscu z czterema kilogramami towaru. Ryzyko olbrzymie, przyjmując, że personel obsługujący taką karuzelę musiałby liczyć dziesiątki łączników...

– Czy myśli pan, że w Polsce brak ludzi do takiej roboty?
– zapytał łatwo irytujący się pan.

– Myślę, że ludzi, którzy są gotowi dobrze zarobić w dowolny sposób, nigdzie nie brak, ale Polacy są ogromnie gadatliwi, niełatwo dochowują sekretu, lubią się chwalić. I mają nieprzekupną policję, co jest chyba największym złem w naszej sytuacji.

– Tak, to jest przeszkoda – potwierdził najstarszy. – Wi-
dzi pan jednak, że to, co się dzieje obecnie, nie może trwać
dłużej. Myślę, że powinniśmy naszą pracę intensyfikować
etapami. Na razie podwoimy przeładunek...

Przybysz chciał coś wtrącić, ale starszy pan nie dał mu
dojść do słowa:

– ...nie, nie – szczególnie proszę zachować dla siebie. Jedno

jest pewne: podwajamy przeładunek, no, może trochę więcej – niech pan przerzuca z linii wschodniej na zachodnią piętnaście kilogramów miesięcznie. Na początek. Zespół poszerzy pan na tyle, na ile to niezbędne, a my zorganizujemy szczelniejszą osłonę. Przede wszystkim postaramy się, aby nie było przecieków. Ale proszę pamiętać, że to nie koniec. To dopiero pierwsze kroki. Towar musi popłynąć strumieniem. Strumieniem – rozumie pan?

- Rozumiem – przytaknął młody człowiek.
- To do widzenia.

Wstał, lekko uklonił się zebranych dżentelmenom, odstawił nie dopitą szklaneczkę whisky i zbliżył się do drzwi. Gdy tylko nacisnął masywną klamkę, zgasło światło. Po chwili był w korytarzu.

SZYFR

Aby osiągnąć swój cel, pani Aura pozostawiała teraz częściej niż zwykle Jankę w kasie. W zastępstwie. Potem, z pałającymi od wstydu i ciekawości policzkami, wertowała grzbiety książek biletowych. Janka chętnie dyżurowała przy okienku. Miała okazje do realizowania swego planu i do cichych marzeń o księciu z bajki. Roberto – Amerykanin, Włoch i Polak w jednej osobie, wielka, prawdziwa miłość i wielka namiętność. Od jego wyjazdu minęło już dziesięć dni, a jeszcze każda minuta tamtej nocy stała żywo w jej pamięci, jakby to było przed chwilą. Starła się przyspieszyć jego powrót z Belgii (centrala tej flamandzko-amerykańskiej firmy handlowej, którą tu reprezentował mosiężną tabliczką na drzwiach mieszkania i nadrukiem na bilecie wizytowym, była w Brukseli) wypełniając zlecone zadanie. Jedno miała na sumieniu – że mimo ostrzeżeń, jak tylko wyjechał, spisała na

karteczke te wszystkie numery w kolejności: rząd i to miejsce, o które chodziło, a zresztą notatka była króciutka. Tylko tyle:

XII-17, XI-18, XI-20, XII-21, XIV-21, XV-20, XV-18, XVI-17

Teraz jedynie wrywać bilety, ostrożniutko, nie od razu, i dobrze schować do przyjazdu Roberta.

Trzeba pecha, że pewnego dnia, manewrując swoim szynfrem i książkami biletowymi, została nakryta przez panią Aurę. Szczęście w nieszczęściu: pani Aura o nic nie pytała, tylko wysłała Jankę do sekretariatu po wczorajszy raport kasowy, który nagle stał się potrzebny. W sekretariacie okazało się, że raport już powędrował do księgowości i Janka straciła dobry kwadrans na odszukanie go. Kiedy wróciła mokra z przerażenia, czy gdzieś nie posiała swej kartki z zapisem miejsc, książki biletowe leżały nie ruszone, zaś pani Aura spokojnie czytała gazetę. Szybko przejrzała raport, po czym powiedziała, że musi go sama uzgodnić z księgową. Niech więc Janka zastąpi ją w kasie. Tylko tego było potrzeba. Skoro drzwi się zamknęły za Aurą, Janka rzuciła się do książek. Między nie wyrwanymi biletami leżała najspokojniej w świecie fatalna kartka. Jej szyfr.

Bogata w doświadczenia wyniesione z filmów kryminalnych, połknęła natychmiast papierek. Ulżyło jej, gdy dowód lekceważenia tajemnicy handlowej (a co najważniejsze, nieposłuszeństwa wobec Roberta) przeszedł przez gardło. Pospiesznie wydarła potrzebne bilety i wpłaciła do kasy należne pieniądze.

Pani Aura wróciła po dobrej pół godzinie. Była zaszępią i jakby smutna. Miała swoje powody do zadumy, jak każdy człowiek, którego złe przecucia i tajone obawy przekształcają się w pewność. Wchodząc przed trzema kwadransami do kasy spostrzegła nagłe zmieszanie Janki, splawiła więc co prędzej

dziewczynę pod byle pozorem i przeprowadziła błyskawiczną rewizję. Przekartkowała wszystkie bloki. Większość miała wyrwanych po kilka biletów. Ostatecznie nic dziwnego. Zorganizowani i systematyczni ludzie lubili zaopatrywać się na przyszłość. Ale im dalej się posuwała, im późniejsze były terminy przedstawień, tym częściej trafiały się wyrwane tylko po dwa miejsca. Nie zawsze co dzień, czasem co drugi, czasem co parę dni. Ale zauważyła, że jeżeli jakieś dwa miejsca wcześniej, bardzo wcześniej wykupiono na dłuższy czas naprzód, to te same, lub prawie te same miejsca wykupione są na dzień następny. Pewnie by pani Aura do niczego mądrego nie doszła, gdyby nie znalazła w ostatniej książce wążutkiej karteczki zapisanej pismem Janki. Krótki rząd cyfr rzymskich i arabskich. Na brzegu gazety zaczęła przepisywać ów szyfr. Nie zdążyła jednak skończyć. Zostały nie wynotowane dwa komplety symboli. Szybko odłożyła książki i kartkę na miejsce, rozwinęła gazetę, udając że czyta. Była zawstydzona podwójną grą wobec dziewczyny. Nawet świadomość, że Janka także nie jest wobec niej fair – nie zmniejszała poczucia winy.

Wychodząc na obiad pani Aura zabrała ze sobą zapas planów widowni, gazetę z szyfrem i ramowy repertuar na nadchodzący miesiąc. Chciała przeprowadzić staranne, dokładne porównanie.

Po doprowadzeniu swojego miniaturowego gospodarstwa do ładu i króciutkiej sjeście wzięła się do notatek, wykresów i rysunków. Na osobnej karcie raz jeszcze przepisała szyfr Janki łamiąc sobie głowę, jakby dopasować go do dotychczasowych szkiców. Tych, które wykonała przed dwoma czy trzema tygodniami, zaraz po głośnej awanturze z dyrekcyjnym miejscem. Nic jednak nie wychodziło. Zakładając, że cyfry rzymskie oznaczają rzędy, arabskie zaś poszczególne miejsca, na

osobnym planie oznaczyła czerwonymi krzyżykami wszystkie podejrzone punkty. I znowu utworzył się znany już krąg z jednym rzędem wolnym. Tym razem trzynastym. Miała właśnie zamiar porównać to wszystko raz jeszcze z poprzednimi szkicami, kiedy spostrzegła, że już najwyższy czas wracać na popołudniowy dyżur.

Dyżur nie był najgorszy. Trzy zwroty, kilkanaście osób z prowincji i parę aktorskich „wejściówek”. Przejrzała spokojnie książki i stwierdziła, że wszystkie miejsca wypisane na szyfrze Janki zostały wyrwane i sprzedane. Udało jej się jeszcze sprawdzić, że także wyrwano i sprzedano miejsca w piętnastym i szesnastym rządzie. W piętnastce osiemnaście i dziewiętnaście na dwa dni kolejne i na dwa następne, szesnaście i siedemnaście w czternastce. Odnotowała to skrzętnie.

Wieczór był ciemny, zimny i do domu wydawało się dziwnie daleko. Na przystanku stała gromada zmarzniętych ludzi, złorzecząc nieregularnym kursom. Wreszcie nadszedł autobus. Zapchany, rozpryskując wokół fontanny brudnej wody. Pani Aura popychana przez grupę młodych chłopców i dziewcząt ledwo wcisnęła się do środka. I nagle – co za spotkanie: koło drzwi siedział dziarsko wyprostowany rotmistrz Doliwa-Płoński. Przyjaciel domu, kuzyn śp. mecenasa Twardo-Krzyskiego, czerstwy starszy pan o manierach niegdysiejszego donżuana i światowca. Zerwał się chwacko, ustąpił pani Aurze miejsca i natychmiast zabrał się do prawienia jej komplementów, tak jej potrzebnych właśnie dziś, w dniu przykrym, ponurym i denerwującym. Dniu utraty wiary w ludzi i zniechęcenia. Rotmistrz był istnym kołem ratunkowym w takiej sytuacji, toteż niewiele myśląc pani Aura zaprosiła go na szklanekę herbaty. Przypadkowe spotkania są najmiłsze, więc koniecznie, koniecznie... niech jej nie odmawia.

Podczas gdy gospodyni krzątała się w swojej miniaturowej kuchence, ekskawalerzysta snuł się po pokoju oglądając znane obrazki, grzbiety książek, wreszcie stanął przy biedermeierowskiej sekretarce, przypominającej mu dobre, dawne czasy młodości, szaleństw i świetności. Patrzył dość bezmyślnie na biureczko i rozrzucone na nim rysunki: kwadraciki ustawione rzędami i kolejno ponumerowane. U góry napis „Plan widowni”. Kilka miejsc zakreślono czerwonymi krzyżykami. Rotmistrz spojrzął i zastanowił się...

– Cóż to, pani Auro – zapytał, gdy weszła do pokoju niosąc na tacy różne przysmaki – sprzedaje pani bilety do teatru tylko szachistom?

– Dlaczego? – zdziwiła się, rozstawiając na stole półmieczeni i kładąc nakrycia.

– Ponieważ miejsca na widowni oznaczone są ruchem konika szachowego.

– Co takiego? – podeszła spieszenie i pochyliła się nad trzymanym przez rotmistrza planem. Tym, na którym wykreśliła miejsca według szyfru Janki.

– O, proszę patrzeć – wyjaśnił rotmistrz – gdyby na polu, to jest na fotelu dziewiętnastym w trzynastym rzędzie umieścić konika, szachowego konika oczywiście, i kazać mu skakać we wszystkie strony, wylądowałby na zakreślonych przez panią krzesłach. A nawet nie tylko tam, bo jeszcze na tych dwóch pustych – dodał, wskazując w czternastym i piętnastym rzędzie miejsca siedemnaste i osiemnaste.

– Co pan mówi? – nie bardzo jeszcze rozumiała. Sięgnęła po leżącą obok torebkę. W kalendarzyku miała wypisane miejsca sprzedane przez Jankę, które odszukała wieczorem w książkach biletowych. Były to właśnie fotele osiemnaście i dziewiętnaście w piętnastym rzędzie i szesnaście, siedemnaście w czternastym. Siedemnastka i osiemnastka wchodziły w rachubę. Rotmistrz okazał się jasnowidzem.

Gdy tylko rotmistrz wyszedł, a było już dobrze po dziesiątej, zabrała się do ponownego wertowania swoich rysunków.

Między pierwszą a drugą w nocy doszła do wniosku, że od miesięcy po jej biletach hasa konik szachowy i z tą pewnością powędrowała do łóżka, by zasnąć kamiennym snem.

KON NA KARUZELI

Rozkisły deszczami listopad, błotem zbryzgane miasto, ciężkie chmury i mdłe, skąpe promyki słońca były dla Janki wiosną. Roberto wrócił. Wrócił cudowny, dobry, kochający. Wrócił przywożąc jej stopy szalowych ciuchów i piękny zaręczynowy pierścionek. Był nawet u mistrza Dolińskiego, gdzie oficjalnie, „legalnie” – jak powiadał tata, oświadczył się o rękę córki, prosząc jedynie o sekret, dopóki nie skończy swej pracy w przedstawicielstwie amerykańsko-flamandzkim, ponieważ warunkiem utrzymania tej posady był stan kawalerski. Kapitałiści mają czasem takie bziki i nic na to nie poradzisz. Prosi, by pan Jan traktował go jako zięcia, a na pewno i jemu, i Ginie życie potoczy się inaczej, lepiej. Zabierze ją do Stanów, do kraju ludzi z inicjatywą, gestem i pomysłami...

Za sprawne załatwienie biletów Gina dostała od Roberta osobną premię, bardziej intymnej natury, a tata Doliński musiał się przecież w końcu pogodzić, że córka teraz częściej spędzała noce u narzeczonego niż w domu. Chłop dbał o nią – nie można słowa powiedzieć! Właściwie był jak mąż, a może lepiej niż mąż, choć „na kocią łapę”.

*

Pani Aura wypisała na swoim biurowym kalendarzu własny szyfr, według którego wyznaczała dni postoju „konika szachowego”. Chodziła teraz na przedstawienia, zostawała do przerwy i widziała, że „trefne” miejsca są zajęte. Przeważnie przez kobiety, dobrze, elegancko ubrane, w długich sukniach, zawsze z wielkimi, modnymi torbami w ręku. Czasem byli także mężczyźni. Niekiedy zajęte było tylko jedno miejsce, ale z reguły to ze skoku konia. Bywało też, że miejsca zajmowano tylko do antraktu, potem świeciły pustkami. Raz czy dwa razy pani Aura odniosła wrażenie, że dziewczęta, które siedziały na „konikowych” krzesłach, już tu widziała, ale mało to ludzi przewija się przez teatr?

W końcu z przykrością, smutkiem i niejakim zniechęceniem musiała stwierdzić, że nadal nic z tego nie rozumie. Jedno, co potrafiła, to bezbłędnie przewidzieć zamówienia na kolejne miejsca. Zobaczyła na swoich rysunkach, że nie tylko na każdy „krąg” składa się ruch konika szachowego po krzesłkach, ale że tym ruchem całe „kręgi” wędrują po sali. Punkt centralny, z którego zostaje wykonany pierwszy skok, także przemieszcza się ruchem szachowej figury. A wszystko zaczęło się liczyć od miejsca dwunastego w trzecim rzędzie. Nie tylko miejsca środkowego, ale i dyrekcyjnego zarazem. I tu znów pomyślała o Wiśniewskim, zaabsorbowanym teraz sprawami nowego jachtu pełnomorskiego i zabiegami wokół kolejnej wycieczki swej żony. Nie, Wiśniewski odpadał, nie robiłby przecież awantury o tamto miejsce, które sprzedała Janka ściągając na siebie pierwsze podejrzenia pani Aury.

Miłość i szczęście nie pozwoliły Jance dostrzec, że pani Aura zaczęła ją traktować z pewną rezerwą i nieufnością. Jej świat to był Roberto: zapracowany i zakochany, bliski i daleki, stale zabiegany i zawsze obecny. Roberto poradził, aby postarała się przejść z kasy do organizacji widowni i nawet w tym

celu wyasygnował pewną kwotę na elegancki prezent dla pani Krysi – szefowej od przedsprzedaży, kolportażu i takich tam cudów z rozprowadzaniem biletów. Uważał, że Gina powinna lepiej poznać technikę prowadzenia przedsiębiorstwa, bo to jej się przyda, gdy założą własne, w Ameryce. Roberto, który potrafił wszystko, znalazł jakiegoś wspólnego znajomka z dyrektorem Wiśniewskim i Gina z dnia na dzień została przeniesiona z kasy do organizacji widowni, od pani Aury do pani Krysi. Było jej nawet trochę żal, na pożegnanie przyniosła Aurze drogie kwiaty, ale po paru dniach już wciągnęła się w nową sytuację. Pani Krysia lubiła gadać, plotkować i biegać po kominkach. Lubiła też drobne podarunki, którymi – jak zwykle z porady Roberta – Janka raczyła ją raz za razem. Fakt, że przysłała tu jako protegowana pana dyrektora Wiśniewskiego, też nie pozostawał bez wpływu na stosunek pani Krysi do nowej koleżanki. No i zaczęło się...

Roberto przyznał się Ginie, że zawarł w Belgii bardzo korzystną umowę z pewnym biurem turystycznym, którego specjalnością jest rezerwacja biletów teatralnych na całym świecie. Będzie ich przedstawicielem na Polskę, a teraz na próbę przez kilka miesięcy ma dokonywać zakupu biletów w „Otwartym” dla zagranicznych klientów. Gina oniemiała. Przede wszystkim nie wyobrażała sobie, że w ogóle takie biura istnieją, po drugie imponowało jej, że właśnie jej teatr, że „Otwarty” został wybrany przez finansistów belgijskich na pierwszy ogień. Oczywiście, wszystko musiało być bardzo poufne, tajne i dyskretne, bo mogłoby się źle skończyć dla Roberta, gdyby się okazało, że pracuje dla dwu firm równocześnie. Obłożyliby go tu podatkami, a może nawet wyrzucili z Polski. I tak wizę musi przecież odnawiać co trzy miesiące. A więc wprawdzie Gina może mu wiele pomóc, ale nie wolno

jej puścić pary z ust. Właściwie przy tych biletach dla Belgów to jest już jego współniczką i nawet będzie się z nią rozliczał. Gina nie chciała, bo jakież to rozliczenia w małżeństwie, ale Roberto uparł się, tłumacząc, że tak jest wszędzie na Zachodzie, bo „bussines is bussines”.

Interes rozwijał się na całego. Belgowie żądali od Roberta nieomal codziennie kilkunastu miejsc, ściśle podając terminy, rzędy i fotele (jacy pedanci, co?), Gina kręciła się jak w ukropie, biegała między panią Krysią a kasami Spatifu, wymieniała, sprzedawała, a bywało, że podmieniała bilety w ostatniej chwili, byle tylko zadowolić cudzoziemskich klientów. Aż dziw brał, ile to ludzi na świecie interesowało się repertuarem „Otwartego”. Tylko ona nie miała teraz czasu na teatr, wprzęgnięta w karuzelę biletowego przedsiębiorstwa. Była zmęczona, szczęśliwa i czuła się wreszcie potrzebna. Tak bardzo potrzebna Robertowi, który łącząc rozliczne zajęcia, prace i obowiązki, nigdy nie zapominał o Ginie – prawdziwej żonie – jak zwykł ją nazywać.

I tak zbliżała się Gwiazdka, ruch w teatrze rósł, a równocześnie wzrastało napięcie. Wreszcie wyznaczono termin rozpoczęcia prób tylekroć odkładanej „Operetki” Gombrowicza. Potem zjawiła się niespodziewana kontrola związkowa, aby zbadać sprawę jachtów. Dyrektor Wiśniewski chodził markotny, gryzł się szykanami związkowych rewidentów, nie mających zrozumienia dla społecznych inicjatyw i sportu żeglarskiego, smęcił nieobecnością żony, która z Wysp Kanaryjskich na osobiste zaproszenie Miguela de Branco da Silva odłączyła się w drodze powrotnej od grupy orbisowskiej i pojechała na parę dni do Barcelony.

Pani Aura, której dokuczały zimowe chłody, a jeszcze bardziej wilgoć, chodziła skwaszona, a przecież – pewnie by zabić samotność pustych wieczorów – raz po raz wpadała na spektakl. Siedziała do przerwy i biegła do swej termitiery na

dziesiątym piętrze. Widać przedstawienia nie wpływały na nią uspokajająco, ponieważ chodziła coraz bardziej zamyślona i milcząca. Trudno się zresztą dziwić. Wiek. Lata lecą, coraz trudniej i puściej samotnemu człowiekowi na świecie. Zwłaszcza kobiecie, zwłaszcza gdy zbliża się Gwiazdka.

*

Turecka firma transportowa INTÜRQTRANS wozila do trzech razy miesięcznie stołowego cienkusa z Konstantynopola do Świnoujścia, pokonując Hannomagiem trudności śliskich dróg, mgieł i deszczów. A załoga cysterny – Yusuf i jego zmiennik – zawsze miała trochę kłopotu niedaleko od pewnej przecinki leśnej; zatrzymywali się na jakieś pół godziny, to by naprawić coś w silniku, to by wypić tyk kawy z termosu lub po prostu ostudzić łatwo grzejące się, nawet o tej porze, opony. Cysternę znali na granicy wszyscy, lubili Turków i ich absurdalny okrzyk „Sobieski”, podobnie jak aromatyczne papierosy, którymi szoferzy wszystkich uprzejmie częstowali. A co najważniejsze – nigdy żadnej kontrabandy. Jak chcieli coś tam z Polski przywieźć, to od razu mówili celnikom:

– Hej! Wódka – litr, O.K.?

I celnicy kiwali głowami, przymykali oczy, nawet jeżeli mieli niejaki podejrzenia, że była to nie „wódka”, lecz czysty spirytus. Coś się za pamięć, o Janie III i wiedeńskiej wiktorii Turkom należało.

Równie często do dziewczyny w Świnoujściu, Międzydrojach czy Szczecinie – nie bardzo to było wiadomo – jeździł czerwonym porsche'em młody Zaręba. Nawet gdy był zaziębiony, gdy lało mu się z nosa, a droga była, że psa nie wygonić. Musiała mu kobita zdrowo zaleźć za skórę. No trudno, zdarza się. Jak taki kozak wpadnie, to już koniec. Żegnaj męska wolności! I chyba dziewczyna trzymała go krótko, bo

zrobił się Zaręba cichszy, więcej przesiadywał w domu, mniej włączył się po knajpach, jakby miał pietra, że wydadzą się przed tą tam, znad morza, jego warszawskie skoki. Dłubał tylko wciąż przy samochodzie, dbał o jego sprawność, smarował, stawiał na przeglądy i rzeczywiście była to – mimo przejechanego świata drogi – maszyna klasa.

Aha... i jeszcze jedno – pan Zaręba przestał pić wino. Czerwone. Na sam jego widok zieleniał i odsuwał kieliszek. Mówił, że lekarz mu zabronił.

Auto-Serwis Doliński rozwijał się znakomicie, tylko raz w miesiącu miał dwudniową przerwę na odbiór techniczny wózków elektrycznych przez kanadyjską firmę COSAG. Przeszkadzało to trochę, psuło rytm pracy, ale co robić, umowa z inżynierem Pakułą, choć cicha, obowiązywała, a i kupę forsy był współnikowi winien pan Jan.

Odbiór wózków przebiegał sprawnie, czasem tylko automat Galvani zakwestionował jakiś akumulator, czasem trzeba było wymienić tę czy inną część. Poza tym wszystko grało, a przecież kanadyjski partner trochę rozczarował polskich handlowców. O rozszerzeniu eksportu nie było już mowy. Recesja, kryzys, zastój – powiadali Kanadyjczycy i bezradnie rozkładali ręce.

Zbliżały się święta, zbliżał się Nowy Rok.

PIERWSZA PRÓBA

Poray. Sam wielki, sławny, znany w całej Europie Poray. Reżyseria w Wiedniu, reżyseria w Monachium, reżyseria w Mediolanie, Berlinie, wreszcie wielki triumf londyński. Poray – towar eksportowy polskiej sztuki inscenizacyjnej. Poray na zdjęciach, w artykułach, wywiadach, ankietach. Poray w radiu, filmie i telewizji. Mistrz wszechwag scenicznych.

Wreszcie po półrocznym zwlekaniu, po odkładaniu terminów, po przerwach i nie kończących się wyjazdach na dwa, trzy, pięć dni do Paryża, Wiednia, Mediolanu, Hagi, Brukseli, Berlina... wreszcie Poray rozpoczął z nowym rokiem próby „Operetki” w „Otwartym”. Wiśniewskiemu spadł kamień z serca. Dyrektor artystyczny, spokojny i mądry kunktator Marczewski, postawił pierwszy krok na swej drodze przez mękę. Bo Poray, jak każda wielka, ocierająca się o geniusz osobowość nie należał do ludzi łatwych. Uparty i grymasiły, pryncypialny i ustępliwy, skrupulatny i chaotyczny – zdawało się, że natura jego składa się z samych sprzeczności. Twierdzili to wszyscy dyrektorzy teatrów, scenografowie, kobiety, które przeszły przez jego życie – tylko nie aktorzy. Poray czuł aktorów, umiał z nimi pracować, wiedział, że są oni nie fundamentem, ale materiałem jego sukcesów i że do nich należy ostatnie słowo. Wszystko więc w jego inscenizacjach odbywało się kosztem różnych ludzi i instytucji – nigdy kosztem aktorów. Tych potrafił zarazić swą pasją, wiarą w podejmowane dzieło, pewnością sukcesu. Sukcesu, który zresztą traktował tak, jakby rozgrywał się niezależnie od publiczności.

– To my – powiadał – nie oni, ci w krzesłach, musimy być pewni, że zrobiliśmy coś fajnego.

I aktorzy wierzyli mu.

Poray wśród licznych bzików miał jednego super-bzika. Nie pozwalał nikomu obcemu – pod żadnym pozorem – przychodzić na próby. Nie wolno też było nic mówić o próbach na zewnątrz. Ktokolwiek ten zakaz choć raz złamał, niezależnie od tego, czy była to gwiazda pierwszej wielkości, czy najmłodszy z maszynistów – wylatywał z zespołu przygotowującego premierę. I na to nie było rady. Tu reżyser okazywał się obłudnym pryncypialistą. Razu pewnego nie wpuścił na scenę lekarza pogotowia ratunkowego do zemdlonego aktora

(musieli nieszczęśnika wynosić do garderoby); kiedy indziej odebrał rolę żonie dyrektora wielkiego teatru, świetnej zresztą aktorce, ponieważ odważyła się powiedzieć w Spatifie, że odrzuciła kostium z odkrytymi piersiami w reżyserowanym przez Poraya „Makbecie”. Awantura o kostium była wprowadzie ze scenografką, a nie z Porayem, który przyznał rację aktorce, ale... skoro przekroczyła nakaz tajemnicy prób – musiała odejść. Wyrzucił ją z obsady i nic nie pomogło.

Anegdoty o tajemniczości prób Poraya należały do powszechnego repertuaru teatralnych opowieści. Znano je i w „Otwartym”, a mimo to dyrektor Marczewski przed pojawieniem się reżyserskiej znakomitości błagał wszystkich o dyskrecję, o to, by trzymali język za zębami, by nawet jemu niczego nie opowiadali.

Pierwsza próba „Operetki” odbyła się od razu na scenie. Poray nie znosił ślęczenia nad tekstem przy stoliku. Rozdawał role: egzemplarz do rąk i od razu w sytuacji. Oczywiście z początku nic nie wychodziło, każdy grał własnym stylem lub numerkiem, jeśli na styl nie było go stać, jeden był od Sasa, a drugi od Lasa, ale z wolna z tej magmy Poray lepił spektakl. Zmiany, poprawki, nawroty do początku odbywały się tu stale. I tak jak na dobrą sprawę żadna dyrekcja nie wiedziała, kiedy Poray zacznie swą pracę, tak też i nie sposób było przewidzieć, kiedy ją skończy. Termin premiery, mimo planów, harmonogramów i umów – zawsze stanowił wielką niewiadomą.

Reżyser był dziś w świetnej formie, w znakomitym humorze. Dawno przymierzał się, pokonując rozliczne przeszkody, do wystawienia „Operetki” – najlepszej, jak uważał, sztuki Gombrowicza – wreszcie...

– Moi drodzy – tłumaczył aktorom – ten cholerny kpiarz, szyderca, swawolny kawalarz przed samą śmiercią postanowił teatrowi przyprawić „gębę”. Zostawił testament, którym

chce nas wszystkich upupić, zrobić w konia. Jest to „Operetka”. Wodzi wszystkich za nos i tłumaczy, że „Operetka” to operetka i że jemu, Gombrowiczowi przez całe życie śniło się tylko napisanie operetki. To wszystko lipa. „Operetka” jest wielkim uniwersalnym dramatem, historiozoficzną tragedią uszminekowaną na błazeńską modłę i podlaną cienkim sosiskiem w stylu retro. Nie, kochani, my się nie pozwolimy upupić Gombrowiczowi. Zrobimy „Operetkę”, ale po naszymu. „Operetkę” w wymiarach globalnych. „Operetkę” pokonamy operetką, zgombrowizujemy ją! A więc zaczynamy od tego, co najważniejsze – od refrenu.

Aktorzy siedzieli zasłuchani, ciągle nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– Skoro u Gombrowicza symbolem stabilizacji, symbolem epoki, z której wychodzi nasz świat, są krzeselka jakiegoś tam lorda... Pamiętajcie to ciągle „krzeselka lorda Blotton, krzeselka lorda Blotton” – to musimy najpierw rozwalić świat krzeselek. Czyli rzeczywistość widowni. Bo widownia to krzeselka.

– I powiem wam, że wyposażenie waszego teatru w te nowe, przenośne, łatwo rozbieralne krzeselka pozwoliło tu właśnie i tylko tu, w „Otwartym”, wystawić „Operetkę” – zakończył z emfazą.

Po czym wskazując na salę powiedział:

– Zaczniemy tak: wychodzicie na scenę z kulis, po czym – to zastąpi uwerturę – schodzicie na widownię, usuwacie ludzi z rzędów i zabieracie krzeselka. Jeden podaje drugiemu do tyłu. Stawiacie je na scenie, a tymczasem na widowni, w samym środku robi się wolny korytarz...

– Jaki korytarz? – odważyła się zapytać najstarsza aktorka.

– No pusty, przez wszystkie rzędy, boście przecież zabrali krzeselka. Nie wiem – dwa, trzy w każdym rzędzie, jedno

za drugim. Konieczne tylko, żeby ze spektaklu na spektakl zawsze było trochę inaczej. Świat jest zmienny i tę zasadę musimy przyjąć jako jedyną stałą wobec Gombrowicza. Więc krzeselka idą do tyłu, ludzie na bok, jest awantura i zaczyna się!

Ten wstęp fascynował Poraya. Nie czekając na to, co powiedzą aktorzy, krzyknął:

– Zaczynamy! – i rzucił się pierwszy niszczyć porządek widowni. „Krzeselka lorda Blotton, krzeselka lorda Blotton” – śpiewał coraz głośniej, a aktorzy w ślad za nim próbowali kontynuować dzieło zniszczenia.

Znakomite, wielofunkcyjne, prototypowe siedzenia dyrektora Wiśniewskiego łatwo się wyjmowały i łatwo dawały się przenosić na scenę. Powstał hałas i bałagan. Aktorzy zaczęli się bawić. Pomysł chwycił. Po pół godzinie wszyscy byli zzielenieni i umęczeni do kresu wytrzymałości. Poray wezwał kierownika technicznego i surowo przykazał, aby maszyniści przywrócili salę do normalnego stanu, tak, żeby po skończonej próbie nie było nawet śladu, że tu coś robiono z krzesłami. A kto się wygada, to... – Poray nie dokończył, ale kierownik techniczny dobrze zrozumiał.

Tymczasem w rozbebeszonej sali, na zapchanej krzesłami scenie próba toczyła się dalej, a każde słowo, każdy gest aktorski budził w Porayu lawinę pomysłów. Pieniły się one niczym króliki i jak króliki hasały po scenie. Ale każdy wiedział, że po paru tygodniach przyjdzie moment opamiętania i reżyser żelazną dłońią zbierze do kupy i uporządkuje ten galimatias, złożony z przypadkowych conceptów, żartów i genialnych odkryć.

Koło drugiej próbę skończono i na zamkniętej sali została tylko para najmłodszych maszynistów, porządkujących nie-szczęśne krzeselka. Szczęściem każde pasowało do każdego miejsca, więc ładowali je jak leci.

Potem dopiero przyszedł brygadzysta i zobaczył, że numery się nie zgadzają, więc – chwając sobie spryt i przewidywanie dyrektorskie – powymieniał numerki, które łatwo było przekładać, tak aby znów rzędy i miejsca pozostawały w dawnym, uwidocznionym na planie porządku.

WALDEMAR PYRA NIE ODPOWIADA

Rewidenci związkowi, którzy wtykali nos w sprawę jachtów, w widoczny sposób hamując spontaniczną akcję społeczną, przestali nagle uporczywie indagować dyrektora Wiśniewskiego i stali się milczący i tajemniczy. Było to jeszcze gorsze, niż ich dotychczasowa nachalność. Kryło się w tym coś niedobrego. Tym bardziej, że pewnego poniedziałku ich ekipa wzrosła o trzy nowe osoby i teraz w wydzielonym pokoiku siedziała szóstka grzebiących w papierach, fakturach, korespondencji i gdzie się dało – facetów. Dyrektor Wiśniewski wymyślił, że trzeba niezwłocznie skontaktować się z nadmorskim wspólnikiem – panem Waldemarem Pyrą, marynistą z upodobania. Nie bardzo chciał pisać, a tym bardziej telegrafować, nie chciał dzwonić ani z teatru, ani z domu. Pewnego wieczoru wybrał się więc na Nowogrodzką i zamówił zamieszcową z Orłowem. Błyskawiczną. Ale telefon pana Pyry nie odpowiadał. Spróbował raz jeszcze, godzinę później, spróbował o północy, dzwonił potem o szóstej, siódmej, ósmej rano – telefon milczał jak zaklęty. Nie uspokoiło to dyrektora Wiśniewskiego, choć przecież jeszcze nie było powodu do paniki, ostatecznie nic się nie stało. Pyra często wyjeżdżał – mógł i teraz wędrować po Polsce i możliwe, że właśnie zmierza w kierunku Warszawy z nieodłączną butelką „Napoleona” w teczce.

Mało zabawne było natomiast to, że rewidenci poprosili

nagle dyrektora Wiśniewskiego o napisanie oświadczenia, że nie wydawał osobiście lub przez osoby trzecie polecenia, aby zainstalować na jachcie „Melpomena”, wykonywanym systemem gospodarczym przez członków związku, jakiegokolwiek specjalne urządzenie nie przewidziane projektem budowy, zatwierdzonym przez właściwe władze. A zwłaszcza że nie kazał – lub sam nie instalował – jakiegokolwiek aparatury, sejfów, skrytek lub temu podobnych. Dyrektor oczywiście odpowiedział, że nic takiego nie miało miejsca, złożył niezbędne oświadczenie, a po wyjściu rewidentów – mimo że dnia tego kaloryfery teatralne kiepsko grzały – wyciągnął chustkę do nosa, by otrzeć zroszone rzęsistym potem czoło.

Wieczorem, podczas przedstawienia, na dyrektorski dyżur zgłosił się stolarz, który dokonywał w „Melpomenie” wymaganych przez klienta adaptacji. Tych nieszczęsnych schowków. Powiedział, że jego także pytali o to samo, co dyrektora, że kazali mu napisać odpowiednie oświadczenie, że oczywiście trzymał język za zębami, mimo że wykonywał tylko polecenia pana dyrektora i że bardzo uprzejmie prosi, żeby pan dyrektor był łaskaw pożyczyć pięć tysięcy, ponieważ znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji rodzinnej...

Po dłuższej rozmowie dyrektor utarğował na cztery tysiące. Obiecał przynieść je jutro.

Wychodząc natknął się na panią Aurę, która nagle, na stare lata, stała się zagorzałą teatromanką i każdego wieczoru wprost z kasy biegła na widownię, przysiadła na wolnym miejscu lub strapontenie i warowała do końca spektaklu. Pani Aura najpierw zrobiła zaskakującą uwagę na temat pogody w styczniu, że to ani zima, ani jesień, a dawniej śniegi, mrozy i sanna po Marszałkowskiej. Wiśniewski wtulił głowę w futrzany kołnierz i myślał tylko, jak się od baby uwolnić. Nie brał służbowego wozu, bo nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział,

gdzie teraz jedzie, a ona pewnie liczy, że ją podwiezie. Więc dla spokoju powiedział:

– Ja dziś pieszo...

– To doskonale – podchwyciła pani Aura – ja także, pójdziemy razem.

Nie było ratunku. Przynajmniej przez pięćdziesiąt metrów do następnej przecznicy musieli wędrować wspólnie. Wiatr zacinał, był ziab i mokry śnieg pod nogami. Pani Aura coś tam opowiadała, ale dyrektor zajęty własnymi sprawami puszczał jej paplaninę mimo uszu. W pewnej jednak chwili coś zwróciło jego uwagę:

– ...i to od dłuższego czasu – kończyła kasjerka jakieś zdanie, którego początku nie słyszał. – To są dziwni ludzie. Coraz więcej tych dziwnych ludzi w teatrze. Ciągłe awantury o miejsca, wykupują bilety, a jak nie mogą dostać u mnie, to u pani Krysi. Nie mam pojęcia co, ale coś tu się dzieje. Coś z biletami...

Rany boskie – pomyślał Wiśniewski – jeszcze mi tylko kantów biletowych potrzeba. – I powiedział: – Myśli pani o nadużyciach?

– Nie, skądże. Pieniądze zgadzają się, tylko widownia się nie zgadza. Ludzie zabijają się o miejsca, odkupują od innych, interweniują przez kasy Spatifu, a potem krzesła są puste. Lub prawie puste. Wykupiono dwa – przychodzi jedna osoba. Wychożą po przerwie albo dopiero na przerwie się zjawiają. Dziwna publiczność. I coraz częściej wydaje mi się, że kręci się tu ciągle kilka tych samych osób.

Siedzą mnie – pomyślał z przerażeniem dyrektor Wiśniewski, po czym zapytał: – Od dawna to pani zaobserwowała ?

– Od paru miesięcy – powiedziała pani Aura.

Wiśniewski ujrzał oczyma duszy ciasną, mroczną celę – pojedynek, wąskie łóżko i drzwi bez klamki, ale za to opatrzone „judaszem”.

Aby coś powiedzieć i zatrzyć podejrzenia przynajmniej pani Aury, wymamrotał:

– A nie myli się pani? Ludzie często raz po raz chodzą do teatru. Choćby pani. Jest pani teraz na każdym przedstawieniu.

– Bo ja – zwierzyła się w nagłym przystępie szczerości pani Aura – chcę ich rozszyfrować.

– Ich? Jakich ich?

– Tych widzów. Amatorów określonych miejsc, te dziewczyny w długich sukniach, z wielkimi torebkami...

Starsza pani bredzi – pomyślał Wiśniewski, ale zaraz zre-flektował się, że może mu być użyteczna.

– Tak, tak, ma pani rację. Trzeba zbadać, w czym rzecz. Najważniejsze sprawdzić, czy to są ci sami. Może tu rzeczy-wiście ktoś coś śledzi...

Telefon Waldemara Pyry i tej nocy nie odpowiadał, a w dodatku żona zrobiła dyrektorowi piekielną awanturę, że odbiera jej cztery tysiące, które jeszcze rano dał na nowy płaszcz. Zniósł to dzielnie, jako że na rano musiał mieć pieniądze, a nie chciał teraz właśnie podejmować niczego z PKO.

W teatrze wezwał swojego „wspólnika” od schowków w „Melpomenie”. Stolarz przyszedł, starannie porachował pieniądze, podziękował, rozplywając się nad dyrektorską dobrocią i oświadczył, że pan dyrektor może na niego liczyć, a on myśli, że też może liczyć na pana dyrektora. Wprawdzie te „parę groszy” jakoś go poratowało, ale taka teraz drożyzna, zima, mróz i trzeba dom obsprawić, a tu ciągle mało..

– Mało i mało... – dodał akcentując ostatnie słowo i zamknął starannie za sobą drzwi gabinetu.

Wiśniewski podniósł telefon i połączył się z kasą.

– Pani Aura? – zapytał.

– Proszę... tak, to ja – odpowiedziała.

– Pani Auro, tu Wiśniewski. Wie pani, to bardzo ważne,

co mi pani wczoraj powiedziała, ale proszę tego nikomu nie powtarzać, przecież to może być sprawa... no, rozumie pani, o państwowym znaczeniu... jakiś tam...

Nagle pani Aura wyobraziła sobie, że tabun Mat Hari co wieczór wyznacza sobie rendez-vous na widowni „Otwartego” i zatkało ją.

– Rozumiem, panie dyrektorze – wyszeptła.

– I proszę informować mnie o wszystkim. O wszystkim, co pani zauważy. Wezmę sprawę w swoje ręce – zakończył buńczucznie.

Tylko że teraz trudno byłoby dyrektorowi Wiśniewskiemu brać jakąkolwiek sprawę w swoje ręce, ponieważ z południową pocztą otrzymał wezwanie do stawienia się u prokuratora wojewódzkiego dla m, st. Warszawy „w charakterze świadka”. Termin stawiennictwa wyznaczony był za cztery dni.

ALARM!

Roberto nie mógł narzekać. Interesy rozwijały się pomyślnie, dziewczyna była zgodna, przydatna, miała dobre, uległe usposobienie i umiała kochać. Pieniądze składane na jego rachunek w oddziale American Bank w Amsterdamie gromadziły się dość szybko. Wiedział tylko jedno, że mimo pozornego spokoju ryzyko zwiększa się z każdym dniem. Tempo przeładunku, jakie wymogli na nim dżentelmeni z Vassenaar, musiało w końcu doprowadzić do wpadki. Liczył jedynie na to, że nastąpi ona nie generalnie, nie na całej linii, ale interes zacznie się pruć po kolei i wtedy zdąży jeszcze zwać. Myślał zresztą o tym coraz częściej i ze wzrastającą przykrością, obawiając się nie tylko nagłego przerwania wpływów na amsterdamskie konto, ale i konieczności

pożegnania Giny. Nigdy nie przypuszczał, że tak się do niej przywiąże.

Po drinku na Portlaan cała odpowiedzialność za przeładunek na przecięciu linii wschodniej i zachodniej spadła na niego. Postanowiono wycofać maksymalną liczbę ludzi z zewnątrz, zarówno z uwagi na koszty, jak i bezpieczeństwo. Cudzoziemcy bardziej byli na oku niż miejscowi, trudniej było im zniknąć, zmyć się, wsiąknąć w teren. Roberto, pewien nieco już starszy pan o urodzie aktora z gangsterskich filmów i jeden kuternoga (postać obrzydliwa pod każdym względem) mimo swych cudzoziemskich paszportów siedzieli nadal, mając mocne alibi w biurach różnych firm, związanych z tajemniczymi mocodawcami. Zresztą niewykluczone, że byli jeszcze inni ludzie, ale o nich Roberto nic nie wiedział. I był rad, że nic nie wie.

Wystarczało mu jednak, gdy uświadamiał sobie, z jakim niebezpieczeństwem igra codziennie, kiedy na punkt przeładunkowy każdego dnia wpuszcza po ośmiu łączników z linii wschodniej i ośmiu z zachodniej. Przecież nie mógł werbować ludzi przez ogłoszenia w gazetach, musiał opierać się na systemie doboru, który nieomal całkowicie pozostawał w ręku Boba i jego dziewczyny.

Bob – nic więcej prócz imienia nie potrafił o tym facecie powiedzieć – był przysłany z góry. Zawodowo parał się sutenerstwem i czarnym rynkiem. Miał jakieś rozgałęzione tajemnicze powiązania w całym kraju i był rzeczywiście człowiekiem, który potrafił wszystko kupić i wszystkich sprzedać. Pozostawała jedynie kwestia ceny, nawet nie czasu. Otóż Bob i jego przyjaciółka, robiąca wrażenie luksusowej prostytutki dla lepszych gości, trzymali w ręku cały zespół dziewczyn i kilku chłopców, którzy dostarczali i odbierali towar. Funkcje były ściśle podzielone, ale było niemożliwe, aby ci ludzie przypadkowo nie spotykali się na punkcie. Wreszcie Bob mógł

zostać rozszyfrowany, mógł wpaść lub dostać się w ręce szantażystów, a wtedy... Wtedy pozostawały tylko dwie drogi: samolot do Amsterdamu, Wiednia, Paryża czy Sztokholmu albo pomoc kuternogi. Nie wiadomo, co było bardziej ryzykowne.

Wreszcie Roberto postanowił odwiedzić panów z Vassenaar, aby wytłumaczyć im, że dalej już tak nie można, że cały interes pójdzie w diabły i że wszystko trzeba przeorganizować. Ale niełatwo było tam trafić. Przecież i Portlaan 25b, i Vassenaar były już nieaktualne, a szefów widywało się tylko wtedy, kiedy oni sami chcieli. Boss – ów pan o gangstersko-filmowej urodzie – stawiał na bezpieczeństwo szlaku. Uważał, że tutejsza policja nie jest nastawiona na ich towar, więc mogą jeszcze spokojnie hulać. Aczkolwiek i on był zdania, że niepotrzebnie przeciążono punkt przeładunku. Po cichu obawiał się, że szefom chodzi tylko o to, aby wyciągnąć ile się da, a jak się zawali, to się zawali. I tak już wycisnęli – mimo utyskiwań – grubą forszę. W każdym razie panowało w „przedsiębiorstwie” napięcie, jeszcze nie panika, ale pierwsze oznaki lęku. I wtedy właśnie...

Styczeń w Warszawie jest jednym z paskudniejszych miesięcy. Roberto nie mógł wyrwać się za granicę, bo intensyfikacja przeładunku i rosnące zagrożenie kazały mu nie zdejmować ręki z pulsu. Wieczorem przychodził do domu zmachany jak pies i jedynie Gina była rekompensatą za tę brudną robotę. Ta dziewczyna miała w sobie olbrzymi ładunek kobiecej intuicji. Była głupia, niewykształcona i naiwna – to prawda, ale także wiedziała zawsze, co zrobić, by oderwać go od kłopotów, uspokoić obawy, pozwolić zapomnieć o powikłanej sytuacji, w jakiej żyje. Dawała siebie, wygodę, ciepło. Stawała się niezastąpiona, choć przecież zawsze bronił się przed czymś takim, przed stosunkiem, który z czystego interesu i

wyrafinowanej gry przekształcił się w jedyną naprawdę wartą ryzyka przygodę jego życia.

O pierwszej w nocy, jakieś pół godziny po zaśnięciu, Roberta obudził telefon. Poznał głos, choć rozmówca nie przedstawił się, i otrzeźwiał natychmiast.

– Roberto – mówił tamten – czy nie zostawiłem u ciebie paczki papierosów Marlboro?

– Tak – odpowiedział mechanicznie, choć nic takiego się nie zdarzyło i zdarzyć nie mogło, ponieważ facet, który dzwonił, nigdy nie był w jego mieszkaniu, nawet nie znał adresu.

– To trudno – ciągnął tamten. – Jutro jak zwykle – prawda? – dorzucił w formie pytania.

– O.K. – odrzekł Roberto i odłożył słuchawkę. Był już zupełnie trzeźwy, wybity ze snu, gotów do walki.

A więc stało się – skonstatował. Musiało trzasnąć. Ogłoszono ostry alarm. Jeszcze nie wie co, wie tylko, że za parę godzin, o ile wcześniej nie wkroczy polska policja, dowie się, o co chodzi. Ale nie może czekać, musi działać. Działać poważnie.

Przede wszystkim obudził Ginę. Długo trwało, zanim udało mu się doprowadzić dziewczynę do jakiej takiej przytomności, jeszcze dłużej, nim wytłumaczył jej, co się stało. Że ma natychmiast ubierać się, zabrać najpotrzebniejsze ciuchy i jechać do ojca. Jutro niech czeka na jego telefon w teatrze.

Początkowo myślała, że ją wyrzuca, że ma jej – nie wiadomo czemu – nagle dość, że skończył się sen o księciu z bajki. Potem zrozumiała, że grozi mu niebezpieczeństwo, więc uparła się, że zostanie. W końcu – jak zwykle – okazała się posłuszna i uległa, przypominając sobie, że tego, czego chce Roberto, powinna chcieć i ona. Myślała, że ją chociaż odwiedzie. Nie – powiedział – to niemożliwe, więcej nawet – niebezpieczne. I niech się tu nie pojawia, niech nie przychodzi, nie

dzwoni. On da znać do teatru. Kiedy zapłakana wychodziła na klatkę schodową, wcisnął jej zwitek zielonych banknotów. Machinalnie włożyła je do kieszeni długowłosego futra, które przywiózł z Holandii.

Potem – kiedy już został sam – przeprowadził dokładną rewizję mieszkania. Wybrał trochę dokumentów, notatek i spalił je w łazience, spuszczać z wodą zwęglone, czarne płyty papieru. Wreszcie zapakował szczotkę do zębów, ciepłą bieliznę, sweter i karton papierosów do niewielkiej walizki. Na wszelki wypadek.

Dochodziła czwarta, gdy zmęczony rzucił się na rozgrzewaną, ciepłą jeszcze od ciała Giny tapczan i zasnął niespokojnym snem.

SZCZUR

Spotkali się za kwadrans ósma na Dworcu Wschodnim. Było to miejsce kontaktu na wypadek nagłego alarmu. Ruch, przepływ ludzi, hałas, wreszcie liczne wyjścia umożliwiające pospieszne opuszczenie zagrożonego terenu, zmieszanie się z tłumem, nawet wskoczenie do któregoś z pociągów – wszystko to sprawiało, że Dworzec Wschodni dawno wybrany został dla kontaktów w wypadkach krytycznych. Hasło „Marlboro” uruchamiało system alarmowy trzeciego, najwyższego stopnia.

Trzech mężczyzn, robiących wrażenie obcych sobie, skierowało się podziemnym przejściem w stronę peronu dla pociągów odjeżdżających w kierunku zachodnim. Do najbliższego, zatłoczonego jadącymi do pracy urzędnikami i młodzieżą – wsiedli wszyscy trzej. Każdy do innego wagonu. Razem też na dworcu Warszawa-Śródmieście wysiedli, by wydostać się na górę. Dopiero w połowie placu Defilad panowie podeszli

do siebie i razem już wkroczyli w bezlistne zarośla skweru ciągnącego się wzdłuż Świętokrzyskiej.

– Wpadła połowa przesyłki – powiedział krępy brunet o brutalnej twarzy byłego boksera.

– Gdzie? – spytał Roberto.

– U ciebie, na przeladunku. Ludzie, którzy byli wczoraj, podjęli tylko połowę. Reszta schowków była pusta.

– Jest pan pewien, boss?

– Gdybym nie był pewien, nie wołałbym ciebie ani jego – wskazał na lekko utykającego jegomościa o twarzy tak bezbarwnej i pospolitej, że nie sposób było zapamiętać jej rysów.

– Cztery dziewczyny przyszły puste. Puste i wystraszone. Gdyby nie to, że zameldowały same, myślałbym, że zrobiły nas na własną rękę.

– Wątpię – rzucił Roberto – nie wiedzą, co to jest warte.

– Mogły się wreszcie dowiedzieć. Ale nie w tym rzecz. Uważam, że nie przyszłyby same, gdyby gwizdnęły towar. Poza tym są to cztery najstarsze, najbardziej oblatane i wiedzą, co im grozi.

– A czy wie pan, które schowki zostały wybrane?

– Tak, nieparzyste: dwa na górze i jeden na dole licząc od punktu skoku.

– Ciekawe...

– Ciekawe? Kosztowne! To półtora kilograma towaru, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, ile to forsy?! – Zwrócił się do utykającej nicości: – Teraz kolej na ciebie. Bierz się do roboty.

Tamten tylko kiwnął głową. Roberto jeszcze zapytał:

– Towar ładować dalej, czy wstrzymujemy?

– Ładuj, musimy ryzykować. Damy towar i będziemy obserwować. Zrobisz rozeznanie na miejscu – znasz najlepiej teren i masz doświadczenie...

– Myślę, że to szcur – powiedział nagle facet bez wyrazu. A gdy tamci spojrzeli ze zdziwieniem, dodał: – Jakiś

miejscowy wypatrzył i połaszczył się. Nikt panu nie przychodzi na myśl? – zwrócił się do Roberta z pozorną obojętnością, ale w głosie jego zabrzmiał szczególny ton.

– Na razie nikt – odpowiedział – ale może dowiem się czegoś.

I poczuł nagle, że im chodzi o Ginę. Zrozumiał, że zawisło nad nią potworne niebezpieczeństwo i przestraszył się. Nie o siebie, o nią.

– Dobra – powiedział szef o twarzy boksera. – Stan alarmowy obowiązuje. Pogadaj z Bobem – zwrócił się do Roberta – jutro o ósmej rano bądź na Głównym. Ty bierz się do swojej roboty – polecił kulawemu. – Może to rzeczywiście szcur?

– W Gdyni – rzucił tamten w przestrzeń, nie kierując informacji do żadnego z obecnych – była wpadka w branży. Nakryli faceta, co chciał bawić się w żeglarstwo. Nakryli też mały jacht. Podobno budował go ktoś prywatnie i bardzo chytrze. Jakiś facet z teatru... – i zwracając się do Roberta powiedział wprost: – Niech pan sam zapyta o to tę małą. Zawsze będzie dla niej lepiej, jeśli nie ja to zrobię. Jasne?

Roberto najchętniej strzeliłby go w ten bezbarwny pysk, ale wiedział, co to może kosztować. I jego, i Ginę. Wycodził przez zęby:

– Jasne.

Rozeszli się w różne strony.

Do jutra rana miał czas na rozwikływanie tego gordyjskiego węzła. Co u licha, kto im podebrał towar? Podejrzewali Ginę, ale przecież ta idiotka zupełnie nie orientowała się w czym rzecz, na czym polega cały numer. Oczywiście, mogła coś chlapanąć i ktoś mądrzejszy domyślił się reszty. To, że wziął tylko połowę, wskazywałoby, że albo nie zna ich systemu, albo daje znać, że chce się dzielić: fifty-fifty.

Z najbliższej budki zadzwonił do Giny i umówił się z nią w Forum. Nie musiał się kryć, a chciał zjeść śniadanie. Głos dziewczyny był zachrypnięty jakby od długiego płaczu. Wzruszyło go to, ale szorstko przykazał jej, aby pamiętała dokąd idzie i wyglądała jak człowiek. Przecież nie może teraz pokazywać się z rozhisteryzowaną dziewczyną. Zaraz zwrócić na siebie uwagę.

Tymczasem pani Aura zgodnie z życzeniem dyrektora Wiśniewskiego zakomunikowała mu z samego rana, że wczoraj musiało zajść coś dziwnego w teatrze. Na widowni w trzech czy czterech punktach był podczas przedstawienia niepokój. Ludzie kręcili się, wybuchła nawet drobna sprzeczka, że ktoś komuś przeszkadza oglądać spektakl. A po antrakcie w tych właśnie miejscach, gdzie się coś działo, opustoszały krzesła. Panie, które tam siedziały, nagle wyszły.

Dyrektor zaniepokoił się tym wyraźnie; odkąd miał w kieszeni prokuratorskie wezwanie, niepokoiła go każda wiadomość. Nic nikomu o tym – rzecz jasna – nie powiedział. Któż by się czymś takim chwalił? Ale i tak cały teatr już wiedział, bo urzędniczka, która kwitowała „zwrotkę”, rozgadała zaraz w kancelarii, że jest pismo z prokuratury do Wiśniewskiego. Na pewno go zamkną. I teatr szumiał od plotek jak długi i szeroki. Jedyne do świadomości wielkiego Poraya nie dochodziło to wszystko, tak był pochłonięty rozwijaniem swej koncepcji inscenizacyjnej opartej na ruchu krzesetek.

Rozmowa z Giną nie była zadaniem łatwym. Ale Roberto jakoś uspokoił dziewczynę. Pozwolił jej wrócić do niego, do domu, ale przykazał, aby podczas jego nieobecności nie opuszczała mieszkania. I żeby nikomu – broń Boże – nie otwierała. On ma klucze. Potem jej wyjaśni, o co chodzi. Sprawa jest piekielnie skomplikowana i trzeba, aby mu była

ślepo posłuszna, bo wszystko weźmie w łeb i nie będzie mógł jej zabrać ze sobą do Stanów.

Co jednak najistotniejsze, Roberto wyciągnął z Giny mnóstwo bardzo ważnych informacji. Przede wszystkim o tym, że dyrektor Wiśniewski został wezwany do prokuratora, że pojutrze ma się tam stawić i wszyscy w teatrze mówią, że go przymkną. Potem Gina opowiedziała – przy okazji, jak już doszła do Wiśniewskiego – o aferze jachtowej, komisji, przesłuchaniach i grzebaniu w papierkach. A wreszcie o tym, że pani Aura, ta z kasy, bardzo interesuje się wykupywanymi przez nią biletami, tymi, których potrzebuje Roberto dla Belgów. Wydało jej się nawet, że notuje ich numery w swoim biurowym terminarzu. Nie jest pewna, ale... Roberto omal nie wrzasnął na nią, ale opanował się i zapytał, czemu Gina nie opowiedziała mu tego wszystkiego wcześniej? Dlaczego w ogóle nie mówi z nim o swej pracy, która jest taka ciekawa? Gina pogłaskała Roberta po ręce, spojrzała przymilnie w oczy i odpowiedziała:

– Przecież ty zawsze na mnie krzyczysz, jak zaczynam o swoich głupstwach, o koleżankach, plotkach, kieckach... Boję się ciebie trochę, Roberto!

Spojrzał na dziewczynę uważnie, zajrzał jej głęboko w oczy i pomyślał, że jest zupełnym idiotą, że powinien sam dać sobie po pysku, a ta ładna smarkata na pewno jest zupełnie niewinna. Nie wygląda na „szczura”. I że to jeszcze gorzej, bo trzeba będzie szukać na ślepo i na ślepo uderzać.

Pomyślał o kulawym panu z twarzą bez wyrazu i zrobiło mu się zimno.

– Teraz musisz siedzieć w domu, Gina – powiedział surowo. – Masz pilnować domu. I czekać na mnie.

Wprawdzie było to trochę jak rozkazy wydawane psu, ale w Ginie topniało ze szczęścia serce, że jemu tak na niej zależy. Zazdrośnik – to po tej Włoszce-mamie. Niech tam! Zazdrosny, bo kocha.

KRAKSA

Następnego dnia po raz pierwszy, odkąd byli razem, Roberto odwiózł Ginę do teatru samochodem. Ale nie swoim wozem, tylko taksówką. Potem pojechał dalej. Było jeszcze bardzo wcześnie i dziewczyna nie miała co robić. Siedziała więc przy biurku i myślała, do kogo by tu zadzwonić, żeby poplotkować. I wtedy, także dużo wcześniej niż zwykle, zjawiła się w teatrze pani Aura. Weszła do organizacji widowni. Była tam tylko Janka-Gina.

– No i co – zapytała prosto z mostu – już lepiej? – zauważyła łzy, panikę w oczach, wyczerpanie, sińce pod oczyma i pomyślała, że dziewczyna miała jakieś wielkie przejście, albo z ojcem, albo z tym podejrzanym cudzoziemcem, który tak jej imponował i w którym była głupio zakochana.

- Lepiej – kiwnęła głową Janka.
- Kocha? – strzeliła pytaniem pani Aura.
- Chyba kocha, jak kochał... – uśmiechnęła się.

A więc się omyliła, to nie był dramat miłosny, tylko coś innego.

- No, a co u ojca? – dopytywała się.
- W porządku, warsztat rozkręcił się na całego. Daj Boże tak dalej.

Pani Aura spojrzała uważnie na dziewczynę. Głupie, ładne i właściwie takie miłe – pomyślała. Musi ją rozgryźć, musi dowiedzieć się, co ona ukrywa. Na pewno jakąś brudną i ciemną sprawę.

- Słuchaj, Janka – postanowiła nie owijać w bawełnę – powiedz mi, ale tak naprawdę: dla kogo ty wykupujesz te bilety?

Dziewczyna zbladła. Paniczny strach zapalił się w jej oczach. Zmartwiła, jakby ją trafił piorun, po chwili dopiero odzyskując głos wyszeptła:

– Jakie bilety?

– Nie udawaj głupiej – atakowała pani Aura, sama stropiona wrażeniem, jakie zrobiło na dziewczynie jej pytanie – wiem, że wykupujesz poszczególne miejsca, Wiem, że robisz to od miesiący, wiem nawet to, że rozwijasz swój proceder coraz bardziej. Po co? Dlaczego? W jakim celu?

Janka trochę się opanowała.

– No, może czasem, dla znajomych... Zdarza się, nie?... – stanowczo kłamstwo nie było jej specjalnością.

– Gina – nie wiadomo czemu pani Aura nazwała ją tak, jak Roberto – to się niedobrze skończy. Wiesz, co jest z dyrektorem, wiesz, że są komisje.. Gina, ty coś kręcisz, a ja ręczyłam za ciebie. Ręczyłam we wrześnieu...

Jankę kolnęło w sercu. Prawda, pani Aura ją tu wprowadziła, pani Aura nauczyła ją wszystkiego i kryła jej omyłki, a teraz... Ale nie, nie może jej nic powiedzieć. Roberto... Roberto nakazał ścisłą tajemnicę. Więc spojrzała pani Aura w oczy z miną nieszczęśliwego dziecka, któremu każą wybierać między tatą a mamą, i rzekła:

– To nic, pani Auro, to nic złego. To pani nie dotyczy. Kiedyś pani opowiem. Niech mi pani wierzy. Teatr dostaje swoje pieniądze. Nikt nie traci, nie ma w tym żadnego kantu, ale ja nie mogę... Naprawdę nie mogę... – i rozplakała się. Zanim pani Aura zdołała ją uspokoić, weszła Krysia z furą ostatnich plotek.

*

Tymczasem boss i Roberto spotkali się zgodnie z umową. W kącie brudnej restauracji obskurnego Dworca Głównego siedli obok siebie przy niewielkim stole, zamówili lurowatą kawę i wymienili informacje. Okazało się, że wczoraj też połowa

transportu zniknęła. Tym razem połowa licząc od osi pionowej przechodzącej przez punkt skoku. Roberto opowiedział wszystko, czego dowiedział się od Giny i od Boba. Zataił jedynie – bojąc się wplątać jeszcze bardziej dziewczynę w tę niebezpieczną aferę – sprawę zainteresowań pani Aury. Przecież oni od razu zaczną podejrzewać obie. Los pani Aury był mu całkowicie obojętny, ale Giny... Dziewczynki Boba były poza podejrzeniami. Pozostawała natomiast sprawa Wiśniewskiego...

– Co ty mówisz – zainteresował się boss o gębie eksboksera – facet jest w coś zamieszany? I ten jacht? To by pasowało do tamtej afery w Gdyni. Może on się postanowił włączyć? Może wszedł nam w drogę w ostatnim momencie? To byłby cholerny pech. Przecież jeżeli go zdejmą, to wyśpiewa...

– Co wyśpiewa?

– Nasz system. System, który rozszyfrował, jeżeli tak sprytnie podbiera towar. Nie można dopuścić, żeby go zatrzymali.

– Przecież nie będziemy mu pomagali w ucieczce. Nie uwierzy nam. Co to, Armia Zbawienia czy Pogotowie Ratunkowe?

– Nie, nie pomożemy mu w ucieczce, ale nie dopuścimy, żeby zeznawał.

– Jak?

– Moja sprawa. Ty lepiej zajmij się dokładnie tą kasjerką. Może jest w spółce z dyrektorem?

– Chyba za stara na takie skoki?

– Na dużą forszę nikt nie jest za stary. Sprawdź. I sprawdź dobrze swoją dziewczynę.

– A towar?

– Pchaj normalnie, musimy próbować.

Ze spotkania z Robertem boss udał się na dłuższą rozmowę

z kulawym jegomościem o twarzy bez wyrazu. Konferencja przeciągała się, aż wreszcie panowie rozeszli się bardzo z siebie zadowoleni.

Koło południa kilkunastoletni chłopak przyniósł z miasta paczkę do dyrektora Wiśniewskiego. Dyrektor wziął ją, pokwitował i kiedy posłaniec wyszedł, szybko rozciął sznurek. Ze starannie owiniętego w papier rulonu wysypał się kłęb starych gazet.

– Co za kretyński dowcip – pomyślał i w tej chwili ujrzał, że wewnątrz, w środku rulonu tkwi kartka z wypisanymi na maszynie słowami:

„Dziś o dziewiętej wieczorem, zostaw wóz na Warszawie Zachodniej. Wsiądź w podmiejski na Wschodnią. Czekam przy kiosku Ruchu. Sprawa gardłowa. Zniszcz kartkę. Waldemar”.

Dyrektor dwukrotnie przebiegł wzrokiem ćwiartkę papieru. Nie ma wyjścia – pojedzie. Za dwadzieścia cztery godziny prokurator, może przynajmniej dowie się czegoś od Pyry. Jemu też widać depczą po piętach. Tym lepiej – niewykluczone, że jutro wytarguje swoją głowę za głowę tamtego. Decyzja została podjęta. Kartkę spalił i wyrzucił popiół. Nie ma śladu.

Dyżur wieczorny włókł się niemiłosiernie. Wreszcie dyrektor Wiśniewski nie wytrzymał, ubrał się i wsiadł do samochodu. Chwytał mróz, zrobiła się paskudna ślizgawica. Powoli dobrnął do Warszawy Zachodniej. Było tu ciemno, zimno i pusto jak na zapadłej prowincji. Postawił wóz, zatrzasnął drzwiczki. Potem, z wolna, oglądając się za siebie poszedł na dworzec. Kupił bilet do Wschodniego i parę minut przed dziewiątą wsiadł do podmiejskiego pociągu. W wagonie dwóch wyrostków ćmiło papierosy, obficie częstując się uliczną łąciną. Wiśniewski, wtulony w kąt, udawał że drzemie. Na Centralnym wsiadło parę osób i zrobiło się trochę raźniej. Potem tunel, Powiśle, Stadion i już Dworzec Wschodni. Niecierpliwie wybiegł z wagonu, szybko zszedł na dół i skierował

się do głównej sali. Koło kiosku Ruchu kłębił się tłum ludzi. Stanął w kolejce po gazety. Minęło parę minut, ogonek posuwał się wolno. Kupił jakieś papierosy i odwracając się spostrzegł, że stoi przed nim facet o zupełnie bezbarwnym obliczu. Człowiek bez wyrazu.

– Mr. Wiśniewski? – zapytał.

– Yes! – odpowiedział niepewnie dyrektor administracyjny Teatru Otwartego.

– Come with me, please – powiedział tamten.

Wiśniewski ruszył za cudzoziemcem. Jego angielszczyzna wzbudziła raczej zaufanie, że to nie zasadzka, nie podstęp milicji. Widocznie Pyra ma jakichś zagranicznych partnerów, może ich przerzucą? Zaczęła świtać nadzieja.

– Our friend is waiting in the car – poinformował dziwny cudzoziemiec i wyszli razem przed dworzec.

Daleko na parkingu, w prawie całkowitej ciemności stał sportowy wóz. Ku niemu podreptał posłusznie za swym przewodnikiem Wiśniewski. Kiedy doszli do auta – zauważył, że był to czerwony porsche – otworzyły się nagle drzwiczki i dyrektor został błyskawicznie wciągnięty do środka. Zdążył tylko poczuć duszący zapach eteru i stracił przytomność.

*

W sobotę od wczesnego rana cały Teatr Otwarty trząsł się od plotek. Sensacja była nadzwyczajna i straszna zarazem. Tej nocy w wypadku samochodowym, rozbijając się na nie strzeżonym przejeździe kolejowym, zginął dyrektor Wiśniewski. Milicja prowadziła śledztwo mające ustalić przyczyny kraksy, a połowa co najmniej pracowników „Otwartego” zadawała sobie pytanie, czy nie było to przypadkiem samobójstwo.

Nieustannie kręcąca się milicja, zamieszanie i ogólne podniecenie skłoniły dyrektora Marczewskiego do wyperswadowania Porayowi, aby wyjątkowo zgodził się na odwołanie dzisiejszej – sobotniej próby.

SĄDNY DZIEŃ

Roberto nie był szczery w rozmowie ze swym bossem. Mógł to tym łatwiej ukryć, że sytuacja zdawała się wyjaśniać. Szef wlepił weń przenikliwe oczy o ciężkich powiekach, pytał o szczegóły, ale nie natarczywie, bez napiętej podejrzliwości.

– On – nigdy nie mówił inaczej niż „on” o swym szefie ochrony – miał rację. To był „szczur”. Słuchaj i uważaj – ostrzej zwrócił się do Roberta, który udawał nieco roztargnionego, aby ominąć niewygodne ze względu na Ginę pytania – w nocy z piątku na sobotę zginął ten... jak mu tam?

– Wiśniewski – podrzucił Roberto.

– Tak, więc zginął w nocy. Ale jeszcze piątkowy przerzut został częściowo rozbity. Umknęły nam dwa pojemniki. W sobotę i w niedzielę wszystko znaleziono na miejscu. Dziewczyny zdjęły cały towar i przyniosły na punkt. Wydaje się, że linia znów jest bezpieczna. Tylko, że teraz... – tu boss zawiesił głos – trzeba poszukać współników szczura. Tam na miejscu. I to zrobisz ty – wskazał palcem na Roberta. – Uruchomisz dziewczynę i zbadasz teren. Masz najlepsze dojsście. Myślę, że możemy na ciebie liczyć? – zadał pytanie, w którym czaiła się groźba.

– Pan w to wątpi? – zdziwił się Roberto.

– Raczej radzę. Po przyjacielsku ci radzę, po co masz mieć kłopoty – ty albo ta mała...

W poniedziałek teatr był nieczynny. Wieczorem Roberto kazał Ginie wykraść terminarz pani Aury.

– To bardzo ważne – wyjaśniał jej. – Musimy go mieć i dokładnie zbadać. Sama mówiłaś, że robiła tam notatki o „naszyc” miejscach. Nie wiemy dla kogo: dla milicji, dla Wiśniewskiego czy jeszcze dla kogoś innego...

– Zwariowałaś – zaperzyła się Gina. – Pani Aura to solidna osoba. Ona nie mogła mieć nic wspólnego z kombinacjami Wiśniewskiego, a zresztą cóż mają wspólnego „nasze” bilety z jego stocznia w teatrze? Milicja też odpada – to nie pani Aura. Jak jej raz w autobusie obrobili torebkę, to nawet nie zameldowała. Machnęła ręką i powiedziała: „Pan Bóg nagrodzi mi krzywdę, a złodzieja kara nie minie”. Ona jest taka... – dodała.

– Ale terminarz muszę mieć! – krzyknął Roberto. – Żeby ta twoja pani Aura była świętą Agnieszka, to też nie mogę jej ufać. Zrozum, to bardzo poważne sprawy. Jak się to wszystko przewali i już wreszcie wyjedziemy z tej parszywej Warszawy, to ci wytłumaczę, ale jutro musisz gwizdnąć kalendarz. Rozumiesz?

– Nie, nie zrobię tego! – stanowczo i po raz pierwszy ostro postawiła się Gina.

Wtedy Roberto nie wytrzymał i szybkim, mocnym ciosem uderzył ją w twarz. Raz i drugi. Upadła. Natychmiast opamiętał się. Skoczył na pomoc. Siedziała na ziemi i zalewała się łzami.

Roberto przestraszył się, że wszystko popsuł i teraz dziewczyna zatnie się zupełnie. Pożałował odruchu. Ale jak tej idiotce wytłumaczyć, że to jej, przede wszystkim jej własne bezpieczeństwo zależy od tego, co wie i co sobie powypisywała ta stara idiotka z kasy. Znalazł się detektyw na emeryturze...

Dwie godziny trwało łagodzenie sytuacji, aż wreszcie koło północy pogodzili się ostatecznie. Sposobem właściwym kobietom i mężczyznom, sypiającym na jednym tapczanie.

*

We wtorek od samego rana zaczął się sądny dzień. Poray zrobił na próbie piekielną awanturę, ponieważ dowiedział się w Spatifie, że tu w „Otwartym” ktoś opowiadał, jakoby tytuł „Operetki” w jego inscenizacji powinno zmienić się na

„Krzesełka lorda Blotton”. To szczyt niełojalności! Chamstwa! Niedyskrecji! On wprawdzie nie wie, kto rozpusza te idiotyczne dowcipy, ale z zespołem, który tak traktuje pracę, nie chce i nie może mieć nic wspólnego. Zrywa więc próby i oświadcza, że jego noga więcej w „Otwartym” nie postanie! Po czym wyszedł z teatru, wsiadł do swego auta i pojechał.

Aktorzy posłali po dyrektora Marczewskiego, który i tak od soboty chodził półprzytomny, to wypytywany przez milicję, to nagabywany przez główną księgową, kierownika technicznego i wreszcie stado myszkujących rewidentów. Teraz jeszcze ta historia z Porayem. Gdyby to był jedyny kłopot, i tak wystarczyłoby na zawał, ale wraz z sypiącymi się nań sprawami, sprawkami i obowiązkami po tym nieszczęsnym Wiśniewskim – istne piekło otworzyło się przed nim. Nie miał pojęcia, jak sobie teraz poradzić, co robić? Wiedział, że za pół godziny musi być u prokuratora, że powinien podpisać sprawozdanie, które podsuwała mu księgowość, i omówić korekturę planu finansowego, że ma interweniować w centrali dostarczającej teatrowi tekstylnia, ponieważ nie ma odpowiedniego materiału na bardzo ważne elementy dekoracji, no i przede wszystkim trzeba uratować „Operetkę”, czyli przebłagać Poraya. To ostatnie było najtrudniejsze. Właściwie wobec hysterii Poraya niebezpieczeństwa, jakie kryła w sobie wizyta w gabinecie prokuratorskim, były już dziecinną igraszką. Pierwsze więc, co zrobił Marczewski, to zawiesił próby „Operetki”. Następnie podpisał nie czytając buchalteryjne materiały i wreszcie pojechał do prokuratury.

W tym zamieszaniu, które powiększał obecny w teatrze, podniecony i rozplotkowany zespół „Operetki”, podzielony na dwie grupy: obrażonych na tego „chama sikającego wodą sodową, Poraya” i broniących „wielkiego reżysera przed

głupawymi dowcipami zza kulis”, można było wynieść właściwie nie tylko terminarz pani Aury, ale wszystkie urządzenia, nie wyłączając fatalnych krzesełek z widowni, sceny i pozostałych pomieszczeń. Dość, że Ginie, mokrej ze strachu i obrzydzenia do samej siebie, udało się przed zamknięciem kasy gwizdnąć nieszczęsny terminarz. W gruncie rzeczy zrobiła to mistrzowsko, wykorzystując kolejną erupcję aktorskich emocji i jeszcze jedną porcję plotek.

Dość, że wreszcie terminarz leżał spokojnie w jej przepastnej torbie, a uczucie wstydu mieszało się z dumą i radością, iż tak sprawnie wykonała ważne polecenie Roberta.

Dyrektor Marczewski wrócił od prokuratora w smętnym nastroju, pełen najgorszych przeczuc. Okazało się bowiem, że wprawdzie – jak wykazała sekcja – Wiśniewski władował się autem pod pociąg w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego, co jest o tyle dziwne, że facet tak pijany nie bardzo mógł w ogóle prowadzić wóz, gorzej natomiast wyglądała sprawa jachtu. Od lat w pracowniach teatru były produkowane coraz większe pełnomorskie łodzie żaglowe...

– To była przecież inicjatywa społeczna Rady Zakładowej – próbował bronić się Marczewski.

– To była przykrywka społeczna dla prywatnych kantów – odpalił prokurator, nie nawykły do tego, by mu przerywano.

– A poza tym, panie dyrektorze, te jachty sprzedawano za pośrednictwem znanego aferzysty z Wybrzeża, niejakiego Pyry, różnym podejrzanym osobnikom. Ostatni zaś, „Melpomenę”, odstąpiono pewnemu cudzoziemcowi, którego posądzamy o udział w aferach przemytniczych. W czasie dokładnej rewizji odkryto na jachcie liczne, starannie zamaskowane skrytki, których konstrukcja nie pozwala wątpić, że były one wbudowane podczas montowania jednostki, a więc... w pańskim teatrze!

- Dyrektor Wiśniewski... – cicho zaczął Marczewski.
- Dyrektor Wiśniewski nie żyje. Gdyby żył, zostałby już zatrzymany. Ale on nie żyje, a pan, o ile wiem, jest naczelnym dyrektorem całego przedsiębiorstwa?
- Jestem dyrektorem artystycznym i z tego tytułu podlega mi całość, lecz dyrektor Wiśniewski był moim zastępcą, zupełnie samodzielnym i niezależnym. Od spraw technicznych, administracyjnych i organizacyjnych. Jemu też podlegał pion produkcji...
- ...zwłaszcza jachtów – dokończył prokurator i dodał: – Na dzisiaj będzie dość, ale mam wrażenie, że spotkamy się jeszcze. I to prawdopodobnie nieraz.

*

Roberto o czwartej dostał od Giny terminarz pani Aury i natychmiast zabrał się do studiowania go. A było co czytać. Terminarz składał się z części ubiegłorocznej i tegorocznej, ponieważ pani Aura kazała sobie specjalnie kompletować terminarze z dwóch kalendarzy, tak aby obejmowały one sezony, nie zaś lata. Roberto miał zatem przed sobą materiał od września ubiegłego roku. Materiał, który przyprawił go o przerażenie graniczące z paniką. Przecież ta kobieta miała tu – z niewielkimi błędami – wynotowany cały system. Od końca grudnia zaczęła bawić się nawet w prognozowanie, co i kiedy będzie wykupywał, jakie bilety będą mu potrzebne. Szyfr zmiany miejsc – sławny skok konika szachowego – został przełamany.

A więc tu się kryje szczur! W tej norze! Już chwycił za telefon, by zostawić wiadomość dla bossa, że zapomniał u niego paczki Marlboro, ale w ostatniej chwili wstrzymał się. Przecież jeżeli wywali wszystko o tej jędzy, to kuternoga najpierw weźmie się za Ginę. Nikt z nich nie uwierzy, że ona jest tak głupia, że się nie orientuje... Wezmą dziewczynę w ostre obroty, myśląc, że kogoś – pewnie jego, Roberta – kryje. I wyobrazil

sobie, co może stać się z Giną, a przy okazji z nim – odłożył słuchawkę telefonu.

KARTON PAPIEROSÓW

Bossowi powoli wracał humor. We wtorek i w środę nikt nie ruszył ani jednego pojemnika z transportu. Wszystko, co nadano linią wschodnią, odebrała zachodnia. Szczur został zlikwidowany i teraz tylko trzeba wykosić jego współników, a będzie można znów spać spokojnie. Oczywiście należało zmniejszyć obroty i wrócić do początkowego systemu. Osobno nadanie, osobno odbiór, nie więcej niż półtora kilograma tygodniowo. Trudno, sytuacja jest przymusowa, pełno milicji kręci się na punkcie, trzeba zachować rozsądek. Zresztą i tak postanowił utrzymać ruch tylko po to, by zbadać sprawę do końca, a nie żeby przerzucać te marne kilogramy – powiedział Robertowi.

– Aha – dodał na zakończenie – jeszcze jedno. – Niech Roberto da mu zapasowe klucze do lancii i zostawi o pierwszej wóz z dokumentami na placu Teatralnym. Bliżej Narodowego, bo tam zawsze jest więcej aut. Z benzyną w baku do pełna. Kiedy mu go zwróci?

Nie wie.

Roberto przyrzekł wszystko, dodając, że robi poszukiwania na własną rękę. Jest pewne, iż Wiśniewski był wmieszany w aferę budowania przemysłowych jachtów...

– Tych rewelacji możesz mi oszczędzić – przerwał ostro boss – słyszałem już o tym. Powiedz raczej, co z tą małą? Dowiedziała się czegoś?

Roberto nie chciał wysypać sprawy z kalendarzem, nie chciał mieszać Giny, nie chciał mieszać siebie. Postanowił więc skierować uwagę bossa w inną stronę.

- Wie pan, powiedziała mi, że mają od niedawna jakieś specjalne próby...
- Próby, co za próby?
- No, próby teatralne. Jakąś tam sztukę próbują.
- To co? W teatrze normalne.
- Tak, ale te próby odbywają się w ścisłej tajemnicy. Nikogo nie wpuszczają na widownię...
- Na widownię, powiadasz? Na widownię.. No, to już ciekawsze. Trzeba dostać się tam i zobaczyć. Załatw to przez małą. Niech się stara zrehabilitować...
- Jak to zrehabilitować?
- Nie udawaj idioty. Przecież wiesz dobrze, lepiej niż ja, że to przez jej głupotę albo gadulstwo mamy te wszystkie kłopoty. Tylko przez nią szczer mógł trafić na ślad.
- Skądże znowu...
- Nie broń jej, durniu. Gdyby nie to, że trzeba wszystko wokół tego cholernego teatru wyciszyć i gdyby nie to, że ty, cymbale, wzięłaś ją od paru miesięcy do swego mieszkania, „on” by ją dawno załatwił. Jak trochę wszystko przycichnie, trzeba będzie i tak dziewczynę zmydlić... Na razie niech odrabia, co narozrabiała.

A więc z Giną jest gorzej niż myślał. Trzeba im będzie rzucić coś większego na ofiarę i brać nogi za pas. Robi się coraz goręcej...

*

Yusuf miał już zupełnie dosyć tej kontrabandy do Polski. Opłacała się co prawda znakomicie, ale przyszyła zima i rzecz zaczynała być coraz bardziej ryzykowna. Na błotnistej ziemi pozostawały wyraźne ślady, listowie wokół bunkra na trzydziestym piątym kilometrze opadło i wszystko było jak na patelni, ledwo – ledwo przesłonięte nagimi prętami i rachitycznym młodniakiem sosnowym; wreszcie te kursy, niemal

bez wypoczynku, zwały się z nóg. Tym bardziej, że i drogi zrobiły się śliskie, mokre, a wóz ciężki. Rankami mgły, wieczór zapadał wcześniej, zimno dokuczało. No cóż, Yusuf chętnie wycofałby się na zimę z tej roboty, ale zbyt dobrze znał powikłane ścieżki życia... Na wycofanie się z takiego interesu muszą zgodzić się obie strony.

Dla zachowania względnego bezpieczeństwa tak wyjeżdżał na trasę, by docierać do bunkra, zanim się rozwidni. Potem zabierał ładunek i kazał zmiennikowi odjeżdżać co najmniej pięćset metrów, sam zaś przeprowadzał swój skomplikowany manewr. Nie tylko trudniejsze było zejście po oblodzonej drabinie do środka i ślizganie się po zamrożonej kałuży: pokrywa lodowa niekiedy pękała i wtedy wpadał jedną nogą do wody, a przecież za każdym razem trzeba było zacierać jakiś ślady. Dobrze, jeśli padał śnieg czy deszcz, ale przy lepszej pogodzie musiał ułamaną gałęzią zamiatać za sobą wydeptany trop. Niewiele by to pewnie pomogło, gdyby nie fakt, że miejsce, w którym znajdował się bunkier, było opuszczone i żadna ludzka droga – poza szosą – tędy nie prowadziła. Z szosy zaś nikomu nie przychodziło do głowy zbaczać w nieprzyjazne, trudne do przebycia wertepy.

Kiedy Yusuf tego ranka – była połowa stycznia – spuścił się wreszcie do wilgotnego i ciemnego bunkra, spostrzegł na drewnianej półce, gdzie zawsze składał swój pakunek, jakąś paczkę. Zatrzymał się i zgasił latarkę. Nasłuchiwał, ale wokoło panowała cisza. Omiótł więc dokładnie światłem całe podziemie. Nic się nie zmieniło. Kałużę skuł lód, na ścianach skrzył się szron pokrywający liszajem mokry beton. Do półki podchodził z wolna i ostrożnie. Wreszcie kiedy był już blisko, zorientował się, że długa paczka, która tu leży, to karton papierosów. Papierosów marki Marlboro.

Rzucił ładunek. Uczucia lęku i ulgi owładnęły nim jednocześnie. Alarm! Znak, żeby nie pokazywać się tu więcej.

Zostawić towar i wiać. Dopóki nie przyjdą inne polecenia. A więc jest niebezpieczeństwo. O Allah – miej mnie w swojej opiece! Podniósł mokry ładunek, umieścił na półce, zabrał karton papierosów i ślizgając się, pędem, jakby go ścigano, dopadł stalowej drabinki. A tam może już nań czekają – pomyślał. Ale wołał wszystko, niż zostawać tu, w tym obskurnym, wilgotnym bunkrze z lękiem, ładunkiem i ostrzeżeniem: alarm!

Na górze jednak nikt go nie oczekiwał. Ciemno, spokojnie i cicho było wokoło. Nie bacząc na ślady biegł teraz co tchu do szosy, potem dalej przez ciemność, ku błyszczącym światłom Hannomaga.

Ziajany, spocony wdrapał się ostatkiem sił do kabiny.

– Gazu! – krzyknął do zmiennika i trzęsącymi się palcami zaczął rozrywać opakowanie kartonu papierosów.

– Co się stało? – zapytał tamten. – Widział cię kto?

– Nie gadaj, tylko jedź! Z gazem, ale ostrożnie. Uważaj. – Wreszcie zapalił papierosa, zaciągnął się dymem, przypalił drugiego i dał zmiennikowi. Powoli wracał do siebie. Teraz trzeba się trzymać w garści, rozklejać się można w domu, nie tu.

– Co to, w lesie papierosy sprzedają? – zapytał zmiennik, skłonny, jak wszyscy młodzi, do żartów.

Byłby mu najchętniej dał w zęby, ale nie miał sił po tym wszystkim sam prowadzić wozu. Jedno co dobre, to że skończy się ryzyko, skończy ten niepewny interes. Już z następnym kursem nie przyjedzie, żeby nie wiadomo co. Nie zmuszą go. Nawet nie będą namawiali. Był tego pewien.

*

Firma Elektro-Serwis Doliński w okresie zimowym żyła życiem spokojnym i cichym. Raz na miesiąc odbywał się wśród gwaru i zamieszania odbiór elektrycznych wózków

dla Kanady, czasem ktoś przyjeżdżał naładować akumulator, który mu wysiadł na mrozie, ale klientów było niewielu. Natomiast wspólnik – inżynier Pakuła od jakichś dwóch tygodni przesiadywał w warsztacie częściej, coś majstrował w swoim laboratorium, przyjmował jakieś wizyty, przeważnie zagranicznych gości. Słowem, po swojemu pracował.

Tego dnia pan Jan, z nudów wyglądając przez okno, zobaczył, jak na teren warsztatu wjeżdża smukła lancia, zatrzymuje się dokładnie przed wejściem do części inżyniera, otwierają się drzwiczki i z wozu niezgrabnie wysiada jakiś facet. Trochę niemrawy, czy chromy na nogi. Zadzwonił i po chwili wszedł do laboratorium.

Lancia stała już dobrą godzinę, gdy u pana Dolińskiego pojawił się wspólnik w wielkiej futrzanej czapie, którą nosił odkąd zaczęły się mrozy.

– Panie Janie, potrzebna mi dobra piłka do stali. Ma pan chyba? – zapytał.

– Mam, nawet szwedzką. Tylko muszę ją przynieść z tamtego warsztatu – wskazał na dalszą część zabudowań.

– No to idziemy – rzucił Pakuła.

Po kwadransie z piłką do metalu pod pachą wrócił do siebie. Nie upłynęło dalszych dziesięć minut, gdy kulawy gość wyszedł od Pakuły kierując się do lanciai.

– Ta stalowa płytka potrzebna mi będzie jutro po południu, rozumie pan – kończył po niemiecku rozmowę. – Żeby to było dobrze opakowane i trzymało idealnie wymiar. Jasne?

– Jawohl – służbiście odpowiedział inżynier.

Lancia zrobiła sprawnym manewr i wyjechała ostro z bramy ceniowego warsztatu Elektro-Serwis Doliński.

BUNKIER

Dziś na noc Zaręba miał jechać po odbiór towaru. Cholerna robota i coraz bardziej ryzykowna, zwłaszcza że ma taki znaczny wóz. Teraz, kiedy wie już tyle, może ich przycisnąć, aby dali mu coś innego. Nie będzie ciągle nadstawiać karku defilując bez przerwy po tej samej trasie jednym i tym samym wozem. To powinien być samochód, jakich włości się po drogach bez liku. Fiat lub volkswagen, coś szybko i nie rzucającego się w oczy.

Z silnym postanowieniem zagrania ostro przygotowywał się Zaręba do drogi, to znaczy brał kąpiel, wyciągał odpowiednią odzież (najważniejsze, żeby nie zapomnieć o gumowych butach, jak się złazi do tej choleryjnej dziury), szykował kanapki, termos z kawą. Przyszło mu do głowy, że powinien zażądać zmiany finansowych warunków współpracy. To nie w porządku, że za przetransportowanie tego faceta z jednego dworca na drugi (i to w jakim stanie – nie daj Boże, żeby ich zatrzymał pierwszy lepszy milicjant) nie uważali za stosowne nic mu odpalić. O nie, panowie, to się musi skończyć. Współpraca – współpracą, wasz interes, co tam z kim robicie, ale forsa, panowie, forsa – na stół.

Nie dokończył jeszcze monologu wewnętrznego ani wyjazdowej toalety, kiedy w przedpokoju odezwał się dzwonek.

– Kogóż do cholery niesie? – pomyślał i poszedł otworzyć.

W drzwiach stał mężczyzna o twarzy pozbawionej cech indywidualnych, absolutnie żadnej, takiej, której nie sposób zapomnieć, bo się jej w ogóle nie zapamiętało. A przecież poznał go. To był on. Ten, który przyprowadził tamtego faceta, co go potem transportowali na Zachodni. Ten sam. Czyżby przyszedł zapłacić? Ale skąd znał jego adres?

– No, dobrze, że pana zastałem – rzekł przybysz po angielsku, wchodząc do przedpokoju – niech pan zamknie drzwi.

Zaręba posłusznie wykonał polecenie.

– Alarm – powiedział facet bez oblicza. – Ostry alarm! Koniec z pana jazdami, koniec z trasą.

– Rany boskie!

– Chowamy wóz, jedziemy po ostatnią partię towaru i przrzucam pana na Szczecin. Tam są nasi ludzie.

– Ale co się stało? – wykrztusił Zaręba.

– Ten facet, którego pan wioził wtedy ze Wschodniego. Wie pan... wysypał. Wysypał cały interes.

– To mogą tu zaraz wpaść... co robić! – histeryzował.

– Żadne zaraz, żadne wpaść! Zbierz się do kupy, gówniarzu! – krzyknął gość. – Tamten już ziemię gryzie i o panu nikt nic nie wie. Nie wiedzą jeszcze ani o porsche'u, ani o naszej melinie, ale wiedzą i tak dość dużo. Tyle, że z tamtym trzeba było zrobić koniec. No więc bierz, chłopie, co masz do wzięcia, jedną walizkę, forsę, ubranie na drogę i jazda.

Zaręba biegał trochę bezładnie po mieszkaniu, pakował jakieś niepotrzebne rzeczy, potem wyrzucał je, wyciągał coś innego... Wreszcie po trzech kwadransach wyszli.

– Wsiadamy do porsche'a i jedziemy na Jelonki – komenderował starszy, nieco utykający facet.

Było dobrze po dziewiątej, kiedy podjechali pod bramę warsztatu samochodowego stojącego prawie na pustkowiu. Jeden sygnał i brama otworzyła się. Wpuścił ich człowiek ubrany w ciepłą kurtkę i futrzaną czapę. Potem starannie zamknął bramę i po polsku rozkazał Zarębie:

– Niech pan wjedzie pod wiatę i zostawi tam wóz.

Zaręba wykonał polecenie. Wysiadając spostrzegł, że również pod wiatą, o kilka metrów dalej, stoi olbrzymi kontener

z napisem COSAG Comp. Toronto.

Potem przesiedli się do lancii. Przy kierownicy siedział kulawy, który przed samym odjazdem, spuszczać szybę, zapytał jegomością w futrzanej czapce:

- Wszystko O.K.?
- O.K.! – odpowiedział tamten.
- Płyta też?
- Oczywiście.

– Aha, byłbym zapomniał – powiedział i obrócił się za siebie wyciągając z tyłu wozu jakieś narzędzie, które podał gospodarzowi. – Dziękuję, już mi niepotrzebne – dodał, po czym zasunął szybę. Człowiek w futrzanej czapce trzymał w ręku szwedzką piłkę do stali.

Lancia ruszyła. Kierowca raz po raz pytał Zarębę o drogę. Powiedział, że nie robił jeszcze tej trasy i że teraz on będzie Zarębę zastępował. Ze względu na pośpiech nie mogli tego urządzić inaczej. Zanim pojedą na Szczecin, muszą zabrać towar, Zaręba mu pokaże, jak się tam wchodzi i jak to zrobić...

- Ale tam mogą być już oni – wymamrotał Zaręba.
- Bzdura! Nie mogą. Wyspa jest gdzie indziej. Musimy odebrać wszystko i musi mi pan dokładnie pokazać, jak się tam dochodzi. Wiem, że po trzydziesty piąty kilometr, ale nie znam dojsčia. Boss nam kazał – to jedźmy, a jak nie to nie, wysiadaj pan i na milicję! Życzę zdrowia.

– Nie czas na żarty – ofuknął go Zaręba. – Ryzykujemy. Byle prędzej do Szczecina.

- Byle prędzej – powtórzył kierowca zamyślony...

Koło trzeciej w nocy byli na miejscu. Trochę szukali tej cholernej przecinki, bo w ciemnościach wszystko im się płało, wreszcie znaleźli. Lancia wjechała tyłem, aby schować się od strony szosy i stanąć możliwie najbliżej bunkra. Wyrzebywali się z trudem, grzęznąc w rozmokłym gruncie,

ślizgając się po śniegu, butwiejących liściach i trawie. Wreszcie kierowca kazał Zarębie wyciągnąć z bagażnika paczkę. Niewielką, prostokątną, zawiniętą w papier, okropnie ciężką. Sam wyjął plastikowy worek z szarym proszkiem i niewielki kanister.

– Niech mi pan pomoże – powiedział – i weźmie ten zasobnik. I niech pan prowadzi.

Szli wolno, ślizgając się w zaroślach, przez chaszczce i smagające ich po twarzy gałęzie. Było ciemno choć oko wykol, z drzew kapala woda, a nogi miesiły błocko.

– Uwaga – powiedział Zaręba – tu zaraz gdzieś będzie ta dziura.

– Położ pan zasobnik, tu, koło mnie, i prowadź pan dalej. Jak ja tu za dnia trafię? – irytował się kulawy.

– Jakoś... – zaczął Zaręba, nagle krzyknął: – Już!

– Co już?

Zaręba ukląkł i ostrożnie badał rękoma grunt.

– To tu – powiedział – może pan schodzić.

– Nie, idź pan pierwszy. Kuleję, musi mnie ktoś asekurować – rozkazał tamten.

– A latarkę pan ma?

– Tak, a pan?

– Też.

– No to dobrze, ale niech pan nie zapala, zanim pan nie stanie na dole. Mógłby kto dojrzeć z szosy.

Zaręba zaczął wolno, krok po kroku spuszczać się po stalowej drabince, którą przemierzał tylekroć w ciągu ostatnich miesięcy. Jego towarzysz głośno sapał i męczył się jeszcze na górze, kiedy Zaręba znalazł się już poniżej ściany, do której były przymocowane klamry i teraz schodził nie mając żadnego oparcia. Drabinka wisiała sztywno w powietrzu, kończąc się o pół metra od dna bunkra. Kiedy tak spuszczał się coraz niżej i niżej, naraz poczuł, że coś się zachwiało, że szczeble jakby

zmiękły, wszystko się zakołysało i poleciał wraz z drabinką w dół.

Głuche uderzenie i trzask metalu usłyszał człowiek nachylony nad włazem. Wyprostował się, odetchnął i zaczął po omacku szukać czegoś na śniegu. Wreszcie znalazł swą ciężką, kwadratową paczkę. Szybko rozwinął papier i wyciągnął stalową płytę. Powoli włókł ją do otworu włazu, zanim go jednak nakrył, schylił się i zaśwycił w głąb latarką. W kręgu światła zobaczył leżące bez ruchu ciało przygniecione ciężarem metalowej drabiny. Potem smuga padła na jej wiszące resztki przytwierdzone do ścian bunkra. Pręty urywały się w jednym miejscu równo, jak podpiłowane. Człowiek, który to starannie i spokojnie oglądał, pomyślał tylko, że wprawdzie Wehrmacht używał dobrego żelaza do budowy umocnień, ale szwedzkie piłki do stali są niezastąpione – przetną wszystko...

Założenie płyty, zacementowanie jej i przykrycie liśćmi, śniegiem i gałęziami zabrało dobre pół godziny, a może i więcej. Wreszcie kulawy facet wycofał się zmęczony z krzaków, dobrnął do przecinki, wszedł do stojącej tam lancierki i nie zapalając światła ruszył w kierunku szosy. Wyjrzał. Była pusta. Skierował się w stronę Warszawy.

Rano pan Jan Doliński zapytał swego cichego współnika, pokazując na wielką skrzynię-kontener z napisem COSAG Comp., Toronto:

- A kiedy to wjechało?
- Wczoraj wieczorem – powiedział inżynier Pakuła. – Prosił, żeby mogło zostać przez parę dni. Wie pan, muszę im iść na rękę.
- W porządku – zgodził się mistrz Doliński – teraz mały ruch, to miejsca dużo...
- Ale, ale – jakby nagle przypomniał sobie o czymś inżynier – na śmierć bym zapomniał. Muszę panu oddać piłkę do stali. Zaraz przyniosę.

– Dobra, dobra, nie pali się, będę do południa.

Następnego dnia kontener z napisem COSAG Comp. został załadowany na ciężarówkę i opuścił warsztat.

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Wszystko na świecie wraca z czasem do normy. Po tygodniu od wypadku z dyrektorem Wiśniewskim w Teatrze Otwartym zapanował względny spokój. O tyle, o ile można było mówić o spokoju w trakcie prób prowadzonych przez Poraya. Dyrektor Marczewski, dość szybko otrząsnąwszy się z depresji, podzielił jakoś robotę, a co najważniejsze, zdołał ugłaskać Poraya. Wprawdzie nie obyło się to bez kosztów własnych i pan Rysio, który – jak się okazało – był autorem, czy tylko kolporterem nieszczęsnego dowcipu o krzesłach lorda Blotton, wyleciał z obsady „Operetki”, ale premiera została uratowana. Przez pierwsze dwie próby praca odbywała się w klasztorным spokoju. Zajmowano się jedynie tekstem, a Poray jakby zapomniał, że na widowni w ogóle są krzesła. Nie spoglądał nawet w tę stronę, cały czas kręcąc się po scenie. Należał do tych reżyserów, którzy uwielbiają pokazywać jak się gra, po czym zostawiają aktorowi swobodę interpretacyjną. Owe demonstracje „kunsztu” były potrzebne wyłącznie jemu samemu i wszyscy znosili to ze stoickim spokojem. Aż pewnego dnia...

Poray wpadł na próbę wyraźnie podenerwowany. Nikt nie wiedział i nie starał się dociec, dlaczego. Dość, że zaczął od robienia koszmarnego bigosu.

- Na czym to wczoraj stanęliśmy? – zapytał.
- Monolog Fiora o galopie i chór Lokajów, koniec pierwszego aktu – pośpieszył z informacją asystent.
- No to wracamy do początku – zdecydował Poray. –

Bierzemy się do krzesłek. Z ogniem, proszę państwa, z ogniem...

I rzucił się demolować widownię, a w ślad za nim pognąła reszta zespołu; czynili to dziś ze zdwojoną gorliwością, chcąc dowieść reżyserowi, że solidaryzują się z jego wielką koncepcją, a nie głupimi, szczeniackimi żarcikami niepoważnego pana Rysia.

*

Roberto i boss, który ostatnio wyraźnie schudł, miał podkrążone oczy i biegający niespokojnie wzrok, popijali w ruchliwej kawiarni na placu Grzybowski koniak i wymieniali informacje. Sytuacja, ogólnie rzecz biorąc, była dobra. Od zlikwidowania Wiśniewskiego przeładunek na punkcie przebiegał normalnie. Wszystko, co przekazano tam z linii wschodniej, podejmowały dziewczęta Boba i było O.K. Oczywiście tempo znów zrobiło się potwornie wolne, ale należało zachować ostrożność. Główny szlak transportowy został zablokowany i dowóz towaru wstrzymano. Teraz oczyszczając magazyn linii wschodniej i jak opustoszeje – niebezpiecznie jest trzymać tyle towaru – zawieszą działalność na pewien czas. Potem trzeba będzie próbować od nowa. Taka jest decyzja centrali. Ale chcą jednocześnie, żeby przyspieszyć ewakuację, więc boss postanowił, że jak tylko milicja trochę się odsunie od teatru, rzuci się przez parę dni towar na całego, aby mieć to z głowy. Czekanie, aż wszystko się wsypie, jest gorsze niż jeden lub dwa ryzykowne skoki.

Roberto przyznał rację, dodając informacje od dziewczyny: że milicja właściwie już do „Otwartego” nie przychodzi, gabinet Wiśniewskiego został odpieczętowany, a nawet na tyle wszystko się ustabilizowało, że wrócili do prób. Myśli zresztą, że warto się przyjrzeć tym próbom, więc postara się – jak sobie tego boss życzył – załatwić sprawę jak najszybciej.

– Dobra – powiedział pan ze złamanym nosem – idziemy

na całość. Ładuj dziś, ile możesz. I wiesz co, zacznijmy skok od punktu wyjściowego, od tej choleralnej dwunastki.

Roberto z szatni zadzwonił do Giny; powiedział jej, żeby zaraz złapała taksówkę i przyjechała na plac Grzybowski. Czekał na nią przed kawiarnią. Była po kwadransie. Podyktował jej numery miejsc i rzędów, które są na dziś potrzebne, i odesłał tą samą taksówką z powrotem.

Miała wyjątkowe szczęście – siedem spośród ośmiu potrzebnych jej miejsc było zarezerwowanych przez „Gromadę” dla wycieczki z Gołdapi. Zadzwoniła więc do koleżanki i „Gromada” natychmiast zgodziła się na zamianę. Kłopot był tylko z jednym miejscem, które już miała u siebie pani Aura. Było nie było, trzeba z nią pogadać. I Janka wybrała się do kasy, której od pamiętnej sprawy terminarza unikała jak diabeł święconej wody. Było jej cholernie głupio. Bardziej wstyd, niż kiedy przed trzema laty gwizdnęła ojcu z komody całego „kopernika” na jakiś bombowy ciuch z komisju. Zresztą tata Dołiński szybko się skapował i tak jej sprął tyłek, że przez tydzień z trudnością siadała.

Pani Aura natychmiast zorientowała się, o co Jance chodzi. Aby odzyskać zaufanie dziewczyny, załatwiła jej bilety od ręki. Potem rozgadały się o tym i owym, o filmach, kieckach, wreszcie Janka zwierzyła się, że jest bardzo szczęśliwa, bo Roberto ją kocha, ale niepokoi się o niego. Taki zrobił się nerwowy, podejrzliwy i piekielnie zazdrosny. Nie pozwala jej się na krok ruszać z domu, a nawet otwierać komukolwiek drzwi. Pani Aurze uszy płonęły z ciekawości, ale w obawie, że spłoszy dziewczynę, nie ciągnęła jej za język. Potem Janka oświadczyła, że bardzo chciałyby mieć z Robertem dziecko, bo wtedy wszystko by się wyjaśniło i uporządkowało – wierzyłyby, że on jest dla niej wszystkim. Ale jest trudność... Nie, to nic, że nie są małżeństwem. Roberto lubi dzieci, na pewno

coś takiego przyspieszyłoby ślub, ale była u lekarza i... – widzi pani, pani Auro, nie ma pełnego szczęścia. Ten ginekolog powiedział, że bez specjalnej kuracji, a może nawet zabiegu nie znajdę w ciąży. Nie będę miała dziecka. – I tu się rozplakała nad swoją dolą, a pani Aurze zrobiło się prawdziwie żal głupiej, zagubionej i zakochanej Janki. Aby ją nieco rozweselić, zaczęła opowiadać wszystkie najnowsze plotki z teatru, zwłaszcza te o próbach Poraya. Wówczas Janka powiedziała, jeszcze pociągając nosem, że koniecznie chciałaby być na takiej próbie, bo nigdy czegoś podobnego nie widziała, a w ogóle to słyszała o tym Porayu... Pani Aura próbowała jej wytłumaczyć, że to niemożliwe, że Poray nikogo, nawet dyrektora Marczewskiego, na próby nie wpuszcza, a więc tym bardziej Jance nie pozwoli tam wejść. I tu Janka wystrzeliła ostatnim, najmocniejszym w jej mniemaniu, argumentem:

– Nawet Roberto powiedział mi, że powinnam koniecznie zobaczyć tę próbę...

Wtedy pani Aura zrozumiała, że to nie Janka, lecz ona sama musi cichaczem dostać się na widownię i podejrzeć tajemnice inscenizacji Poraya w stadium narodzin. Roberto na horyzoncie oznaczał zawsze niebezpieczeństwo.

ZA KOTARĄ

Legalne dostanie się osoby postronnej na widownię podczas prób Poraya nie wchodziło w rachubę. Nielegalne było niemożliwością. Wejścia prowadzące na zaplecze sceny zamknięto, a tam, gdzie nie można było tego zrobić, stali na straży maszyniści. Góry i kabiny elektryków broniono w podobny sposób. Jak widać, teren pracy Poraya miał obstawę

nie gorszą niż sztab frontu podczas wojny lub konferencja na najwyższym szczeblu w dniach pokoju. A przecież pani Aura nie zrezygnowała. Oczekwała pół godziny od początku próby i kiedy już Poray rozszalał się na dobre, przez nikogo nie zauważona, spróbowała otworzyć po kolei drzwi, prowadzące na widownię. Były zamknięte, a w jednych tkwił nawet od wewnątrz klucz. Szczęściem pozostałe kluczy w zamkach nie miały. Pani Aura szybko zbiegła do portierni. Tu wdała się w dłuższy dialog z pełniącym dyżur seniorem maszynistów, emerytem przeniesionym na pół etatu do tej spokojnej pracy, panem Tytusem Kowalikiem.

Pan Kowalik i pani Aura znali się od lat, wiele więc mieli sobie do powiedzenia, zwłaszcza jeżeli w teatrze działo się tyle co teraz. Po wstępnych, normalnych narzekaniach, po oplotkowaniu nieboszczyka dyrektora Wiśniewskiego, pani Aura zrećcznie skierowała rozmowę na próby Poraya...

– O, widzi pani – wskazał na wiszące w szklanej szafce klucze pan Kowalik – te są od widowni. Mam zapowiedziane, że w czasie próby nie wolno mi ich wydać nawet panu dyrektorowi, nawet gdyby minister przyjechał...

– No, a mnie? – pół żartem zapytała pani Aura.

– Eee, a na cóż by pani były potrzebne? Ja sobie myślałem, co by to było, gdyby tak przyszła milicja i zażądała? Tylu ich się tu kręciło... Szczęściem widownia ich nie interesowała, tylko gabinet dyrektora Wiśniewskiego, świeć Panie nad jego duszą, i stolarnia. Oj, po stolarni to myszkowali godzinami...

Pan Kowalik rozgadał się na dobre i pewnie nie przestałby nigdy, gdyby pani Aura nie przerwała:

– My tak gadu-gadu, panie Tytusie, a ja muszę iść kupić sobie coś na śniadanie. Zapomniałam wziąć z domu...

– Ale gdzie tam, proszę pani – pan Kowalik był

dżentelmenem starej daty – ja też miałem skoczyć po papiery, to kupię pani co potrzeba. Bułeczkę, masło, serek?

Chwilę trwały certowania, wreszcie pani Aura zrobiła jakieś skromne zamówienie, przyrzekając, że w zamian będzie spoglądać z kasy na portiernię,

Kiedy pan Tytus ubrawszy się ciepło pomaszerował po zakupy, pani Aura natychmiast opuściła kasę. W portierni było pusto, a w zamku do oszklonej szafki tkwił klucz. Przekręciła go i otworzyła upragniony sezam. Teraz tylko zdjąć klucz od drzwi na widownię, powiesić na jego miejscu jakiegokolwiek inny, zamknąć szafkę i po wszystkim.

Z bijącym sercem i zdobyczą w drżącej dłoni wracała po chwili do kasy.

Po śniadaniu i południowej przerwie w próbie poprosiła Jankę, aby ją zastąpiła za okienkiem, bo ma bardzo ważną sprawę do załatwienia. Dziewczyna zgodziła się chętnie, licząc na możliwość kolejnej manipulacji z biletami...

Na widownię wchodziło się z szerokiego korytarza, wyłożonego puszystym chodnikiem, który miał tłumić kroki zapóźnionych widzów. Teraz panowała tu idealna cisza. Żaden odgłos nie dochodził ze sceny. Drzwi – teatralnym zwyczajem – były od wewnętrznej strony zasłonięte grubymi kotarami. Rozglądając się niepewnie, podeszła pani Aura do tych, które nie, były zablokowane kluczem od wewnątrz...

Najpierw opanować łomot serca i drżenie ręki! Za duża emocja. Nie da rady. Jeżeli będzie manipulowała w zamku trzęsącymi się palcami – wszyscy usłyszą szcęk metalu. Co robić? Przypomniała sobie, że ma w kieszeni pudełeczko kremu przeciwko odmrożeniom. Wyciągnęła je i grubo wysmarowała skrzydełka klucza. Pomogło – wszedł w zamek i obrócił się bezszelestnie. Teraz tylko nacisnąć klamkę i wolno otwierać. Skoro powstała szpara, poczuła gwałtowny

przeciąg. Wsunęła się więc szybko i przymknęła za sobą drzwi. Potem leciutko nacisnęła klamkę – i nie było śladu, że ktoś wtargnął na widownię. Dopiero wtedy spostrzegła, że w ferworze podchodów zostawiła klucz po zewnętrznej stronie. Ale było za późno. Przywarła do rozcięcia w kotarze, by rzucić przez nie okiem na widownię.

W skąpym roboczym oświetleniu sceny i zapalanej widowni szalał cały zespół. Pod wodzą Poraya zbiegali z proscenium, rzucali się na pierwszy rząd i wyciągali pojedyncze fotele. Potem zabierali się do drugiego, trzeciego, czwartego... jakby wyrąbując między krzesłami przesiekę.

– Krzeselka lorda Blotton! Krzeselka lorda Blotton... – darli się jak opętani.

Robiło to wrażenie domu wariatów. I pewnie pani Aura nie pozostałaby na swoim punkcie obserwacyjnym zbyt długo, gdyby nagle nie poczuła lekkiego chłodu na karku. Ktoś ostrożnie otwierał za nią drzwi. Fatalny klucz – pomyślała. Błyskawicznie kucnęła, po czym na czworakach poczołgała się na widownię. Panujący tam tumult i ogólny rozgardiasz pozwoliły jej wśliznąć się między ostatnie rzędy krzesel. Nie podnosząc głowy, na czworakach szybko wędrowała przejściem wśród foteli, byle dalej od fatalnych drzwi. Nic teraz nie widziała, niczego – prócz hałasu i refrenu o lordzie Blotton – nie słyszała. Z duszą na ramieniu, obolałymi kolanami, zgiętym karkiem i potwornym lękiem, że albo ją tu odkryją, albo zdiełają jakimś fruującym krzeselkiem, położyła się wreszcie na ziemi.

Orgia destrukcji trwała jeszcze z kwadrans, może dwadzieścia minut, po czym wrócono do akcji na scenie. Ale pani Aura nadal bała się poruszyć lub głośniej odetchnąć, bała się w ogóle. Wreszcie ze strachu i nadmiaru wrażeń, wyciągnięta na ziemi, ukołysana dobiegającym ze sceny monotonię

powtarzanym tekstem – zasnęła.

Obudził ją dopiero hałas przestawianych mebli i gromkie przekleństwa. Początkowo nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest i co robi. Potem stwierdziła, że chyba nigdy nie wstanie, tak ją bolały kości, wreszcie usłyszała dobiegające gdzieś ze środka sali:

– Stawiaj, jak leci. Jutro znów zrobią ten burdel. Co się łamiesz, przecież wszystko pasuje do siebie, a jak ci numerki nie klapują, to wymień. Zawsze wieczorem kierownik widowni przychodzi i sprawdza.

– Ten cały reżyser to chyba głupi, co? – powiedział drugi głos – żeby tak rozpieprzyć teatr...

– Zamknij się – zmitygował go pierwszy – na Poraya nie pyszcz, bo robotę stracisz, tak jak ten Rysiek, aktor, co go ze sztuki wylali, bo o krzeselkach gadał. Nowy jesteś, to się musisz dowiedzieć. Tu jak w woju, morda w kubeł i git!

Pani Aura myślała, że to się nigdy nie skończy. Wreszcie maszyniści wyszli. Oczekwała chwilę i zaczęła się gramolić. Nogi ścierpły, raz po raz łapały ją kurcze. Chwytając się foteli już, już się podnosiła, kiedy nagle spod ręki ściskającej siedzenie fotela coś się omsknęło i jakiś przedmiot pacnął o ziemię. Spojrzała przestraszona i zobaczyła leżący pod fotelem plastikowy klocek z dwiema ciemnymi obręczkami. Siadła na krześle i podniosła dziwny przedmiot. Był ciężki, tak szczelny, jakby z jednego kawałka, opasywały go dwie ruchome obręczki gumowe, każda z rodzajem metalowego guzika. Co to takiego? – zastanawiała się. Na wszelki wypadek zabrała dziwne znalezisko.

Po skończonej próbie wydostanie się z widowni nie było specjalnie trudne. Przez puste kulisy i korytarze garderób powlokła się zboląta pani Aura ku kasie. Ale kasa była już zamknięta. W portierni siedział jeszcze pan Tytus.

– Proszę pani – zawołał – pani Janeczka zostawiła klucz, bo jej się bardzo spieszyło!

– Dziękuję panu, nie mogłam wcześniej...

– Szukali pani po całym teatrze – dodał portier.

– Tak, tak, wiem o tym – na wszelki wypadek powiedziała pani Aura – ale niech mi pan da mój kluczyczek, bo ja jeszcze muszę zająć do siebie.

– Proszę bardzo – szarmancko odpowiedział pan Tytus i otworzył oszkloną szafkę.

Na miejscu, z którego pani Aura zabrała klucz od drzwi na widownię, wieszając inny, zobaczyła dwa klucze. Jeden z nich, ten na wierzchu, był obsmarowany tłustą mazią koloru wazeliny. Jej kremem na odmrożenia.

A więc ten, kto wszedł za nią – wyszedł i zatarł ślad. Kto i dlaczego to zrobił?

POPROSZĘ JANKE

Gdy pani Aura cierpła ze strachu i niewygody między krzesłami na widowni Teatru Otwartego, a Janka-Gina zastępując ją w kasie wrywała na gwałt potrzebne jej bilety, u pani Krysi w organizacji widowni zadzwonił telefon.

– Czy mogę prosić Jankę? – zapytał żeński głos.

– Janki nie ma – odpowiedziała pani Krystyna – a kto mówi?

– Koleżanka – padło lakoniczne. – Kiedy wróci?

– Niech pani zadzwoni do kasy – poradziła pani Krysia – powinna tam być.

Trzasnęła odkładana słuchawka. Telefon w kasie zadzwonił w chwilę później. Tym razem odezwał się mężczyzna.

– Pani Gina? – zapytał.

- Tak!
- Czy pani mnie poznaje?
- Przepraszam, ale nie bardzo...
- Inżynier...
- Ach, tak, pan inżynier, strasznie przepraszam... Co słychać u... – chciała powiedzieć u ojca, ale Pakuła przerwał jej gwałtownie:
- Musimy się zaraz zobaczyć! To pilne, ogromnie pilne!
- Kiedy ja mam do drugiej dyżur w kasie i nie mogę się ruszyć.

W słuchawce zapanowała cisza. Po chwili Pakuła odezwał się:

– Proszę pani, niech pani uważa co powiem: proszę zaraz o drugiej wyjść z kasy, ubrać się i prosto na przystanek. Tam się spotkamy. Sprawa jest bardzo ważna i pilna.

– Co się stało?

– Niech pani nie pyta, proszę nie dzwonić do domu... O drugiej na przystanku. – I odłożył słuchawkę.

Ginę opanowały najstraszniejsze obawy. Zrazu pomyślała, że coś się stało ojcu, bo Pakuła nie chciał o nim mówić, potem dopiero zrozumiała, że tu idzie o Roberta. Tak, to Roberto jest w niebezpieczeństwie, na pewno ściga go milicja, a może już złapała i teraz Pakuła chce ją ostrzec. Dlatego nie może, dzwonić do domu. Co robić?... Co robić? Żeby choć wróciła pani Aura, miało jej nie być pół godziny, a tu minęło półtorej. Przepadła jak kamień w wodę. Obdzwoiła cały teatr – Aury nigdzie nie widzieli. Siedziała więc Janka jak na szpilkach, roztrzęsiona, przeskakując od rozpaczony do nadziei – z obrazem Roberta uwieszonego u kraty więziennej, przejechanego samochodem, postrzelonego i wyłowionego z zimnych fal Wiśły, wprost spod lodu...

Za pięć drugą zamknęła kasę. Wpadła do organizacji widowni po futro, ubrała się w pośpiechu i pędem wybiegła na ulicę. Dwieście metrów przed przystankiem zobaczyła jadący z naprzeciwka volkswagen inżyniera Pakuły. Zaczęła machać ręką. Zatrzymał się, otworzył drzwiczki.

– Niech pani szybko wsiada!

Wskoczyła do wozu.

– Co się stało?

– Roberto... Roberto musiał wiać – powiedział Pakuła. – Milicja – dodał złowieszczco.

– Gdzie? Gdzie jest teraz?

– Spokój, pani Gino, tylko spokój – starał się opanować jej histeryczne podniecenie. – Wszystko będzie w porządku. Niech się pani opanuje. Wiem, gdzie jest i zawiozę panią do niego, ale nie teraz. Wieczorem, tak, żeby nikt nie widział.

Teraz muszą poczekać, żeby się bardziej ściemniło. Zaproponował kino. Wybrał „Bajkę”, ponieważ na jej tyłach można było wygodnie zaparkować samochód. Gina zgodziła się bez oporu.

Nie wiedziała jaki to był film, o czym ani z kim. Coś się na ekranie ruszało, ktoś krzyczał czy śpiewał, była miłość, strzelanina i wyścigi samochodowe, ale obrazy jakby ześlizgiwały się z powierzchni jej świadomości. Nie kojarzyła niczego. Wreszcie upierne dwie godziny minęły i mogli wyjść. Na ulicach było już całkiem ciemno.

Wsiadli do auta i jechali przed siebie. Gina nie zwracała początkowo uwagi, dokąd, dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że to Jelonki.

– Gdzie pan jedzie, inżynierze? – zapytała zdziwiona.

– Jak to, pani się jeszcze nie domyśla? – odpowiedział Pakuła. – Do warsztatu pani ojca, tam jest Roberto.

- Tam? Przecież tam go zaraz nakryją! Co pan zrobił?
- Spokój, moje dziecko, tylko spokój. Roberto jest w moim laboratorium. Dobrze schowany. Niech mi pani wierzy. Dziś wieczorem wywożę was oboje do Szczecina, a stamtąd... – nie dokończył.
- Nikt nie jedzie za nami? – obejrzała się trwożnie.
- Niech się pani nie boi. Moja w tym głowa, by nas nie widzieli.

Było zupełnie ciemno, gdy dojechali do warsztatu pana Dolińskiego. Pakuła nie gasząc silnika wysiadł z wozu i otworzył bramę. Wrócił i postawił auto pod wiatą. Wysiadając Gina zauważyła, że niedaleko stoi lancia. To uspokoiło ją do reszty.

– Idziemy – powiedział ostro Pakuła i wziął ją pod rękę. Szła posłusznie. Doszli do drzwi jego laboratorium, w które zapukał trzy razy w nierównych odstępach czasu. Serce Giny biło niecierpliwie. Drzwi otworzyły się, ale wewnątrz panowały ciemności. Wtedy Pakuła pchnął ją lekko, lecz zdecydowanie. Kiedy znalazła się w środku, a drzwi trzasnęły za plecami, ktoś zapalił światło. Naprzeciwko niej stał mężczyzna – ale nie był to Roberto, lecz dziwny, pozbawiony wyrazu człowiek o twarzy pospolitej i nijakiej. Spojrzał na nią przenikliwie i powiedział do Pakuły:

- Das ist diese kleine Hure?
- Ja – potwierdził tamten.
- No, gut! Also, Sie müssen jetzt ihre Arbeit beginnen! – dodał i wyszedł na dwór.
- Gdzie Roberto? – krzyknęła Gina, która nie zrozumiała ani słowa z tego dialogu.

Inżynier Pakuła podszedł spokojnie do drzwi, przekręcił klucz, schował go do kieszeni, po czym twardo i dobitnie powiedział:

- Teraz bądź rozsądna i mów wszystko!

WŁAMANIE

Na popołudniowy dyżur pani Aura dowlokła się resztką sił. Otworzyła swoje królestwo i teraz dopiero spostrzegła, że Gina zostawiła wszystko w okropnym nieładzie. Nie wypełniła raportu, nie poskładała książek. Nawet nie zgadzał się utarg. Było za dużo pieniędzy w stosunku do sprzedanych biletów.

Pani Aura była tak rozbita porannymi wyczynami, że nie miała ani sił, ani ochoty, by zbadać swoje znalezisko z widowni. Tajemniczy plastikowy klocek został tam, gdzie go schowała, czyli w rulonie starych plakatów. Zajmę się tym później – myślała rozcierając nieszczęsne nogi i zbolące ramiona. Traktowała te dolegliwości jako słuszną karę niebios za nadmiar ciekawości. Tym słusniejszą, że i tak się niczego nie dowiedziała... Chociaż... I tu pani Aura doznała olśnienia: przecież ten bałagan z krzeselkami i to ich późniejsze byle jakie ustawianie sprawiają, że ludzie, którzy wykupują bilet na miejsce – powiedzmy – trzecie w drugim rzędzie wprawdzie siedzą na tym miejscu, ale być może nie na tym samym krzeselku, które było tam poprzedniego wieczoru. A więc jeżeli krzeselka odgrywają w tych wszystkich tajemniczych zdarzeniach jakąkolwiek rolę, to...

O wpół do ósmej, kiedy już zbierała się do wyjścia, zadzwonił telefon.

– Przepraszam – powiedział męski głos, wydawało się jej, że poznał Roberta – czy zastałem pannę Dolińską?

– Nie – odpowiedziała pani Aura – nie ma jej tu, ale była – dodała, myśląc o przydługim dyżurze dziewczyny w kasowym okienku.

– Dziękuję – odpowiedział mężczyzna. I na tym się skończyło.

Mniej więcej kwadrans po ósmej pani Aura mocowała się

z zamkiem swego mieszkania. Klucz nie chciał się obrócić. W końcu machinalnie nacisnęła klamkę i drzwi ustąpiły. Były otwarte. Czyżby już taka skleroza – pomyślała – że zapominałam zamknąć mieszkanie?

Zapalając światło w przedpokoju zorientowała się jednak od razu, że coś jest nie w porządku. Na podłodze wałały się papiery, części ubrania. Weszła do pokoju i oczom jej przedstawił się widok straszliwy. Mieszkanie było do cna splądrowane. Na środku piętrzyły się wywalone z szafy rzeczy, stół zalegały rozrzucone papiery, z sekretarzyka powyciągano wszystkie szuflady, w jednym miejscu nadłamano nawet blat. Pościel porozrzucona po całym pokoju. Podobnie zdemolowana była kuchnia – rozsypane po podłodze zapasy mąki, cukru, kasz... wylane do zlewu słoje konfitur, dżemów... W łazience wszystko wybebeszone łącznie z koszem brudnej bielizny. Robiło to wrażenie, jakby całe mieszkanie poddano systematycznej dewastacji.

Pani Aura dobrnęła jakoś do telefonu i podniosła słuchawkę. Odpowiedziała jej głucha cisza. Przyjrzała się aparatowi dokładniej, powiodła wzrokiem po sznurze i skonstatowała, że został przecięty przy samej ścianie. A więc trzeba szukać pomocy u sąsiadów.

W ciągu pięciu minut zawiadomiono milicję. Gromadka lamentujących nad losem pani Aury lokatorów kłębiła się u wejścia do jej mieszkania. Ona sama została w przedpokoju i czekała na pojawienie się władzy, karzącego ramienia sprawiedliwości i jakiejś rozsądnej pomocy.

Zjawili się rzeczywiście wyjątkowo szybko i zaproponowali uprzejmie, lecz stanowczo sąsiadom, by wrócili do siebie. Gdy dodali: – Ci z państwa, którzy coś zaobserwowali, zechcą podać nazwiska, zgłosimy się do nich niezwłocznie – tłumek zaczął topnieć gwałtownie. Po czym przystąpili do właściwych swemu zawodowi działań, to znaczy: fotografowania,

zdejmowania odcisków, mierzenia, protokołowania, przesłuchiwanie itd., itd. Pani Aurze wydawało się, że czynności te odbywają się jakby w tempie zwolnionego filmu, a wykonywano je po prostu dokładnie. Na pytanie, kto mógł wiedzieć, że o tej porze nie ma jej w domu, pani Aura odpowiedziała, że każdy, ponieważ godziny urzędowania kasy teatralnej są powszechnie znane, podobnie jak i fakt, że pełni od lat obowiązki kasjerki w Teatrze Otwartym. Następnie milicja chciała wiedzieć, co zginęło. Tego pani Aura w rozgardiaszu, jaki panował teraz w jej domu, nie potrafiła ustalić. Pytali, czy przetrzymuje w domu większą gotówkę, na przykład utargi kasowe (też pomyśl, utarg w mieszkaniu!), a może biżuterię, albo walory, dewizy...? Wreszcie dobrze po północy wyszli zmęczeni, zapowiadając, by zaraz w poniedziałek wymieniła zamki w drzwiach, oczywiście wszystkie, a na noc zasunęła łańcuch. Ostatecznie złodziej ma klucz. Podrobiony, ale ma. Najprawdopodobniej nie wróci, ale różnie to bywa. Niech się zamknie, a gdyby co, to podłączyli prowizorycznie telefon, więc niech dzwoni do dyżurnego. Życzą dobrej nocy i proszą, aby przyszła w poniedziałek między ósmą a piętnastą do Komendy Dzielnicowej, pokój sto dwadzieścia dziewięć. I żeby spisała, co jej skradziono.

Pani Aura bez sił, kompletnie wykończona, obolała na całym ciele, z potworną migreną, rzuciła się na łóżko i zasnęła ciężkim, niespokojnym snem.

Niedziela upłynęła jej na porządkach. Powiadomiła dyrektora Marczewskiego o swym nieszczęściu i zwolniła się z dyżuru w kasie. Z zastępstwem było nawet trochę kłopotu, bo Janki nie udało się znaleźć. U ojca jej nie było, a telefon Roberta nie odpowiadał. W końcu pani Krysia w ostatniej chwili zastąpiła nieszczęsną Aurę.

Nie tylko nieszczęsną, ale przede wszystkim zdziwioną:

w mieszkaniu nic nie zginęło! Nie mogła się jedynie doszukać swych szkiców, które rysowała śledząc biletowe kombinacje Janki. I planu, na którym rotmistrz Doliwa-Płoński odkrył prawidłowość skoku konika szachowego w systemie wykupywania biletów. Ale były to przecież drobiazgi niewarte wspomnienia. Na pewno ktoś spłoszył złodzieja i dlatego wszystko – dzięki Bogu – ocalało.

AMATORSKIE ZDJĘCIA

Inżynier Pakuła był na przemian to uprzejmy i dobrotliwy, niczym ojciec namawiający Jankę do szczerego wyznania przewinień, to znów brutalny i chamski. Używał wtedy najgorszych wyzwisk, groził pejczem, obsypywał ją stekiem przekleństw. Ten kołowrót trwał już kilka godzin (siedzieli teraz w urządzonej pod „laboratorium” piwniczce bez okien: wybitym materacami niewielkim pomieszczeniu, skąd ani uciec, ani dać jakiegokolwiek znaku) i doprowadzał inżyniera do coraz większej pasji. Już myślał, że z tą kretynką pójdzie wszystko jak po maśle, miał ją przecież w rękę, a ta mimo panicznego strachu, jaki czytał w jej oczach, nie chciała się do niczego przyznać. Udawała – i to go złościło najbardziej – że nie wie, o co chodzi.

– Słuchaj – pieniał się w napadzie histerycznej złości – jeśli mi wreszcie nie powiesz, gdzie z tym swoim alfonsiakiem zamelinowaliście towar, to tak cię urządzę, że już żaden chłop na ciebie nie spojrz! Zdechniesz w tej norze, a z niego i tak wydusimy, gdzieście to schowali.

– Kto co schował? Jaki towar? Czego pan chce? – zalewając się łzami jęczała Janka.

No i nie wytrzymał: uderzył raz, drugi, trzeci. Potem zaczął

systematycznie okładać ją pejczem. Dziewczyna padła na kolana, a on bił, bił i bił – gdzie popadnie. Wreszcie zasapał się i przestał.

Janka w poszarpanym ubraniu, ociekając krwią, leżała nieprzytomna na ziemi. Otarł pot z czoła i poszedł na górę. Po chwili wrócił z aparatem fotograficznym. Dziewczyna nadal nie dawała znaków życia. Staął nad nią i zaczął pstrykać zdjęcie po zdjęciu w różnych ujęciach. Wreszcie chlusnął jej w twarz wodą z kubła i z wycelowanym aparatem przyglądał się, jak zaczyna wracać do przytomności. Kiedy otworzyła oczy, strzelił fleszem. To będzie efekt, pomyślał. Po czym zamknął drzwi na głucho i powędrował na górę. Aparat schował do futerału, doprowadził się do porządku, wyłączył światło, starannie zamknął „laboratorium”, wsiadł do lancii i pojechał.

*

Było już dobrze po północy.

Roberto zaczął się niepokoić, kiedy nie zastał Giny w domu. Było wcześniej, ale powinna już być. Dochodziła czwarta. Zaraz też zadzwonił do teatru, gdzie się dowiedział, że owszem, była, ale o drugiej wyszła. Zatelefonował do jej ojca. Nie zastał go w warsztacie, podobno pojechał do klienta. Powiedział więc tylko Maćkowi, że gdyby siostra się zjawiła, to niech zaraz dzwoni do niego w pilnej sprawie. I czekał. Wreszcie wieczorem połączył się z panią Aurą, która go uspokoiła. Powiedziała, że wprawdzie Janki nie ma, ale była. Zatem powinna zaraz przyjść. Gdzie się włóczy? Zakazywał jej tyle razy... Co jej strzeliło do głowy? Wściekał się coraz bardziej i o dziewiątej zaczął już podejrzewać wszystko i wszystkich.

Możliwe, że Ginę zdjęła milicja. Na szczęście nic nie wiedziała. Ale mogło być i gorzej, że dostała się w łapy jego szefów. Boss robił paskudne aluzje i można się było spodziewać

najgorszego. W tym wypadku najgorsze było właśnie to, że Gina nic nie wiedziała, że nie orientowała się w całym procederze. Oni jej nie uwierzą i puszczą w ruch „magiel”. Wtedy mogą ją zakatować. Albo... była to jedyna szansa dla Giny, choć nie dla niego – wzięli ją na wabia. Jeżeli tak, odezwą się sami. Jeżeli nie...

Wolał nie myśleć, co będzie, jeżeli się nie odezwą.

Palił papierosa za papierosem i próbował dzwonić na punkt alarmowy, ale nikt nie odpowiadał. To też coś znaczyło. Zaczął raz jeszcze analizować sytuację. Po pierwsze: Gina zagięła między siódmą a – spojrzał na zegarek – dziewiątą; po drugie: gdyby nastąpiła generalna wyspa, miałby milicję na karku, czyli tutaj, w mieszkaniu. Skoro ich nie ma – to albo sprawa w ogóle nie ma związku z milicją, albo Ginę złapano na wabia. Muszą zdawać sobie sprawę, że jest plotką i przymknięcie jej wywoła tylko alarm w interesie, a więc nie kalkuluje się. Kalkulowałoby się, gdyby ktoś, powiedzmy on, zgłosił gotowość udzielenia naprawdę ważnych informacji w zamian za zwolnienie dziewczyny. Nie byłaby to zresztą dla Giny okoliczność najgorsza. Po trzecie: Ginę ma w rękę boss. Uczepił się tezy o szturze, poszedł na całego, załatwił Wiśniewskiego, co dało pewne rezultaty i teraz chce sprawę doprowadzić do końca. Jest to najgorsza ze wszystkich możliwości, ponieważ nikt z tamtych nie uwierzy w jej głupotę i naiwność. Pomyślał, że gra, że kogoś, zapewne jego, osłania i... znowu pomyślał o metodach bossa i jego kulawego pomagiera.

Oczywiście jeśli tak jest – musi podjąć grę. Wielkie ryzyko o wielką stawkę.

I w tej najtrudniejszej chwili swego burzliwego życia uświadomił sobie po raz pierwszy, że jest ktoś, kto ma dla niego wartość większą niż on sam. Właśnie ta głupia Gina.

W każdym wypadku pozostawało mu tylko cierpliwie czekać. Z opanowanymi nerwami i chłodną głową. Poszedł do łazienki, wziął prysznic i położył się. Zasnąć nie mógł, a nie chciał brać żadnych środków uspokajających. Palił bez przerwy. Kiedy pokój był siny od dymu, zamierzał wstać, by go trochę przewietrzyć; wtedy zadzwonił telefon. Odczekał chwilę i podniósł słuchawkę:

– Roberto? – zapytano z tamtej strony.

– Tak!

– Wóz może pan odebrać tam, gdzie go pan zostawił. Jutro rano... – i rozmówca rozłączył się.

A więc to chyba nie oni mają dziewczynę? Jeżeli zwracają mu wóz, a nie informują o Ginie, znaczy to tylko jedno: milicja. Złapali ją i trzymają na wabia. W porządku, tak też pogamy – mruknął i z tą ostatnią świadomą myślą zasnął.

Obudził się, gdy było ciemno. Zegarek wskazywał siódmą. Wstał, zrobił sobie kawę. Wypił gorącą i mocną, aby przyjąć do siebie, a gdy tylko się rozwidniło, powędrował na plac Teatralny. Parking przed Operą i Narodowym był pusty poza jednym miejscem, na którym stała jego lancia. Obejrzał się – nikogo. Obszedł wóz z daleka, chcąc mieć go na wprost, by łatwiej zobaczyć przez przednią szybę jakikolwiek ruch wewnątrz. Ale nic – wóz był pusty. Podeszedł i dotknął klamki. Zamknięte. Wyjął kluczyki i otworzył. W aucie na przednim siedzeniu leżała biała koperta... Wsiadł, zatrzasnął drzwiczki i otworzył kopertę. Wysypały się z niej kolorowe zdjęcia. Wszystkie przedstawiały jeden temat: stortuowaną, nieprzytomną kobietę w strzępach odzieży poplamionej świeżą krwią. Początkowo nie poznał jej, ale ostatnie kilka zdjęć makabrycznej serii przedstawiało tylko twarz. W dużym zbliżeniu, chyba nieprzytomną, choć oczy były półotwarte, zamglone strachem i bólem. Była to Gina. Nie mógł mieć wątpliwości. Na odwrocie fotografii przeczytał:

„Zapraszam na śniadanie do Grandu”.
Stało się więc najgorsze – była w ich rękach.
Przekręcił kluczyk od stacyjki i ostro ruszył z miejsca.

DZIEWCZYNA Z BLIZNĄ

Ginę z półsnu, półomdlenia obudziło jaskrawe światło i szczepek otwieranych drzwi. Skuliła się w zwierzęcym strachu, oczekując kolejnych odwiedzin uzbrojonego w pejcz Pakuły. Tymczasem weszła młoda, ładna dziewczyna w sportowej sukience, z dzbankiem wody, ręcznikiem i miednicą. Drzwi zamknęły się za nią natychmiast, ona zaś podeszła do Giny, przykucnęła, przyjrzała się jej uważnie i powiedziała z nutką współczucia i podziwu zarazem:

– Ale cię urządzili...

Gina bez słowa wpatrywała się w tamtą przestraszonym wzrokiem złapanego w potrzask dzikiego zwierzątka. Dziewczyna naląła ciepłej wody na miskę. Zmoczyła ręcznik i zaczęła obmywać Ginie twarz. Nie przestawała przy tym przemawiać przyjacielskim i plotkarskim tonem:

– No... no, masz pecha. Zrobili cię, dziewczyno, na perłowo. Jak się za ciebie wziął ten inżynier, to i tak być musiało... Życie, mała, życie zapaprane. Na cholerę w to wdepnęliśmy, prawda?

Gina syknęła z bólu, gdy tamta dotknęła bardziej okaleczonego miejsca.

– Ty – strofowała ją przybyła – nie mazgaj się. Poboli, poboli i przestanie. Muszę cię doprowadzić do porządku, przecież tak nie możesz wyglądać. Zrzucaj łachy! Obmyję cię przynajmniej, bo te skurwysyny jeszcze w ichnim hotelu nie założyły łazienek.

Gina posłusznie próbowała się przebrać, ale była tak obolała, że nie mogła zrobić tego bez pomocy. Strzępy bielizny i ubrania przyschły wraz z krwią do ciała i trzeba było je najpierw zmoczyć ciepłą wodą, która po krótkim czasie zrobiła się zupełnie czerwona. Dziewczyna zapukała do drzwi. Otworzono je natychmiast – wyszła. Po paru minutach wróciła zaopatrzona nie tylko w świeżą wodę, ale i bandaże, jakieś maści i środki dezynfekcyjne oraz sporą paczkę i termos. Po skończonym opatunku, który Gina zniosła tak obojętnie, jakby to nie o nią chodziło, dziewczyna rozkazała: – Bierz się za jedzenie. – I naląła jej kubek gorącej kawy z termosu.

Gina bezmyślnie wykonywała wszystkie polecenia, robiła czego od niej żądano, gryzła, łykała, poddawała się wszelkim zabiegom, a kiedy przyniesiono jej nową, nie bardzo zresztą pasującą odzież – pozwoliła się bez oporu ubrać. Tylko nic nie mówiła. Dziewczynie natomiast usta się nie zamykały. Narzekała na swój i Giny los, na chłopów, na tych drani, co Ginę tak urządzili. Posyłała wiązanki pod adresem Pakuły, a między zwierzeniami i słowami współczucia raz po raz wtrącała, że nie warto z tymi świniami zadzierać, bo i tak wszystko wiedzą, że zgnoją ją tu, jak nie powie, więc niech się nie zapiera, bo wreszcie jak ona nie powie, to złapią tego jej Roberta i...

– ...wiesz – mówiła – z chłopem nie będą się tak cackać jak z tobą. To, co było wczoraj, to pestka. Mają swoje sposoby: prąd, „manicure”, dobre imadła, w których chłopu niejedno można rozduścić, a im ręka nie drgnie. Więc, mała, ratuj tego Roberta i powiedz im, gdzie to jest.

– Ale co? – przemówiła wreszcie Gina – powiedz, na Boga, co? Czego oni chcą ode mnie? Ja im wszystko powiem, tylko nie wiem o co chodzi.

W głosie jej było tyle szczerzej rozpacz, takie okropne

zagubienie było z tych paru zdań, że tamta pomyślała: a może ona rzeczywiście nic nie wie? Może ten Roberto to sprytniejsza sztuką niż myśleli, a mała jest jeszcze głupsza, niż na to wygląda? Pakuła może ją w tym lochu zatłuc, a niczego się nie dowie, bo ona po prostu o niczym nie ma pojęcia.

– Nie rób ze mnie idiotki – ofuknęła ją – przecież musisz wiedzieć, gdzieście chowali przesyłki!

– Jakie przesyłki? – Gina rozplakała się, czując, że powtarza się przesłuchanie.

– No, te z teatru...

– Przesyłki z teatru? – na twarzy Giny odbiło się napięcie i kolosalny wysiłek myślowy, jakby chciała sobie coś przypomnieć. – Przecież wszystkie przesyłki były adresowane na dom, nie na teatr. Jak było coś z zagranicy, jakaś poczta...

– Nie o takie przesyłki chodzi! Gdzie trzymasz pojemniki...? No, te... jak oni mówią, „kontenery”...?

– Co? Kontenery? Co to jest? Maszyny, czy co?

– Słuchaj, Gina – dziewczyna mówiła teraz serio, lecz nadal przyjaźnie – nie kołuj mnie. My tu po babsku zawsze się dogadamy, bo jak ja się z tobą nie dogadam, to przyjdzie Pakuła...

– Nie! nie! – krzyknęła Gina – tylko nie on!

– No widzisz, po co ci to? Ty jeszcze nie wiesz, co oni potrafią. Popatrz – podsunęła jej pod nos serdeczny palec prawej ręki – widzisz tę bliznę? .

Gina kiwnęła głową, po policzkach ciekły jej łzy i chlipała histerycznie, trzęsąc się na całym ciele.

– To mi zrobił jeden facet, bo chciałam go okantować na parę dolców, a tu idzie o miliony... O taką forszę, której sobie nawet wyobrazić nie możesz. Nie upieraj się, mała... wal co wiesz!

Gina oczami błędnymi z przerażenia wpatrywała się w dziewczynę z niewielką blizną na serdecznym palcu. Wreszcie rzuciła się jej na szyję:

– Ratuj mnie, ratuj – wołała – nie znam cię, nie mam pojęcia, za co mnie tu trzymają, co ma do tego Pakuła. Przecież to znajomy Roberta, współnik taty! Co się ze mną dzieje? Czego ode mnie chcą? Nie wiem nawet, o co ty mnie pytasz. Przyznam się do wszystkiego, do każdej zbrodni, tylko muszę wiedzieć, do jakiej!

– Powiedz, gdzieście chowali te skradzione spod foteli pojemniki?

– Jakich foteli? – Gina robiła wrażenie bliskiej obłądu, nie rozumiała nic.

ŚNIADANIE W GRANDZIE

O tej samej mniej więcej porze, w piękny, mroźny poranek niedzielny, w sali śniadaniowej Grand Hotelu przy stoliku obficie zastawionym dzbanuszkami, talerzykami, filiżankami i całą zastawą, niezbędną do odbycia obrzędu śniadania, siedzieli dwaj panowie. Starszy o poważnej, brutalnej twarzy, robiący wrażenie boksera, który już dawno wycofał się ze sportowej kariery, i młody chłopak o ciemnych włosach, lekko oliwkowej cerze i błyszczących oczach. Mówili przyciszonym głosem, lekko nachyleni ku sobie w przyjaznej konfidencji.

– Dziękuję za obrazki – powiedział młodszy – ale niepotrzebnie się męczycie, ona i tak nic nie wie. Czy pan myśli, że jestem aż tak głupi, aby tę idiotkę wtajemniczać w cokolwiek...?

– Każdy zakochany mężczyzna jest głupi – powiedział sentencjonalnie starszy i zabrał się do jajek na szynce.

– Możliwe, ale najpierw trzeba być zakochanym...

– Jesteś, Roberto, jesteś – kiwał głową starszy – i w tym cała rzecz. Nie udawaj, wiem, że ci na niej zależy. Chcesz ją

dostać żywą – zwróć towar...

– Towar...? – Roberto próbował grać na zwłokę.

– Po co to gadanie? – zirytował się jego partner. – Dwa dni pod rząd skosiliście wszystko. U tej starej idiotki w mieszkaniu, wiesz, tej z kasy, znaleźliśmy plany miejsc. Naszych miejsc! Od tygodni, od chwili, gdy zaczął się wielki cyrk, ta szachowa karuzela – wszystko było u niej notowane. No, zdarzały się jej błędy... Skąd to wiedziała? Od ciebie albo od twojej dziewczyny. Ale u starej nie ma towaru. Myślę, a i „on” jest także tego zdania, że towar melinujesz ty. Ile? Na ile nas obrałeś? Pewnie będzie tego ze dwadzieścia kilogramów. Chyba wiesz, jaka to forsa. Nie?

Roberto wreszcie zrozumiał: boss ubrał sobie, że to on, do spółki z panią Aurą, Giną, a pewnie i z Wiśniewskim podbierali przesyłki na styku linii wschodniej i zachodniej. Stąd nagłe zniknięcia towaru. Wiedział, że nie uwierzą w żadne zapewnienia, żadne przysięgi, w nic. Wiedział, że będą gnietli Ginę, a ponieważ nie może niczego wysypać, więc ją zakatują. Jedyne wyjście – rozumował – to przyjąć ich sposób myślenia i podjąć ryzykowną grę. Va banque!

– Myli się pan – odpowiedział. – Ale gdyby tak było, to co?

– Nareszcie – odetchnął boss – pogadajmy jak ludzie...

– Pogadajmy, czemu nie?

– Sprawa jest prosta: zwracasz towar – dostajesz dziewczynę. Kropka, cześć – arrivederci!

– To nie jest takie proste, jak pan myśli – Roberto próbował na gwałt znaleźć jakieś wyjście z sytuacji – zaufanie zostało lekko zachwiane...

– Ale z czyjej strony?

– Szefie, plujmy na detale, mówmy o interesie.

– Niech ci będzie – starszy jegomość uspokoił się błyskawicznie. – Co proponujesz?

– Zmianę kolejności: zwracacie dziewczynę – zwracam towar!

– Masz nas za frajerów? Roberto, szkoda czasu na żarty.

– Nie, to pan ma mnie za durnia. Zdmuchnęliście mi niepotrzebnie małą i teraz chcecie, abym wam wierzył.

– Musisz, Roberto, nie masz innego wyjścia.

– Mam. Zostawić wam małą i róbcie sobie z nią, co się wam podoba. Nic nie wie, więc niczego nie sypnie.

– To byłoby nie fair wobec kobiety...

– Szefie, niech mnie pan nie rozśmiesza!

– Dość – zirytował się starszy – blefuj sobie ze swoimi kasjerkami i kurewkami, ale nie ze mną! Wszystko, na co mogę pójść, to wymiana z rączki do rączki. Całość za całość.

– Pan chyba nie przypuszcza, że mam to wszystko w walizce pod łóżkiem.

– Nie, ale to mnie już nie obchodzi. Spiesz się! Spiesz, jeżeli chcesz, żeby ta mała dożyła.

– Nie dożyje ona, nie dożyje i pan – twardo powiedział Roberto. – Teraz konkretnie: muszę mieć dwa dni na zdjęcie towaru z melin, przez te dwa dni dziewczyny nie tkniecie. Potem dokonamy zamiany, w miejscu publicznym... powiedzmy na którymś z dworców. Wy przyprowadzicie Ginę, ja przyniosę walizkę z towarem.

– Jak sprawdzimy, czy nas nie kantujesz?

– Zajrządzić do walizki.

– Aha... a jak tam będą gazety, to powiemy na tym twoim dworcu: przepraszam, zabieramy panienkę do siebie. Czy ty masz dobrze w głowie? Nie, chłopie, wymyśl coś lepszego.

Mózg Roberta pracował gorączkowo. Wiedział, że musi iść na jakieś ustępstwo, że mu nie ufają, wiedział, że trzeba wymyślić takie warunki wymiany, aby była szansa ucieczki.

Nie miał przecież towaru, a nie wątpił, że po odzyskaniu tego, czego oczekiwali, postarają się natychmiast sprzątnąć i jego, i Ginę jako niewygodnych świadków, a co gorsza, zdrajców. Takie były żelazne prawa tego towarzystwa i nie wolno było o tym zapominać.

Milczenie przeciągało się ponad miarę. Wreszcie boss mruknął:

– Nie masz konceptu, to ci podsunę: dokonamy wymiany u Pakuły.

– W tym warsztacie samochodowym na Jelonkach? – zapytał Roberto i nagle doznał olśnienia: tak, Pakuła! Oczywiście, Pakuła może być ratunkiem.

– A widzisz – boss był wyraźnie zadowolony, że jego propozycja chwytła.

– No, tam to nie, ale – powiedzmy – na szosie do Sochaczewa. E-8, dwa kilometry za Błoniem. Pan przyjedzie od Sochaczewa, ja od Warszawy...

Emerytowany bokser podumał chwilę, wreszcie powiedział:

– Może być. O której i kiedy?

– O dziesiątej wieczorem, w środę.

– Za późno.

– Nie ściągnę towaru. A pan ma dziewczynę i tak w rękę.

– Ale będziesz sam?

– Pan także!

– Więc ja od Sochaczewa na dwa kilometry przed Błoniem czekam o dziesiątej na prawym pasie. Ty przyjeżdżasz od Błonia i zatrzymujesz się po mojej lewej. Tak?

– Pan bardziej w stronę Błonia, ja bardziej w kierunku Sochaczewa – wychodzimy i na środku szosy dokonujemy wymiany: pan bierze walizkę, ja dziewczynę. Żywą i zdrową.

– A sprawdzanie?

– Podam panu otwartą. Będzie widać, co jest w środku, przecież tu nie podrobię pojemników. Pozna pan. Będą leżały płasko...

– Ryzyko...

– Moje większe.

– A jak nam przeszkodzą?

– Kto?

– No, ruch na szosie...

– Trudno, przeczekamy. Natomiast nie radziłbym, żeby mi ktoś przeszkadzał w odjeździe. – Roberto szedł na całego. – Jeżeli w czwartek o szóstej rano nie stawię się w Poznaniu – o ósmej na biurku komendanta milicji w Pałacu Mostowskich będzie leżała zalakowana koperta. Z dokładnym opisem całej afery. Od początku. Nie zdąży pan zwać, szefie. A mnie... sam pan rozumie, mnie wtedy już i tak nic nie zaszkodzi.

– Jeśli nabierzesz mnie z towarem – to módl się o każdą inną śmierć, byle nie z mojej ręki. Pamiętaj, ty... szcurze!

POLOWANIE Z NAGONKĄ

Okolo południa dziewczyna z blizną na serdecznym palcu zjawiła się znowu u Giny. Przyniosła jej obiad i kazała napisać list. Do teatru. Najlepiej do tej pani Aury, czy jak jej tam – że nagle wyjechała, żeby się nie gniewali, że prosi o parę dni urlopu...

Gina z początku się zacięła i powiedziała, że nic z tego. Nie napisze. Przecież jedyny dla niej ratunek, to że wreszcie ktoś jej zacznie szukać.

– Głupia jesteś – powiedziała dziewczyna i ściszyła głos – nie wolno mi tego mówić, ale oni już pertraktują z Robertem i za parę dni cię puszczą. Trzymaj się i pisz, idiotko, bo znów wpadnie tu ten wariat Pakuła i zrobi bal...

- Co mam pisać?
- Z sensem, żeby twój wyjazd wyglądał prawdopodobnie... Może jakaś ciotka, pogrzeb...?

Gina instynktownie wyczuła, że teraz otwiera się przed nią szansa: w liście do pani Aury może dać znak. Ale w jaki sposób?

- To napiszę że jestem chora...
- Akurat – zadzwonią do domu i klops. Nie, musi być wyjazd. Może być zresztą i choroba, i wyjazd, jak chcesz – dziewczyna była przyjacielska i opiekuńcza.
- Wiesz co, napiszę jej, że jadę zrobić skrobankę – nagle wypaliła Gina, przypominając sobie ostatnią rozmowę z panią Aurą.

- Dlaczego skrobankę?
- Bo kilka dni temu mówiłam starej, że się boję... że chyba jestem w ciąży.

- Dobra. Chcesz – pisz o tej skrobance. Tylko z wycuciem... – Podała jej papier, długopis, kopertę.

Kiedy potem na górze Pakuła kontrolował list przed zaklejeniem, aż pokręcił z uznaniem głową:

- Masz zagrania... Ja męczyłem się cały wieczór i nic, a ty już odwaliłaś połowę roboty. Zdolna jesteś – dodał – nie uchowasz się.

- Martw się pan o siebie – powiedziała dziewczyna. – Bob przyjedzie?

- Nie dał znać.

- No to ładuj się pan do tego grata i jazda! Muszę ten list nadać z Główniej. Ekspresem, żeby do wtorku doszedł.

*

Tymczasem pani Aura wśród rozgardiaszu po włamywaczach dokonywała podsumowania ostatnich wydarzeń. Od kilku miesięcy coś się wokół niej działo niedobrego. Wypadki osaczały ją na równi z tajemnicami. Najpierw – jeszcze wiosną –

te dziwne historie biletowe. Myślała początkowo, że to zwykłe przypadki, ale gdy powtórzyło się raz... drugi... trzeci... Potem na horyzoncie najzupełniej nieoczekiwanie pojawiła się Janka. Ledwo zaczęła pracować w teatrze, przyplątał się do niej ten podejrzany Amerykanin – pół Polak, pół Włoch i dziewczyna wdała się w aferę z wykupywaniem biletów. Gdyby to na sztuki specjalnie chodliwe – wszystko byłoby dla pani Aury jasne: „koniki”. Ale nie. Bilety wykupywano, po czym na widowni pojawiało się jakieś podejrzane towarzystwo. Ostatecznie wszyscy mogą chodzić do teatru, ale dlaczego te same twarze raz po raz spostrzegała na kolejnych przedstawieniach jednej i tej samej sztuki? Dlaczego niektóre z „trefnych” miejsc pustoszały po przerwie, a inne dopiero po przerwie zajmowano? Wreszcie, dzięki nieuwadze Janki i pomocy rotmistrza, odkryła mechanikę systemu, według którego wykupywano bilety. Wyglądało na to, że zawsze ważne jest tylko jedno miejsce, a drugie stanowi jakby dodatek, osłonę, alibi.

No i masz! Zaczęły się próby z „Operetką”, Poray miesza krzeselka – na dzień przed przesłuchaniem u prokuratora ginie w tajemniczym wypadku samochodowym Wiśniewski. Janka chce się dostać na próbę u Poraya, Aura uprzedza ją i o mały włos nie zostaje wykryta. Ale przez kogo? Kto wszedł za kotarę jej śladem? Tego samego dnia włamują się do jej mieszkania i co? Giną plany widowni z wykreślonymi skokami konika szachowego. Jak to wszystko powiązać, jak zrozumieć? Aby tajemnic było więcej, znajduje pod jednym z foteli ów dziwny, plastikowy przedmiot. Czyżby on też miał coś wspólnego z aferą biletową?

Co robić?

Oczywiście powinna zasięgnąć fachowej porady, tylko czyjej? Przebiegła w myślach listę znajomych i przyjaciół. Prawnicy: adwokaci, sędziowie, prokuratorzy z rocznika jej

ś.p. męża – mecenasa dawno odeszli na emeryturę lub w ogóle pożegnali się z tym padołem łez. Traciła zresztą powoli kontakt ze środowiskiem. A przecież tam trzeba było szukać pomocy. Nie mogła pójść ot tak i zameldować milicji, że dzieje się coś niedobrego, bo wykupują bilety i Poray rzuca krzeselkami po widowni. Zresztą zdawała sobie sprawę, że w to wszystko jest jakoś zamieszana Janka. Nie chciała zaś tej porządnej, choć głupiej i naiwnej dziewczynie szkodzić.

Co robić?... Co robić? – kołatało w zmęczonej głowie pani Aury.

I wtedy nagle przypomniała sobie Krzysia Zborowskiego, syna nieżyjącego już przyjaciela jej męża. Podobno jest jakąś strasznie ważną figurą w Generalnej Prokuraturze. Tak, musi do niego zadzwonić w poniedziałek, albo lepiej we wtorek (nie lubiła poniedziałków), umówić się na kawę i zasięgnąć rady. Krzyś jej nie wykpi, wysłucha i pomoże. To był bardzo dobrze ułożony chłopiec. Zawsze całował panie w rękę i nie chodził na wagary. Pamiętała jeszcze sprzed wojny.

*

Roberto wiedział, że na szosie E-8 w środę wieczorem nastąpi ostateczna rozgrywka. Ale żeby mieć przynajmniej jedną szansę na sto – musi zdobyć towar. Towar, którego nie ma, a który, zdaniem bossa i tego drania kuternogi, on i Gina zerwali. Skąd zdobyć towar, tyle towaru – nie miał pojęcia, dopóki boss go nie naprowadził. Towar jest na pewno u Pakuły. Te ich kombinacje z akumulatorami do wózków elektrycznych, ta lipa z kontrolą w cud-maszynie Galvani, to wszystko nasuwa podejrzenie, że na Jelonkach melinują towar. Trzeba go stamtąd zdmuchnąć i zawieźć bossowi. Potem wziąć Ginę i wiać, gdzie pieprz rośnie, bo mu tego nie darują, a milicja i tak zaraz wpadnie na trop.

Ale jak załatwić Jelonki? U Pakuły mogła być obstawa.

Zwłaszcza teraz, w sytuacji alarmowej. Boss do spotkania na szosie nie może wiedzieć, że ktoś obrobił ten składzik, bo natychmiast połączy wszystko w jedno i Roberto nie tylko nie zobaczy Giny, ale sam powędruje do piachu. Trzeba więc „zrobić” laboratorium pana inżyniera bezpośrednio przed spotkaniem z bossem. W środę wieczorem. Szybki skok i jazda!

Najpierw pomyślał, żeby wtajemniczyć w to swego przyszłego teścia – pana Dolińskiego, ale natychmiast tę myśl odrzucił. Zbyt stateczny jegomość, tu trzeba kozaka! I niewiele myśląc przycisnął gaz swej lancii, robiąc efektowny wiraż. Złapać Maćka Dolińskiego! Ten pasuje jak ulał do takich spraw. Bez zwracania uwagi wchodzi na teren warsztatu, może się tam zamelinować, pomóc i niepostrzeżenie zwiać. W dodatku to kawał zabijaki. Tak, tylko Maciek. Żeby go zastać w domu!

Miał szczęście. Maciek odsypiał właśnie jakiś sobotni ubaw i Roberto ledwo ściągnął go z łóżka. Kazał mu się co prędzej ubrać i jechać...

- Dokąd? – zapytał szwagier in spe.
- Na wielką rozróbę, taką, jaka może ci się już nigdy w życiu nie trafić. W amerykańskim stylu – powiedział Roberto. Po kwadransie pruli lancią w kierunku Sochaczewa.

DOBRY WIECZÓR, KRZYSIU!

Kto lubi poniedziałki? W poniedziałki zawsze zdarzają się najgorsze, najdziwniejsze wypadki. W ten poniedziałek na przykład nie przyszła do pracy Gina. Telefon u Roberta milczał, pan Doliński nic o córce nie wiedział. Pani Aura nie mogła nigdzie znaleźć odpowiedzi na pytanie, co się stało z dziewczyną.

O jedenastej stawiała się w Dzielnicowej Komendzie MO i w pokoju numer sto dwadzieścia dziewięć złożyła długie, wyczerpujące zeznanie w sprawie włamania. Nie, nic jej nie zginęło, poza paroma papierami z sekretarzyka.

– Czy to były papiery wartościowe? – zapytał przesłuchujący funkcjonariusz.

– Skądże, plany widowni.

– No, to się pewnie jeszcze znajdą – wyjaśnił autorytatywnie, po czym dodał: – Przypuszczam, że włamywaczy spłoszyli sąsiedzi. Szukali u pani biżuterii, pieniędzy – stąd ten bałagan. Od paru miesięcy, proszę pani, operuje „złoty gang”. Tylko kosztowności. Jeśli to oni, to jak nic nie znaleźli – poszli. To są fachowcy, biorą tylko ze swej branży. Nie zląkomią się na ubranie, aparat fotograficzny lub magnetofon.

Koło pierwszej pani Aura wróciła do domu. Darowała sobie tę godzinę dyżuru w teatrze, aby trochę uporządkować mieszkanie. Bałagan panował tu wciąż nieludzki.

Tymczasem młody Doliński kręcił się z wielce tajemniczą miną po ojcowskim warsztacie, w zakamarku, gdzie trzymał zwykle swoje rzeczy: kombinezon, buty robocze, jakieś drobniaki toaletowe – ładował gwizdnięte spod ojcowskiej ręki łomy, klucze, piłki do metalu. Sprawdził też, czy palnik do cięcia stali dobrze działa, po czym zabrał się do zwykłej pracy, raz po raz zerkając w stronę „laboratorium” Pakuły. Pan inżynier przyjechał dopiero koło jedenastej, ale nie swoim wozem, tylko stalowoszarą, świeżo lakierowaną porsche'em. Była z nim fajna dzidzia. Natychmiast weszli do środka, zamknęli się starannie i przez dłuższy czas nie pokazywali. Maciek nie miał wątpliwości, co oni tam robią i szczerze panu inżynierowi zazdrościł sam na sam z długonogą dziewczyną w modnym futerku. Wreszcie cizia wyszła, wsiadła do wozu i odjechała. Po pół godzinie inżynier wpadł na papierosa do pana Jana

i gadu-gadu rozpytywał co słyhać, jak tam w pracy, w domu, co z Janką, wychodzi za mąż czy nie? Mistrz Doliński nie bardzo lubił rozmawiać na temat życiowego statusu córki, więc skierował dyskurs na inne tory. Powiedział, że dawno dziewczyny nie widział i coś nie za dobrze sobą kieruje, skoro dziś dzwonił z teatru, że nie przyszła do pracy. Inżynier Pakuła uspokoił współnika, pomstując zresztą na współczesną młodzież, która zapomina o starszych, o pracę nie dba i takie tam...

Po południu, zanim panowie Dolińscy wyszli, jeszcze raz przyjechała do Pakuły dziewczyna w szarym porsche'u i znowu coś ze sobą załatwiali, jak długo – trudno powiedzieć, bo ojciec i syn przed czwartą wyszli. Pan Jan nie zauważył nawet, że Maciek z szuflady w kantorku gwizdnął mu zapasowy klucz od bramy i drugi od głównego warsztatu.

*

W poniedziałek wieczorem kasa teatru była nieczynna. Wiadomo, dzień wolny, więc i pani Aura została w domu. Czekwała na ślusarza, który miał jej zamienić zamek na niezawodny „Skarbiec”. O ósmej ktoś zadzwonił i poszła otworzyć, pewna, że to właśnie ów rzemieślnik. W drzwiach stał młody człowiek w ortalionowej kurtce, o nieco zawadiackiej twarzy i bujnej, nastroszonej czuprynie. Kogoś jej przypominał, lecz nie bardzo mogła sobie uprzytomnić kogo. Spostrzegła tylko, że ma powalane smarami ręce i połamane paznokcie.

- Czy pan w sprawie zamka? – zapytała.
- Nie, ja do pani – powiedział młodzieniec nieśmiało.
- Do mnie? – trochę się zaniepokoiła, po włamaniu stała się ostrożna.
- Jestem Maciek Doliński, brat Janki – przedstawił się.

Pani Aurze ulżyło – oczywiście, to przecież było rodzinne podobieństwo. Otworzyła drzwi z łańcucha.

– Proszę, niech pan wejdzie, co się dzieje z Janką? Nie było jej dziś w pracy.

– Janka prosiła, żeby pani oddać ten list. I jeżeli nie zatelefonuje do pani w czwartek do szóstej rano, to bardzo prosi, aby pani postarała się to zaraz dostarczyć pod adres, który jest w środku. Ale prosi, żeby pani wcześniej nie otwierała. Bardzo prosi...

– Ale gdzie jest Janka? Co ona wyrabia za tajemnicze historie?

– Ja nic nie wiem, proszę pani – sumitował się niepewnie Doliński-junior, po czym dodał: – Janka bardzo panią prosi i powiedziała, że wierzy, że jej pani tak nie zostawi – po czym ukłonił się szarmancko i już go nie było.

Pani Aura została w przedpokoju z grubą, szarą, zalakowaną kopertą bez żadnego adresu. Za wiele tych tajemnic jak na jedną starszą panią – skonstatowała i wygrzebała spod stosu porozrzucanych rzeczy książkę telefoniczną, by poszukać numeru Krzysia Zborowskiego.

Wykręciła numer i niecierpliwie czekała, czy ktoś się odezwie. Po chwili usłyszała męski głos, który powiedział:

– Proszę?

– To ty, Krzysiu? – zapytała pani Aura.

– Zaraz zawołam tatę – wyjaśnił głos. – Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

– Twardo-Krzyska – odpowiedziała.

Ktoś odłożył słuchawkę, a po chwili usłyszała niemal identyczny, tylko trochę bardziej schrypnięty głos:

– Dobry wieczór, pani Auro! Jak to ładnie, że przypomniała sobie pani o nas. Co słyhać?

Był to niewątpliwie Zborowski.

– Dobry wieczór, Krzysiu. Czy to twój syn odbierał telefon?

- Tak!
 - Ależ macie podobne głosy, powiedziałam do niego Krzysiu...
 - Wrodził się we mnie, trudno... – śmiał się ojciec. – Co u pani? – Przeczuwał, że starsza pani nie dzwoni bez istotnej przyczyny.
 - Widzisz, bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć, jest taka sprawa...
 - Chętnie wpadnę. Kiedy pani sobie życzy? Pod koniec tygodnia...
 - Nie, mój złoty, nie możesz do mnie wpaść, ponieważ mam mieszkanie przewrócone do góry nogami...
 - Remont czy wymiana rur wodociągowych?
 - Włamanie!
 - A milicję pani powiadomiła?
 - Krzysiu, ja nie w tej sprawie, lub raczej nie tylko w tej. Oczywiście, że milicja była...
 - Dawno?
 - To wszystko stało się w sobotę wieczorem. Ale ja muszę zobaczyć się z tobą koniecznie jutro...
 - Pani Auro, jutro to wykluczone. Mam cały dzień naradę, ale w środę wykroję trochę czasu. Może koło piątej? Dobrze?
 - Ale to bardzo pilne...
 - Jutro mogę panią skierować do mego zastępcy. Porządny chłop, powiem, żeby wszystko pani ułatwił...
 - Nie, to możesz być tylko ty. Więc trudno – środa. Piąta? Nie, o piątej to ja pracuję, będę wolna o wpół do ósmej.
 - Przyjadę po panią do teatru – zaofiarował się szarmancko.
 - Och, dziękuję ci, zawsze byłeś dżentelmenem.
- Najgorsze są te starsze panie, odziedziczone po rodzicach

– pomyślał prokurator Zborowski i wyobraził sobie, czego to będzie się musiał nasłuchać od pani Aury o złodziejach, którzy naszli jej mieszkanie.

WTOREK

We wtorek rano z teatralną pocztą do pani Aury przyszedł ekspres. Szybko rozerwała kopertę i przeczytała krótki list, pisany ręką Janki, ale jakimś trochę zmienionym pismem:

„Kochana pani Auro! Moje najgorsze obawy, o których pani mówiłam – sprawdziły się. Jestem w ciąży. Lekarz powiedział, że jeśli chcę się tego pozbyć, natychmiast trzeba zrobić zabieg. Boję się bardzo, ale wie pani, że w mojej sytuacji nie mam innego wyjścia. Wyjeżdżam na tydzień. Jak już będzie po wszystkim, dam pani znać. Niech pani nie niepokoi broń Boże ojca. Wie pani, jaki jest wściekły na Roberta. Całuję Panią mocno i niech się pani modli, aby wszystko było dobre. Proszę jakoś usprawiedliwić mnie w teatrze, boję się, żeby mnie nie wyleli. Niech pani tylko nic nie mówi o tym wstydzcie, bo nie będę mogła pokazać się ludziom na oczy. Proszę mi pomóc, jak zawsze! Janka.”

W panią Aurę jakby piorun strzelił. Wczorajsza wizyta Maćka Dolińskiego, tajemniczy, zapieczętowany list od Janki i ta dzisiejsza, niewątpliwie jej ręką pisana wiadomość – coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Za dużo tego dobrego. Jedno było bezsporne: że Janka wkopała się w jakąś porządną kabałę i... Pani Aura wróciła do listu. Co ona pisze o ciąży i zabiegu? Przecież kilka dni temu zwierzyła się jej, że nie może mieć dziecka. A tu nagle ciąża? Czy ona oszalała? Jasne, chodzi o usprawiedliwienie jej przed dyrekcją, ale przecież nie chce, aby Aura podawała prawdziwy powód... Mówi o obawach, prosi o pomoc i pisze tak, jakby chciała zwrócić pani Aurze

uwagę na niezwykłą sytuację, w której się znalazła. Na to, że coś jest nie w porządku. Wszystko na opak. Więc jaki może być prawdziwy powód jej zniknięcia?

Już pani Aura sięgała po drugi, zapieczętowany list (nie rozstawała się z nim), który wczoraj przyniósł Maciek, ale wstrzymała się. Jakie ma prawo otwierać go przed terminem? A jeśli Janka rzeczywiście nie chce wtajemniczać jej w swoje sprawy? Zadzwoiła jednak do Krzysia.

– Pan prokurator jest na naradzie – odpowiedziała sucho sekretarka, wyraźnie zniecierpliwiona, że ktoś przerywa jej błogi spokój pod nieobecność szefa.

– A kiedy wróci? – nie ustępowała pani Aura.

– Nie wiem – odpowiedziała tamta i odłożyła słuchawkę. Trzeba było czekać.

*

W obskurnym małym barze na Bródnie siedzieli przy zalanym piwem stoliku Roberto i Maciek Doliński, raz jeszcze uzgadniając plan działania.

– Ja wracam do warsztatu – powtarzał Maciek – tak, żeby mnie nikt nie widział. Zwłaszcza Pakuła... To małe piwo, jego i tak nigdy wieczorem tam nie ma.

– Skąd wiesz?

– Wyjeżdża wcześniej niż ja z ojcem.

– Ale może wrócić. Musisz dostać się tak, żeby on nie wiedział. Patrz uważnie, co się święci i siedź cicho. Kwadrans po ósmej otwórz bramę z klucza, żebyś mógł tylko stuknąć wozem i wjechać. I bądź w pogotowiu z łomem.

– Stoi w komórce i czeka – uspokoił Maciek.

– Uciszymy Pakułę i każdego, kto się nawinie, po czym opróżnimy mu magazyn. Na cały skok mamy tylko godzinę...

– Jakie tylko? Aż godzinę – uspokajał Maciek.
– Nie bądź taki pewny. On może mieć broń.
– A ty? – zapytał Maciek Roberta.
– Także. No, ale wracajmy do planu. Chowasz się z tyłu wozu i asekurujesz. Jedziemy na tę cholerną szosę, stajemy za nimi – po przeciwnej stronie w kierunku na Sochaczew. Biorę walizkę i w chwili kiedy mu ją wręczam, każę Ginie biec do wozu. Sam zostaję z towarem. Jak tylko Gina wejdzie, niech siada na miejscu obok kierowcy. Ty uważaj, jeżeli cokolwiek zaczniesz się między mną a facetem, który przyprowadził Ginę, wskakuj za kółko i ruszaj gazem przed siebie. Bez świateł...

– A ty? – zapytał Maciek.

– Ktoś musi ryzykować. Byłoby najlepiej, abyś – skoro tylko stracisz nas z oczu – zjechał pierwszą drogą w bok. Dowloną. Najlepiej po twojej lewej. Albo zawrócił i władował się między samochody, gdyby szły sznurem na Warszawę. Wtedy przeskoczysz z powrotem. Oni gdzieś zrobią zasadzkę, trzeba albo wiać w tłoku, albo się zgubić. Innego wyjścia nie macie.

– A jeżeli nawiejemy, to co?

– Zgłoś się zaraz na milicję. W Warszawie.

– Ty frajerze, przecież mnie zamkną.

– Zamkną. Posiedzisz, ale nikt cię nie zabije. Ocalisz Ginę i siebie. Rozumiesz? Z tymi facetami, których teraz ruszamy, nie ma żartów.

– Roberto, to nie Chicago – zaśmiał się nerwowo Maciek.

– No to popatrz sobie, dobrze popatrz – i wyciągnął jedną z „amatorskich” fotografii storturowanej Giny.

– Kto to? – Maciek nie poznał siostry.

– Gina – odpowiedział Roberto. – Tak wyglądała przedwczoraj. Teraz już rozumiesz?

*

W niewielkim, ale gustownie umeblowanym lokalu biurowym przedstawicielstwa firmy COSAG Comp., Toronto przy ulicy Mazowieckiej siedziało przed zasłanym samochodową mapą stołem dwóch panów. Ociężały dżentelmen o twarzy emerytowanego boksera i pozbawiony wyrazu, nijaki facet. Boss i „on”. Mówił boss:

– Przed ósmą jesteśmy porsche'em u Pakuły. Zabieramy dziewczynę. On rusza za nami swoim volkswagenem z Bobem i tą kurewką. Gubią nas, my jedziemy wolniutko do Sochaczewa. Jesteś schowany z tyłu, nożem ubezpieczasz dziewczynę. Jeden ruch i rzniesz. W Sochaczewie zawracamy do Błonia. Na punkcie jesteśmy równo o dziesiątej. Zalepiasz dziewczynie usta plastrem; wyprowadzam ją, jak tylko zobaczę Roberta. Potem następuje wymiana: jeśli wszystko będzie O.K., wracam z walizką i rozjeżdżamy się w przeciwną stronę. Od wioski Paprotnia, to tu – wskazał na mapie – siada mu na ogonie Pakuła i tamci. Tak holują go do końca. Do szóstej rano ma być zdrow i cały. Oni rozpracowują jego melinę, dają nam cynk i załatwiają faceta w samo południe. Jak, twoja rzecz. Koniec akcji.

– A jeśli coś nie zagra na szosie?

– Strzelasz jego i dziewczynę, i pełnym gazem wracamy do miasta.

– Cholernie to wszystko trudne, zwłaszcza nocą, na ruchliwej szosie i w takim kraju, którego zupełnie nie można zrozumieć. Jak tu w ogóle pracować, bez jednego swojego człowieka w policji?

– Dyskusje zostaw na później. Teraz musimy odzyskać towar. Wiesz, co mi napisali z centrali? Że proponują nam odkupienie przygotowanych dla nas „bucików” z betonu za stracony towar. Rozumiesz? Nie przelewki. Do kości objedzą nas ryby, jeśli nie wyłuskamy z tego szczura wszystkiego.

*

ARESztUJĘ PANIĄ...

W środę cały dzień zbierały się ciężkie, ołowiane chmury wróżące śnieg. Późnym popołudniem zaczęło prószyć drobnymi, suchymi płatkami. Nie za gęsto, ot tak, żeby wyglądało na zimę. Samochody rozgniatyły ten śnieg na czarne, przyskające spod kół błoto, jedynie dachy i gałęzie drzew robiły się coraz bielsze.

Punktualnie o wpół do ósmej wieczorem wkroczył do hallu Teatru Otwartego pan prokurator Zborowski, czyli po prostu Krzyś. Nienagannie ubrany, zawsze spokojny, opanowany, a przecież serdeczny i miły, nawet teraz, gdy po wczorajszej naradzie i dzisiejszym, nie mniej morderczym dniu był tak nieludzko zmęczony.

Kiedy wreszcie zasiedli przy ustronnym stoliku staromiejskiej kawiarni, a nie było tak łatwo znaleźć go o tej porze, pani Aura rozpoczęła swoje zwierzenia.

– Krzysiu – wyznała – wszystko zaczęło się jeszcze na wiosnę od biletów teatralnych i konika szachowego.

Zborowski zdrętwiał. W pierwszej chwili pomyślał, że starsza pani zwariowała albo narobiła jakichś kantów z biletami i teraz będzie miał polkę z wyciąganiem jej z tego za uszy. Ale co tu miał do rzeczy konik szachowy? Jak dotąd nie słyszał, aby ktokolwiek tak się zgrał w szachy, żeby aż okradać kasę.

W miarę jednak jak pani Aura rozsnuwała swą barwną opowieść, prokurator'skie ucho wydłużało się. Jakieś fragmenty rozwlekłej historii o wykupywaniu miejsc według określonego systemu, śmierć dyrektora Wiśniewskiego, afera z jachtami, zniknięcie Janki i list budzący takie wątpliwości, a w końcu demonstracja znaleziska spod fotela – owego „klocka”, doprowadziły Zborowskiego do zupełnego osłupienia. Niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w leżący między talerzykiem

z napoleonką a popielniczką podłużny, plastikowy klocek obwiedziony dwiema gumowymi obręczkami, z których każda miała na sobie metalowy, płaski guzik – i nie mógł powiedzieć słowa.

– Więc gdzie to pani znalazła? – wykrztusił po dłuższej chwili.

I pani Aura raz jeszcze opowiedziała historię odkrycia, opisała przebieg prób Poraya nie omijając – choć było jej niezmiernie wstyd – sposobu, w jaki dostała się na widownię.

– Pani Auro – przyciszonym głosem odezwał się Zborowski – to może być bardzo poważna sprawa. Czy pani wie jeszcze coś więcej?

– Nie wiem, ale być może jest jeszcze coś, tylko że z tym musimy poczekać do jutra.

– Dlaczego?

– Ponieważ brat Janki przyniósł mi w poniedziałek jej list, który mogę otworzyć dopiero w czwartek rano.

– Ma go pani przy sobie?

– Mam – nieopatrznie przyznała się pani Aura.

– To proszę mi go dać.

– Nie mogę, to byłoby nie fair.

– Pani Auro, z tego, co pani mi już powiedziała, domyślałam się jakiejś paskudnej afery. Dziewczyna jest porwana albo szantażowana, a list ma być zapewne gwarancją. Jeżeli go wcześniej nie przejrzymy, jeżeli nie poznamy jego treści, ryzykujemy, że stanie się coś niedobrego. Możemy narazić człowieka na śmiertelne niebezpieczeństwo. Przecież to, co mi pani pokazała – ten „klocek” – robi wrażenie sprytnie skonstruowanego zasobnika do przewozu narkotyków. Przemysłowego opakowania – rozumie pani?

– Być może, Krzysiu – odpowiedziała pani Aura z godnością. – Mogę ponieść wszelkie konsekwencje, ale nie

zawiodłam jeszcze niczyjego zaufania. Nie otwieram bez upoważnienia cudzych listów i listu Janki ci nie oddam.

– Nie odda pani?

– Nie!

Zborowski nabrał głęboko powietrza, jakby chciał skoczyć do wody z wysokiej trampoliny, i oświadczył:

– Pani Auro, jako prokurator Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej aresztuję panią pod zarzutem przemytu narkotyków. Proszę oddać torebkę.

Pani Aura oniemiała, oczy stanęły jej w ślup, ale wyciągnęła rękę z torebką do Krzysia. Wziął ją od niej, otworzył, wyciągnął szary list od Janki i rozerwał. Z pierwszej koperty wypadła druga zaadresowana na maszynie: „Do Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. Pilne. Bardzo pilne!”. Zborowski nie namyślając się rozdarł i tę kopertę. Wyciągnął z niej plik kartek zapisanych gęsto maszynowym pismem. Teraz czytał je w pośpiechu, nie zwracając uwagi na swoją „aresztantkę”, która siedziała jak skamieniała. Wreszcie zerwał się od stolika, rzucił tylko „przepraszam” i pobiegł do szatni. Na szczęście był tam telefon i to czynny. Kiedy po krótkiej rozmowie wrócił, zastał panią Aurę w nie zmienionej pozycji. Nie spojrzała nawet na niego.

– Pani Auro – powiedział – strasznie mi przykro, będzie pani musiała pojechać ze mną... nie zajmie to dużo czasu, ale...

– Proszę, aby pan prokurator – oświadczyła z godnością – pozwolił mi porozumieć się z moim adwokatem.

– Z kim? – wytrzeszczył oczy Zborowski.

– Z adwokatem. Chyba przysługuje mi prawo obrony.

– Jakiej obrony?

– Jestem aresztowana, ale jeszcze nie skazana.

Krzyś roześmiał się głośno, choć nie było mu wesoło.

– Pani Auro, najdroższa, cudowna pani Auro – niech się pani nie gniewa. Przecież to był głupi żart, ale musiałem dostać natychmiast ten list. Pani jest wolna. Gdzieżbym śmiał panią aresztować? Nie mam nawet nakazu przy sobie. Tylko – widzi pani – z tych papierów, które podstępnie wydobyłem od pani, wynika, że sytuacja jest gorsza niż mogłem sobie wyobrazić. Nie mamy chwili czasu. Musimy ratować ludzi, musimy schwytać przestępców. Pani Auro – dodał bardzo poważnie – zdaje się, że trafiła pani na trop jednej z największych afer kryminalnych w naszym kraju. I jednej z groźniejszych.

Spojrzał na zegarek. Wskazywał pięć po wpół do dziewiątej.

– Musimy iść. Zaraz przyjadą – powtórzył i złożył na dłoni pani Aury pełen galanterii pocałunek.

CIUCIUBABKA

Maciek z nosem przyklejonym do szyby i ciężkim łomem w garści wpatrywał się bezskutecznie z ojcowskiego warsztatu w bramę wjazdową, usiłując pokonać wieczorny mrok, śnieżną zadymkę i z wolna ogarniającą go senność. Wreszcie – na zegarku było akurat wpół do ósmej – posłyszał warkot samochodu. Po chwili otworzyła się brama i ze zgaszonymi reflektorami wjechały dwa wozy: volkswagen i porsche. Ten ostatni zatrzymał się przy samym wejściu do „laboratorium” Pakuły, który właśnie wysiadł w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i kobiety z volkswagena. Z porsche'a wygramoliło się dwóch panów. Jeden krępy, trochę ociężały – Maćkowi wydawało się, że go tu już widywał przy odbiorze wózków – drugi lekko utykający. Inżynier otworzył drzwi

do siebie i wszyscy weszli. Za chwilę Pakuła znowu pojawił się na zewnątrz. Zamknął starannie bramę, obszedł cały teren, spróbował, czy drzwi do warsztatu Dolińskiego są zamknięte. Maciek wstrzymał oddech, gdy tamten szamotoł klamką. Potem podszedł do okna. Chłopak w ostatniej chwili uskokczył w bok i przykleił się do ściany. Z latarki elektrycznej padła przez szybę długa smuga jasnego światła. Pakuła uważnie badał wnętrze warsztatu, wszystkie kąty, sprzęty i przedmioty. Ale światło nie było w stanie sięgnąć nawet czubka Maćkowych butów. Wreszcie latarka zgasła, a Pakuła wrócił do laboratorium. Maciek odetchnął. Odczekał kilka minut i wrócił na punkt obserwacyjny. Koło ósmej u Pakuły otwarto drzwi i wszyscy wyszli. Do porsche'a wsiadły trzy osoby, do volkswagena też trzy. Maciek przetarł oczy: jak to możliwe? Przyjechało pięć, a wyjeżdża sześć? Przeliczył się, czy może ktoś był tu wcześniej?

Wozy, nie zapalając świateł, opuściły teren warsztatu. Brama głośno szczęknęła, po czym zaległa cisza. Znowu było pusto. Padał śnieg.

Teraz Maciek, z duszą na ramieniu, starając się nie robić najmniejszego hałasu, otworzył z klucza drzwi warsztatu i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Robiło się coraz chłodniej, wiatr za wiewał i śnieg zasypywał ślady. Jednym skokiem znalazł się przy murze okalającym posesję i posuwając się wzdłuż niego, dotarł do bramy. Otworzył zamek, potem leciutko uchylił wrota.

Wrócił tą samą drogą na swój punkt, by zamknąć się na klucz w warsztacie. Po omacku, cichcem zbierał niezbędne narzędzia. Wreszcie usłyszał głucho stuknięcie. Podbiegł do okna. W rozwartą bramę wtaczała się lancia. Stanęła. Z wozu wyskokczył Roberto. Przyczajony, rozglądał się wokół, po czym podszedł do okna. Ale Maciek już otworzył drzwi.

– Prędko, zamykaj bramę – rozkazał Roberto.

- Jest? – zapytał.
- Byli i pojechali przed chwilą – zameldował Maciek i pobiegł ku bramie. Zaryglował ją na dwa spusty, podparł jeszcze żelaznym drągiem.

Podczas gdy próbowali wyważyć drzwi do laboratorium, Maciek relacjonował przebieg ostatnich wydarzeń. Roberto uważnie słuchał, czasem rzucał jakieś pytanie. Kiedy usłyszał, że więcej osób wyjechało niż przyjechało, zapytał:

- A nie przywidziało ci się? – po czym dodał: – Trudno, musimy ciąć ten zamek i drzwi palnikiem. Za mało czasu.

Przydźwigali stalową butlę i nie zważając już na nic cięli metal acetylenem. Ostre światło i głośny syk mogły obudzić umarłego. Wreszcie drzwi puściły. Z impetem wpadli do środka.

W ciemnym pomieszczeniu piętrzył się wielki korpus automatu „Galvani”. Minęli go i Roberto otworzył pierwsze drzwi – prowadziły do piwnicy.

- Sprawdzimy dół – powiedział. – Czekaj i ubezpieczaj mnie!

Wtedy Maciek zobaczył, że Roberto ma broń. Spod marynarki wyjął pistolet, zarepetował, zapalił latarkę i zaczął ostrożnie schodzić do piwnicy pod składzikiem. Nie była zbyt obszerna. Okazało się przecież, że dalej są jeszcze drzwi. Podszedł i spróbował je otworzyć. Ustąpiły. Za nimi ciągnął się długi korytarz zakończony ślepą ścianą, po której pięły się ku górze stalowe klamry. Szedł wolno, oświetlając nieznaną teren: jakieś drzwi prowadzące w bok, obite blachą i zamknięte na amen, wreszcie sufit.

- Aha, to tak – spostrzegł, że na końcu korytarza strop nagle urywa się, w górę prowadzi komin, do którego można swobodnie dostać się po metalowych klamrach. Wsadził broń za pas i zaczął się wspinać. Jakieś trzy metry wyżej stalowa płyta zamykała wyjście. Oświetlił ją latarką. Z boku dostrzegł

rodzaj dźwigni. Pociągnął – ustąpiła bez trudu i pokrywa dała się lekko pchnąć ku górze, jakby osadzona na sprężynie. Wionęło zimnym strumieniem powietrza, śnieg sypał mu się na głowę. Nad nim było ciemne niebo.

Powoli, ostrożnie wysuwał głowę. Wyjście. Awaryjne wyjście inżyniera Pakuły prowadziło poza teren warsztatu. Nieoczekiwanie znalazł się na jego tyłach.

Wrócił, uprzednio przymykając włącz, tą samą drogą, którą przyszedł. Przechodząc koło okutych drzwi przystanął. W środku metalowej płyty zauważył niewielkie kółko. Po prostu „judasz”. Zajrzał. Wewnątrz panowały ciemności. Wpuścił strugę światła ze swojej latarki i jednocześnie starał się podpatrzeć coś przez judasza. Było to bardzo niewygodne, prawie niemożliwe, ale przecież zdołał dojrzeć leżące tam, za drzwiami, pokrwawione strzępy... resztki sukienki Giny.

Zrozumiał: spóźnił się o kwadrans. To ona była szóstym pasażerem. Pozostali stanowili obstawę. Zaklął – no, teraz szanse są nie jeden do stu, ale jeden do tysiąca.

Wyszedł na górę wściekły. A więc to nie tu. – Nie ma nic – powiedział do Maćka. – Próbuje dalej. – Omiótł światłem latarki wnętrze laboratorium. Koło wejścia do piwnicy były drugie drzwi. Nacisnął klamkę – zamknięte.

– Łom! – rzucił.

Po chwili i ta przeszkoda padła. Weszli do sporego składziku w połowie zapchanego pustymi akumulatorami. W powietrzu unosił się ostry zapach kwasów i metalu. Roberto przy świetle latarki zlustrował pomieszczenie. Czarne, ciężkie obudowy akumulatorów piętrzyły się pod ścianą. Te bliżej drzwi pokrywała spora warstwa pyłu, dalsze robiły wrażenie nowszych, jakby później sprowadzonych. Podeszli ku nim bliżej. Rzeczywiście – ścianki miały lśniące, czyste, ani śladu kurzu. Uszeregowane równo, jeden na drugim, zapewne oczekiwały na klientów.

– Cholera! – nie mógł powstrzymać się od zdziwienia Maciek. – Na co mu tyle akumulatorów? Nigdy ojcu nie mówił, że ich potrzebuje...

Roberto schylił się nad rzędami i lekko pociągnął nosem. Istotnie, to nie było złudzenie, mniej tu czuć kwasem. Spróbował dobrać się do środka pierwszego z brzegu akumulatora. Był szczelnie zamknięty. Odkręcił więc otwór wlewu i zaświecił latarką. Zobaczył w kręgu światła wysoki poziom elektrolitu. Odstawił akumulator i zabrał się do następnego. To samo. Trzeci, czwarty... także! Więc nic z tego? Nie tu?

– Maciek – zakomenderował – zdejmujemy je, szukamy głębiej. Może coś jest pod nimi.

Zaczęli z nerwowym pośpiechem, nieporządnie, burzyły stertę czarnych, ciężkich skrzyń. I nagle Maciek krzyknął:

– Roberto, te są jakby lżejsze... Był już przy nim:

– Które? Dawaj!

Rzeczywiście, akumulator był wyraźnie lżejszy. Przyjrzał mu się dokładnie, spróbował odkręcić wlew i gwizdnął. To taki interes! Cały wierzch obudowy zdejmował się łatwo, a wewnątrz... Wewnątrz zamiast metalowych płytek, zamiast płynu elektrolitycznego stały równiutko obok siebie ustawione plastikowe „klocki”.

– Wybieraj te lekkie i odstawiaj na bok – polecił Maćkowi, po czym sam zaczął spieszenie wyciągać podłużne „nadmienie”.

– Co ty robisz? – Maciek nie mógł zrozumieć celu zabiegów Roberta.

– Nie gadaj, tylko szukaj lekkich skrzynek, rozumiesz? Migiem, nie mamy chwili do stracenia. I tak zabałaganiliśmy tu kupę czasu.

Teraz praca odbywała się już sprawniej. Jeden wyciągał lekkie akumulatory, drugi je opróżniał. Wkrótce na podłodze piętrzyła się spora kupka „klocków”.

– Leć do mego wozu po walizkę – rozkazał Roberto – jest na tylnym siedzeniu.

Po chwili ładowali wspólnie plastikowe przedmioty. Klo-cuszki były dość ciężkie, śliskie, elastyczne. Wypełnili nimi całą walizkę. W sumie osiemnaście, może dwadzieścia kilo-gramów.

Dochodziła dziewiąta. Musieli się spieszyć. Pozostała im tylko godzina.

MILICJA, OTWIERAĆ!

Pani Aura uczepona ramienia prokuratora Zborowskiego znalazła się nagle w niezwykłym, nie znanym jej, tajemniczym, ekscytującym świecie. Przewieziona specjalnym wozem do Komendy Głównej, otoczona została tłumem mężczyzn w mundurach i po cywilnemu, którzy bardzo zaaferowani wrywali sobie wzajem kartki listu tak podstępnie odebranego jej przez Krzysia. Co chwila zadawano jej jakieś pytania, proszono o wyjaśnienia. Była źródłem sensacji, zainteresowania – i wiadomości.

Panowie wchodzili i znikali, telefony brzęczały, meldowali się oficerowie, ktoś mówił do mikrofonu, ktoś majstrował przy tablicach i przełącznikach. Cała ta mechanika przerażała i wprawiała w podziw panią Aurę.

– Najważniejsze – zdecydował wreszcie starszy pan w ciemnym, cywilnym ubraniu – to natychmiast zablokować ten warsztat i zamknąć szosy do Poznania. W stan gotowości postawić wszystkie posterunki na E-8, przygotować helikopter z flarami, ostre pogotowie dla szpitali w Błoniu, Sochaczewie, Łowiczu, no i dyżurnego u nas. Radiowozy na trasę.

Zmobilizować karetki pogotowia, dwie skierować na E-8 między Błoniem a Sochaczewem, reszta w dyspozycji. Zablokować drogi dojazdowe...

Rozkazy sypały się jeden za drugim, a w tym samym czasie pani Aura wodziła z lekka nieprzytomnym spojrzeniem po albumie z fotografiami obcych panów i pań, wśród których miała znaleźć znane jej twarze. Może Janki, może Roberta, kogokolwiek z teatru lub z nabywców biletów.

Krzyś na boku rozmawiał po cichu z dwoma panami; dobiegły ją jeszcze ostatnie słowa energicznego cywila w ciemnym garniturze:

– I nie zapomnijcie o tym piekielnym teatrze. Psy z lotniska. Oni właśnie coś sprowadzili od Włochów...

*

Kiedy Roberto i Maciek ulokowali walizkę w samochodzie i pozostało już tylko otworzyć bramę, nagle poprzez wycie wiatru dobiegł ich warkot motorów. Skamienieli, wsłuchując się w zbliżający szum. Tak, na pewno – jechały jakieś auta. Kilka wozów. Zbliżały się do warsztatów pana Dolińskiego, aż wreszcie stanęły przed bramą. Roberto cichcem wysiadł z lancierki, kiwnął na Maćka i wyciągnął walizkę. Za długo mitrężył w piwnicy – sklął sam siebie – i klops! Ale kto to mógł być? Boss, Pakuła czy ten kuternoga-oprawca? A może wszyscy razem? Nim odpowiedział sobie na to pytanie, zaczęło się łomotanie w bramę.

– Otwierać, milicja! – ktoś krzyczał.

– Wiejemy – szepnął do Maćka i z walizką w rękę skoczył przez laboratorium ku drzwiom do piwnicy. Już schodzili, kiedy oddał mu ciężar.

– Idź do końca, zaraz dobiegnę – powiedział i zawrócił ku górze. W bramę łomotano coraz silniej, a za murem słychać było liczne głosy. Zrozumiał, że jeżeli ich tu nie przytrzyma, to otoczą całą posesję i nawet mysz się nie wydostanie, a co

dopiero dwóch mężczyzn z dwudziestoma kilogramami trefnego ładunku.

Podbiegł prędko do lancii – szczęściem stała blisko budynku – odkrcił bak i wsadził do niego kawałek chwyconej z laboratorium szmaty. Materiał dobrze ciągnął benzynę. Wreszcie był na tyle mokry, że mógł spełnić swe zadanie.

Dudnienie w bramę nie ustawało, a ludzie stojący pod nią naradzali się głośno.

– Wyważać! – krzyknął wreszcie jakiś głos nawykły do wydawania rozkazów.

Nie było na co czekać. Zapalił zapałkę i rzucił na szmatę, po czym jednym skokiem był już przy schodach. Kiedy tocząc się ku dołowi wylądował wreszcie w piwnicznym korytarzyku, usłyszał huk i poczuł gwałtowny podmuch gorącego powietrza.

– Mam szczęście!

Biegł teraz ku włazowi, pod którym czekał Maciek. Ogień płonącej lancii przerzucił się na budynek warsztatu. Brama była wywalona i kilkunastu milicjantów rozbiegło się po podwórzu. Roberto i Maciek otworzyli kłapę i pierwszy z nich ostrożnie wysunął głowę. Czerwona łuna biła ku górze, dławił gęsty dym płonącej benzyny. Z tej strony nikogo jeszcze nie było. Wskoczyli jak z procy, zatrzasnąwszy właz. Teraz skradali się w kierunku ulicy, w cieniu muru, za którym szalał ogień. Prowadził Roberto.

Na małej uliczce kipiał gorączkowy ruch. Stało tu parę radiowozów i jeden samochód osobowy. Wszystkie stłoczone w pobliżu bramy. Tylko w pobliżu załomu muru, za którym się schronili, parkował osobno milicyjny gazik. Za kierownicą siedział starszy sierżant wpatrzony w rozgrywające się przed nim niezwykle widowisko. Trzask ognia, krzyki, cały ten nieoczekiwany fajerwerk tak pochłonęły jego uwagę, że nie dostrzegł cicho skradających się po śniegu kroków.

Cios Roberta był błyskawiczny i celny. Milicjant osunął się na siedzenie. Jednym szarpnięciem ściągnął go z miejsca, krzyknął na Maćka targającego walizę i już siedzieli w wozie. Silnik, skręt do tyłu i gaz! Nikt nie zauważył. Bez świateł pruli przed siebie, byle dalej od płonącego Elektro-Serwisu i niespodziewanych gości.

Zegarek wskazywał dwadzieścia po dziewiątej.

– No, tym to daleko nie zajedziemy – powiedział Roberto. – Trzeba się za czymś obejrzyć.

Wjeżdżali w gęściej zabudowany teren. Klucząc bocznymi uliczkami, raz po raz słyszeli ryk syren. Nie wiedzieli – straży pożarnej czy rezerw milicyjnych? Nie było innego wyjścia, jak wyjechać na szosę. Właśnie na E-8. I wtedy napatoczyła się taksówka. Zwykła, warszawska taksówka. Polski Fiat 125 p.

– Ja go wyprzedzam – powiedział do Maćka Roberto – a ty daj znak, żeby zjeżdżał i stawał. Wiesz, taki jak milicja, ręką.

– Dobra! – odkrzyknął Maciek i gdy tylko wyprzedzili taksiarza, zaczął machać. Zobaczyli w lusterku, że szofer włącza migacz i zbliża się do krawężnika. Zwalnia. Zwolnili także i kiedy tamten stanął, cofnęli się. Musieli go zablokować, aby nie uciekł im widząc wysiadających z milicyjnego gazika cywilów.

Manewr udał się. Taksiarz pod groźbą pistoletu posłusznie przesiadł się na tylne siedzenie. Walizka leżała teraz obok Roberta.

Droga stała otworem.

Samochód mknął szybko, wyprzedzając inne wozy, szofer, któremu Maciek wiązał paskiem ręce, jęczał: „Panowie, nie zabijajcie, panowie, nie mordujcie”.

Dochodziła za kwadrans dziesiąta.

* * *

NA E-8

Boss spojrzął na zegarek. Mała wskazówka stała na dziesiątce, duża zbliżała się już do jedynki. Roberto nie nadjeżdżał. Gina półżywa ze strachu milczała, czując na szyi lekki chłód stali. Jedyne człowiek o twarzy bez wyrazu zachowywał kamienny spokój. To był jego fach. Ryzykował zawsze, za ryzyko brał pieniądze, niebezpieczeństwo wkalkulował w rachunek swego życia. Trzymał spokojnie nóż przytknięty do szyi Giny i czekał.

– Coś mały ruch – zauważył boss.

– Myślę, że nawet za mały – powiedział tamten. – Jakby coraz bardziej małał. Patrz pan, czasem tylko przejedzie jakiś wóz i nic...

Ledwo skończył, kiedy nagle ujrzeli naprzeciw światła samochodu. Z olbrzymią szybkością, nie bacząc na oblodzenie drogi i słabą widoczność, walił wprost od Błonia Fiat 125. Nie mógł to być Roberto, który miał przyjechać lanią, więc kto? I wtedy obaj równocześnie zauważyli za fiatem błyszczące światelka. Kawalkadę światel. Dobiegło ich dalekie wycie syren. Mężczyzna za kierownicą zaklął tylko i rzucił:

– Wiejemy, do tyłu, zasypał nas!

– Kończyć? – zapytał facet z nożem.

– Skądże, przecież to nasz okup. Zalep jej pysk!

Tamten paroma zręcznymi ruchami zaklecił dziewczynie usta plastrem, schował nóż i wyjął z kieszeni pistolet. W tym momencie samochód wykonał skręt i nabierając szybkości pomknął w stronę Sochaczewa. Fiat zaczął się oddalać, nie mogąc utrzymać szybkości porsche'a. Więc może jednak...? obudziła się w nich nadzieja. Wtedy spostrzegli, że fiat zwalnia i staje. Prędko, szybciej niż można było się spodziewać dopadły go tamte światła i zatrzymały się...

– Mamy fart – powiedział kierowca. – Coś mu nawaliło i tamci nabrali się na to.

Tymczasem fiat zatrzymał się sam. Z własnej woli. Zjechał na pobocze i stanął. W chwili, gdy kierowca otwierał drzwi – dopadły go wozy milicyjne. Ludzie wyskakiwali z pistoletami gotowymi do strzału.

– Rzuć broń! – krzyczeli.

Roberto jednak nadal trzymał w ręku pistolet skierowany w ich stronę.

– Poddam się, ale zanim to zrobię, musicie mnie wysłuchać – krzyczał. – Tam, w tym porsche'u, który wam teraz wieje, jest dziewczyna i dwóch facetów gotowych na wszystko. Dziewczyna to ich jedyna szansa, jeżeli spróbujecie zatrzymać ich siłą, dziewczyna zginie...

– Nie gadaj, tylko rzucaj broń – krzyczeli – bo będziemy strzelali w nogi!

– Frajerzy! Macie broń – rzucił pistolet – gońcie tych dwóch z porsche'a. I ratujcie dziewczynę.

Dopadli go, nim dokończył zdanie i zatrzasnęli mu na przegubach rąk kajdanki, potem wyciągnęli Maćka i szofera taksówki, skuli obu i trzema wozami, każdego osobno powieźli w kierunku Warszawy. Reszta pościgu ruszyła za porsche'em.

Krótkofalówką nadano do sztabu operacyjnego w Komendzie Głównej meldunek o okolicznościach aresztowania. Wymieniono nazwiska zatrzymanych i powiedziano, że reszta ściga jeszcze jeden wóz. Wiadomość ta wywołała mieszane uczucia wśród oficerów Komendy, kręcących się po pokoju, gdzie pani Aura popijała herbatę gwarząc przyjaźnie z jakąś młodą osobą w mundurze porucznika milicji.

Wreszcie pan w ciemnym garniturze, wyglądający na ostatnią instancję, zdecydował:

– Ten bandzior Roberto ma rację. Tamci nie cofną się przed niczym, a naszym zadaniem jest ochronić życie

dziewczyny. Otwórzcie dla porsche'a E-8 i blokujcie zjazdy. Niech lecą – wyczerpie im się benzyna, albo coś wymyślimy. Na razie wolna droga, pilnować i meldować o przelotach. Otwarte przejazdy kolejowe. Ale muszą wiedzieć, że nie ma czego szukać na zjazdach w bok... A jak tam helikopter, gotów? – spytał jednego z oficerów.

– Nic z tego, obywatelu pułkowniku – nie da rady w taką pogodę. Meteo wysiada.

– Psiakrew! – zaklął po raz pierwszy wytworny cywil nazwany pułkownikiem – z tą techniką to tak zawsze. Pilnujcie meldunków i oczyszczajcie drogę z wozów – niech zjeżdżają na bok, żeby zachować maksimum bezpieczeństwa. No i trzymać ich w zasięgu widoczności.

Porsche pułł sto czterdzieści na godzinę, a kierowca ze zdziwieniem spostrzegł, że ma przed sobą wolną drogę, choć parę wozów stoi z przygaszonymi światłami na poboczach. Przy pierwszej jednak bocznej drodze – nie próbował nawet wykonać manewru, tylko spojrzął kątem oka, co się tam dzieje – ujrzał czyhające światła. Aha, taka sztuka – pozwalają mu jechać, ale tylko prosto. Nie jest to dobre, ale trudno. Ma jeszcze ten żywy okup. I naciskał gaz.

W czerni nocy wirujące płatki śniegu rozplływały się po obu stronach. Gina nie była pewna, czy to rzeczywistość, sen, fragment awanturczego filmu czy makabryczne majaczenie. Wieźli ją gdzieś w noc, z zaklejonymi ustami, pędząc po pustej, śliskiej szosie. W każdej chwili groziła im wszystkim śmierć, a ona nic nie wiedziała, nie rozumiała o co chodzi. Dlaczego nie odebrał jej Roberto, dlaczego nie ma tu dziewczyny z bliźną, co się w ogóle dzieje i dlaczego?

Na sygnale i pełnych światłach przelatywali wioski i miasteczka, a wszędzie otwierano im drogę. Dostrzegali odsunięte na bok auta, ludzi z przerażeniem wpatrzonych w samochód – widmo, szalejący na ośnieżonej szosie.

SIANO Z PGR WALEĆCIN

O jedenastej trzydzieści nadszedł meldunek, że na drodze E-8, jakieś pięćdziesiąt kilometrów przed porsche'em, podąża kawalkada ciągników PGR z Wałęcina. Traktory prowadzą platformy z przyzowanym sianem. PGR Wałęcin jest wielkim i cenionym producentem pasz i oto nocą, by nie blokować we dnie szosy, dokonuje transportu siana na pobliską stację kolejową. Radiowóz pytał, czy są jakieś specjalne instrukcje, czy zatrzymać transport? I wtedy ktoś z obecnych (do końca nie można było ustalić kto, później bowiem każdy chciał sobie przypisać ów pomysł) krzyknął:

- W siano ich!
- Świetna myśl – zgodził się natychmiast pułkownik-cywil. – Wymościć brzegi szosy sianem jak na wyścigach i resztę wywalić w poprzek szosy. Ale nie jedną kupę, tylko, wiecie, zagęszczając. Najpierw trochę, potem więcej tych przyzm, aż do oporu. Muszą w to wjechać jak w masło, może się przekoziółkują, ale ryzyko zmniejszamy do minimum. Mamy szansę. I zaraz ich łapać – przypomniał o zadaniu nadrzędnym. – Z obu stron podciągnąć nasze wozy. Otoczyć teren przygotowywanego wypadku... – rozkazy leciały wprost w eter, w noc, gdzieś na daleki odcinek E-8.

Kilkanaście aut milicyjnych zatrzymało konwój z Wałęcina i błyskawicznie rozpoczęto ponury akt niszczenia pegeerowskiej dumy – przyzwanego siana ekstra gatunku. Najpierw w szalonym pośpiechu moszczono brzegi drogi, rowy, potem po dwie, trzy, cztery bele siana rzucano na szosę, wreszcie labirynt się zacieśniał, póki nie powstała zaporą nie do przebycia.

Z boków ułożyli się strzelcy wyborowi, za barykadą siana stała cała kolumna karetok pogotowia, wozów milicyjnych i strażackich na wypadek pożaru. Dowodzący operacją młody

kapitan MO podszedł do komendanta straży:

- Macie agregaty pianowe? – zapytał.
- Oczywiście – odrzekł tamten.
- No to jak oni wpadną w ten klops, walcie w nich pianą, ile wlezie. Pali się czy nie, gaście ich tą pianą.

*

– Nie są znów tacy głupi – stwierdził kierowca porsche'a.
– Oszczędzają dziewczynę, oszczędzą i nas. Mamy szansę, tylko żeby rozegrać ją do końca.

– Najgorsze to brak środka łączności – zauważył pasażer z tyłu.

– I pomyśleć – dodał z goryczą pierwszy – że ten alfonsiak wraz ze swoją dziwką i Pakuła mają szansę nawiać w takim burdelu...

– Bez znaczenia. Myślmy o sobie – przypomniał ten drugi.

Dziewczyna, omdlała, zsunęła się nieco z fotela.

– Zdejmij jej ten plaster, bo się nam udusi – rozkazał kierowca.

Człowiek bez oblicza szarpnął plastrem i odlepił opuchnięte wargi Giny. Otworzyła usta i, jak ryba wyrzucona na brzeg, zaczęła łąpać powietrze, ale oczy miała wciąż zamknięte. Kiedy przeprowadzali te drobne zabiegi, mające uchronić ich jedyny atut w grze, spostrzegli nagle, że na drodze coś leży. O mały włos nie huknęli w przeszkodę. Jakąś pakę, czy coś w tym rodzaju. Ledwo się wywinęli, wyrosła przed nimi druga, potem trzecia... Po szosie kłębiły się porozrzucane skrzynie czy opakowania. Musieli znacznie zmniejszyć szybkość, a mimo to wpakowali się na jedną taką rzecz. Okazało się to lekkie; odrzucili ciężar, który ich jednak wytrącił z kursu. Wóz tańczył po nawierzchni. Zobaczyli, że owe paki, pryzmy słomy lub trawy – musiał się tu wydarzyć wypadek przy transporcie, pomyślał boss – zagradzają im drogę. I wtedy było

już za późno. Próbowali jeszcze zawrócić poślizgiem, ale wpadli bezwładnie między rozrzucone bele siana, objęli się o nie, wreszcie tracąc szybkość wpakowali się w gęstą, zbitą masę walącą wprost w szybę, w przednie siedzenie. Otoczyła ich sycząca biel piany.

Dzielny komendant straży ogniowej pokrył porsche'a „chemicznymi środkami gaszącymi” – jak zapisano w raporcie.

Teraz zewsząd bluznęły światła i strażacy wraz z milicjantami, brodząc w pianie zmieszanej z sianem, biegli do porsche'a. Stał cichy, oblepiony puszystym kłębem. Wreszcie przekopując się przez zwały suchej, rozsypanej trawy dotarli do samochodu. Odkopali go z elastycznej pułapki, z trudem otworzyli wgięte drzwi i wyciągnęli trzy bezwładne ciała: kobietę i dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał zmasakrowaną twarz, ale dawał znaki życia, drugi nie miał żadnych zewnętrznych obrażeń, tylko spomiędzy wąskich, zaciśniętych warg sączyła się cienka strużka krwi. Dziewczyna łała się nieprzytomna przez ręce, ale oddychała równo. Omdlenie nie musiało być głębokie.

Sanitariusze podbiegli z noszami i przenieśli rannych do trzech karettek, które na pełnych światłach i sygnale pomknęły na szosę E-16 w kierunku Łodzi.

Po odebraniu meldunku radiowego Komenda Główna odwołała blokadę E-8. Nie było rady, volkswagen z trójką pasażerów, o którym dowiedziano się najpóźniej, zniknął w ciemnościach jak kamień w wodzie.

Dopiero następnego dnia rano pewien gospodarz z Roztoki zameldował na najbliższym posterunku milicji, że przejeżdżając pobrzeżem Puszczy Kampinoskiej zobaczył leżących w rowie kobietę i mężczyznę. Zatrzymał konia, podszedł sprawdzić, czy nie zasłabli lub nie pomarli z zimna i wtedy zobaczył, że obydwoje mają czaszki roztrzaskane strzałem w potylicę.

Była to – jak stwierdzono w Komendzie Głównej – para z volkwagena: Bob i dziewczyna z blizną na serdecznym palcu. Brakowało do kompletu jedynie inżyniera Pakuły.

PREMIERA

Prowadzone przez Poraya próby z „Operetką” Gombrowicza tak się przeciągnęły, zarówno z przyczyn obiektywnych (na przykład pewnego dnia nie wiadomo czemu – w nocy ze środy na czwartek – opieczętowano widownię, scenę i przyległe do nich pomieszczenia, w których przez parę dni buszowali cywilni i mundurowi przedstawiciele milicji, celnicy i jeszcze jacyś tajemniczy panowie), jak i artystycznych, że dopiero w pierwszych dniach wiosny można było opublikować zawiadomienia o terminie premiery. Krążące po Warszawie plotki o jakiejś kolosalnej aferze wokół Teatru Otwartego, związanej z nią śmierci dyrektora Wiśniewskiego, naloty milicji, wreszcie sama osoba Poraya, nie mówiąc już o sławnym autorze i obiecującym tytule – sprawiły, że zanim podniosła się kurtyna na premierowym spektaklu, „Operetka” już była wydarzeniem sezonu.

Prolog spektaklu – „kongenialny koncept reżysera, który pierwszy przypisał «gębę» Gombrowiczowi”, jak pisał potem jeden z czołowych recenzentów stołecznych – czyli wynoszenie „krzesłek lorda Blotton” z widowni, wyrzucanie najszacowniejszych dam i dżentelmenów z miejsc, ogólny rozgardiasz i powszechna zabawa – zrobiły niebywałą furorę. W końcu pokrzywdzeni czuli się ci, których nie wysiudano z miejsc, pozwalając w spokoju oglądać stan powszechnego chaosu, jaki zapanował w samym środku widowni. Najbardziej jednak, nie wiadomo czemu, śmieli się z tego wszystkiego dwaj panowie: pewien prokurator i elegancki cywil, który nie protestował, gdy kasjerka teatru mówiła doń „panie

pułkowniku”. Ci poważni ludzie tak chichotali od początku przedstawienia, poddając się bez szemrania eksmisji z przynależnych im miejsc, że po twarzy ciekły im strugi łez i nie mogli pohamować się nawet wówczas, gdy sala z wolna się uspokajała.

Zgodnie z teatralnym zwyczajem, dyrektor Marczewski urządził po premierze „lampkę wina” dla zespołu, na którą zaproszono także panią Aurę oraz tych dwóch najbardziej rozbawionych widzów spektaklu. Wśród powszechnych gratulacji, komplementów i zachwyty minęła godzinka przy winiaku i słonych paluszkach. Wreszcie zaczęto małymi grupkami spływać do Spatifu, by tam bez oficjalnego skrępowania świętować do końca triumf wieczoru. W dyrektorskim gabinecie, prócz gospodarza, zostały już tylko trzy osoby: pani Aura, prokurator Zborowski i pułkownik w ciemnym garniturze. Zebrani odetchnęli po gwarze wieczoru. Ciszę, która zapanowała na chwilę, przerwał wreszcie pułkownik:

– Myślę, Krzysztof – mówił – że pani Aurze, asowi naszego wywiadu, a także panu dyrektorowi, pechowemu gospodarzowi nieproszonych sublokatorów, powinniśmy udzielić pewnych wyjaśnień. Śledztwo jest tak zaawansowane, a sprawa na tyle jasna, że możemy – przynajmniej w ogólnych zarysach – opowiedzieć państwu, co się tu działo w zimie, jesienią, a właściwie od ubiegłej wiosny.

– Zgadzam się – przytaknął prokurator – tym bardziej, że dyrektor miał przez nas opóźnioną premierę, a panią Aurę nawet... aresztowałem.

– Eee, Krzysiu, nie ma o czym mówić – ucięła pani Aura – ale bardzo chciałabym posłuchać pana pułkownika, bo przyznam, że do tej pory jakoś nie wszystko mi się układa.

– No, to na taką okazję – powiedział dyrektor Marczewski wstając i kierując się ku dostojnej bibliotece – mam tu coś

ekstra... – tu wyciągnął spoza tomów „Almanachu teatralnego” kręłą butelkę „Napoleona”.

– Wypijmy – zaproponował – to jeszcze prezent od tego biedaka Wiśniewskiego, stoi tu chyba z pół roku. Z nim zaczęliśmy próby, bez niego dobrnęliśmy do premiery...

– ...i jeszcze nieraz go wspomnimy – dodał Zborowski.

Rozlano. Po gabinecie rozszedł się zapach świetnego trunku, a pułkownik, biorąc do ręki pękaty kieliszek, zaczął:

– Muszę cofnąć się nieco w czasie i opowiedzieć państwu o faktach, jakie zaszły mniej więcej przed dwoma laty. Dzięki współdziałaniu policji różnych krajów, Interpolu oraz międzynarodowej organizacji do walki z narkomanią i handlem narkotykami przy ONZ, słowem wielu państw, urzędów i instytucji – zostały wtedy niemal jednocześnie zdekonspirowane i rozbite podstawowe szlaki transportu narkotyków z bliskiego i nieco dalszego Wschodu do Europy i Ameryki Północnej. Przerwano dostawy, zamknięto niezliczonych łączników, skonfiskowano ładunki wielomilionowej wartości. Ale, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, obcięto hydrze maci, natomiast nie zmiażdżono jej samej. Trust przestępczy działał. Postanowiono odbudować przedsiębiorstwo, źle mówię: przedsiębiorstwa, na nowych zasadach i podjąć przemysł innymi szlakami, unikając dróg zbyt skompromitowanych, a przede wszystkim krajów tradycyjnie nastawionych na walkę z narkotykami. Otóż jedno z „przedsiębiorstw”, mieszana spółka kanadyjsko-holendersko-włosko-turecka, wpadła na pomysł, by wykorzystać jako punkt przerzutu ni mniej ni więcej, tylko Polskę. Kraj, w którym nie było dotąd wielkich afer tego typu, a więc i organa ścigania są mniej na te sprawy uczulone, wreszcie leżący na linii tradycyjnych szlaków handlowych między południo-wschodem a północo-zachodem. Słowem kraj – w zamyśle organizatorów – wymarzony.

Udoskonalony system przerzutu z Bliskiego Wschodu na

daleki Zachód miał opierać się nie tylko na zmianie trasy, ale także na przeniesieniu laboratoriów bliżej miejsca produkcji surowca. Postanowiono umiejscowić je w Turcji. Stamtąd czysty narkotyk, załadowany w specjalne, standardowe pojemniki z plastyku – takie, jak przyniesiony przez panią Aurę – wsadzano do większych opakowań – powiedzmy – koszyczków. Koszyczki te szmuglowano na dnie cystern z winem, podróżujących na trasie Konstantynopol-Świnoujście. Turcy wracali do kraju. Po drodze wyciągali z dna pustej cysterny pojemniki z towarem i zostawiali go w „martwej skrzynce”. Był to stary, prawie zawałony poniemiecki bunkier. Następnego dnia pewien młodzieniec, właściciel czerwonego porsche'a i nieprzyjaciel uczciwej pracy, wydobywał „towar” i przekazywał go do Warszawy. Bunkier okazał się jednak dlań miejscem pechowym. Zamordowali go tam własni wspólnicy likwidując linię – ze strachu, aby ich nie sypnął. Zwłoki tego chłopca... nazywał się Zaręba – nic to państwu nie mówi?...

Przecząco potrząsnęli głowami.

– ...otóż jego zwłoki – kontynuował pułkownik – znaleźliśmy niedawno na dnie bunkra. Morderca zamaskował wejście stalową płytą i gdyby nie to, że „sypnęła się” cała trasa, którą badaliśmy dosłownie metr po metrze – nie wpadlibyśmy na bunkier ani nie odkryli jego makabrycznej zawartości. Pozostaje tajemnicą, kto dokonał mordu, ale wszystko wskazuje, że to pan „inżynier” Pakuła załatwił dostawcę.

Duże pojemniki rozpakowywano w Warszawie. Narkotyki, schowane w plastikowych, podłużnych „klockach”, można było wygodnie przewozić, wkładać do wody, upychać itd. Można też było zakładać na nie gumowe pierścienie z magnesowymi przyssawkami i przyczepiać do metalowych powierzchni. Tu właśnie zaczyna się rola Teatru Otwartego... Dyrektor Marczewski nadstawił uszu.

– Wygląda na to, że przez czysty przypadek pewien

aferzysta z Gdańska, a raczej z Orłowa, niejaki Pyra...

– Pyra? – zapytała pani Aura. – To nazwisko coś mi mówi. On chyba odwiedzał dyrektora Wiśniewskiego...

– Tak, tak – wyjaśnił prokurator – był to jego wspólnik od afery z jachtami, ale to zupełnie inna sprawa, przy tamtej właściwie drobiazg, choć i tak Wiśniewski, gdyby nie zginął, zasłużył sobie na murowaną piątką...

– Otóż – ciągnął pułkownik – ów Pyra, którego mamy na swoim wikcie od stycznia, opowiedział przed rokiem swemu znajomemu – nazwijmy go Bob, chociaż ten sutener i handlarz walut używał wielu nazwisk – że był w teatrze u swego przyjaciela, dyrektora administracyjnego, gdzie przebudowano całą widownię wprowadzając nowy typ krzesełek lekkich i poręcznych, a przecież wykonanych z metalu. Jedyną ich wadą – twierdził Pyra – jest to, że siedziska się nie podnoszą i wobec tego trudniej jest przeciskać się między rzędami. Bob, którego teatr nie interesował szczególnie, nagle zapalał chęcią wybrania się do państwa. Przyszedł, sprawdził, bardziej zainteresowany tym, na czym siedzi, niż tym co ogląda, i wpadł na genialny pomysł. Zaproponował swym szefom – i tu dochodzimy już do międzynarodówki przemytniczej – aby w teatrze, gdzie kręci się mnóstwo osób, gdzie nikogo nie dziwi, że ci sami ludzie przychodzą raz po raz – aby tu właśnie zrobić punkt bezpiecznego przeładunku transportu. Na upatrzone z góry miejsca – tak, tak, miała pani rację, ustalali je według ruchu konika szachowego – otóż na te miejsca wykupywano bilety. Jednego wieczoru ładowano pod umówione krzeselko dwa plastikowe klocki trzymające się na magnetycznych przyssawkach – w sumie pół kilo narkotyku – by następnego dnia inny łącznik mógł je zdjąć. Operacja była prosta, zwłaszcza że przeprowadzały ją kobiety w długich sukniach, z dużymi, modnymi torebkami, a otoczenie bardziej zwracało uwagę na scenę, niż na wierzące się sąsiadki. To, że świetne

spektakle sprzyjały przemytnikom, jest zasługą pana dyrektora – zwrócił się do Marczewskiego. – Bob działał przy pomocy współpracownicy. Oboje oni, jak państwo pewnie wiecie, nie żyją. Pamiętnej nocy uciekali volkswagenem z Pakułą. Ten najprawdopodobniej wolał się pozbyć niewygodnych świadków i po prostu zastrzelił ich. Dziewczynie rozwalilo twarz i byłaby nie do zidentyfikowania, gdyby nie podłużna blizna na serdecznym palcu...

– Dziewczyna z blizną! – krzyknęła pani Aura. – Pamiętam, nieraz kupowała u mnie bilety. To na nią pierwszą zwróciłam uwagę, bo strasznie upierała się przy jakimś miejscu...

– Tak, była współpracownicą Boba. Zaczynała od prostytucji, ale miała na samym początku kariery niemiłe zajście – włączył się w tok opowieści prokurator. – W czasie czułego sam na sam z pewnym Libańczykiem zwędziła mu kosztowny pierścionek o bardzo skomplikowanych ozdobach. Wsadziła go na palec i podczas gdy klient chrapał, postanowiła ulotnić się cichcem. Ale Libańczyk miał czujny sen, przyłapał dziewczynę i natychmiast dostrzegł na jej ręczce swoją własność. Zaczęła się awantura. Uderzył ją, po czym gwałtownie zaczął ściągać pierścionek. Nie robił tego zbyt delikatnie, ale za to szybko i skutecznie. Zranił przy okazji dziewczynie serdeczny palec, szpecąc go niewielką blizną.

– A zatem, kiedy już zdecydowano, że „Otwarty” jest idealnym punktem przeładunkowym, nagle niczym z nieba spadła im pani Aura – ciągnął pułkownik.

– Ja?

– Tak, pani. Sprowadziła pani do pracy w kasie Jankę Dolińską. Córkę dobrego, uczciwego rzemieślnika, którego wplątał w swoje interesy sławetny inżynier Pakuła. Pakuła był bowiem szefem końcowej fazy załadunku przesyłek w drogę za ocean. I tu zaczyna się historia COSAGu, czyli godnej firmy kanadyjskiej z Toronto, zajmującej się importem,

eksportem i sprzedażą sprzętu sportowego. Niestety: recesja, inflacja, kryzys energetyczny nie oszczędziły COSAGu. Trzeba było szukać pomocy, aby ratować się przed plajtą. Pomoc przyszła z nieoczekiwanej strony – od gangu handlarzy narkotyków. Jego przedstawiciele zaproponowali, że będą premiowali zakup wózków elektrycznych do golfa w Polsce, o ile COSAG zdecyduje się na to, że wskazani ludzie zajmą się przyjmowaniem importu na miejscu i odbiorem w Kanadzie. COSAG, mając nóż na gardle, przyjął warunki. Wtedy to zorganizowano, korzystając z uprawnień i terenu pana Dolińskiego, specjalny warsztat. Dziewięćdziesiąt procent jego działalności stanowiły istotnie usługi dla ludności, a resztę miał do dyspozycji COSAG, lub raczej banda panoszących się pod jego firmą przemytników.

Pomysł był niezwykle prosty. Wózki oglądali autentyczni specjaliści, natomiast akumulatory – na włoskiej maszynie „Galvani” – kontrolował Pakuła i paru jego pomagierów. Każdy akumulator wsuwano do automatu i co pewien czas któryś podmieniano. Niknął akumulator z płytkami i elektrolitem, a pojawiał się nadziany narkotykami. Najciekawsze, że poza swymi złodziejskimi funkcjami maszyna kontrolowała naprawdę parametry akumulatorów i stąd od czasu do czasu zdarzały się odrzuty braków. Podmieniane akumulatory otrzymywały nawet numery tych prawdziwych, usuniętych. Bez ryzyka, bowiem każdy akumulator wprowadzony do „Galvaniego” rejestrowano – rzecz zrozumiała – wystukując na odpowiedniej klawiaturze jego numer. Potem ten zapis służył do odtwarzania prawdziwego numeru na nieprawdziwym akumulatorze.

Pan Doliński, rzemieślnik starej daty, nie zdawał sobie sprawy z tego wszystkiego. Muszę przyznać, że krótkotrwały areszt śledczy, który dla dobra dochodzenia należało zastosować, odbił się na nim fatalnie...

– O ile wiem – dodała pani Aura – po tym nieszczęsnym zawale powoli wraca do siebie. Myślę nawet, że uda mi się załatwić mu w kwietniu sanatorium...

– Gdy tylko Pakuła dowiedział się od Dolińskiego, że jego córka pracuje w Teatrze Otwartym, zgodnie z zasadą zarportował to swoim szefom. Ci mieli tu w odwodzie młodego, trochę już wykolejonego chłopaka. Amerykanina polskiego, a właściwie polsko-włoskiego pochodzenia – niejakiego Roberto. No i kazali mu poderwać Dolińską, pani współpracowniczkę, dziewczynę wprawdzie o dwóch imionach, ale za to połowie rozumu...

– Gdyby nie opinia biegłych: psychiatry i psychologa, o wyjątkowo niskim współczynniku inteligencji Dolińskiej – dorzucił Zborowski – nie byłoby rady, posiedziałyby dziewczyna do sprawy za współudział. Ale przecież ta idiotka naprawdę nic nie rozumiała i nie wiedziała, chociaż trudno w to uwierzyć.

– Janka była dla gangu idealnym pracownikiem. Właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – ciągnął pułkownik. – Kupowała bilety u samego źródła, o nic nie pytała, wszystko brała za dobrą monetę. Jej machinacje zwróciły jednak pani uwagę, pani Auro. Słusznie powiązała to pani z całym wianuszkiem innych zdarzeń. Nie wszystkich, rzecz prosta, bo o wszystkim pani nie mogła wiedzieć. I cała impreza prosperowałaby pięknie, gdyby pan dyrektor nie zaangażował reżysera Poraya...

– Poraya? – zdziwił się Marczewski.

– Tak, bo to Poray wpadł na koncept zabawy z krzeselkami. Refren „Operetki” o krzeselkach lorda Blotton nasunął mu pomysł organizowania na spektaklu małego happeningu. Rozwalał więc rzędy krzesel na próbach, robił nieludzki bałagan, a potem pańscy maszyniści musieli to wszystko ustawiać.

Oto nagle przerzucane z miejsca na miejsce krzeselka stały się przyczyną znikania drogocennych przesyłek chowanych pod nimi. Towar wędrował po sali, a przecież zarówno załadunek, jak i rozładunek odbywały się według pewnego szyfru: według skoku konika szachowego. Podejrzliwi gangsterzy pomyśleli, że ktoś w teatrze podbiera ich miód. Zrodziła się teoria – jak to nazwali – szczura. Szczura, który dostał się do spiżarni. Postanowili więc działać. Wyeliminować wroga.

Gdyby nie tajemniczość prób pana Poraya, pewnie spenetrowaliby którejs nocy dokładnie widownię i doszli prawdy. Ale trzeba trafu, że napatoczyła się sprawa Wiśniewskiego, związanego ciemnymi machlojkami z owym Pyrą, któremu za niezłe łapówki ułatwiał transakcje jachtami Rady Zakładowej. Nakryliśmy owego Pyrę na takim handelku jachtem o nazwie „Melpomena”. Jachcik miał wbudowane schowki do przemytu towaru, więc partnerów tego przedsiębiorstwa przymknęliśmy, a Wiśniewski miał pójść ich śladem w dalszej kolejności. Dostał wezwanie do prokuratury. To – na pewno przez Dolińską – doszło do Roberta i jego szefów, którzy wpadli w popłoch. Zdecydowali się usunąć Wiśniewskiego. Wyekspediowano go więc na tamten świat. Zwabiwszy go z samochodem na jedną z dróg o nie strzeżonym przejeździe kolejowym, spojono go, wreszcie wepchnięto pod pędzący pociąg w jego własnym fiacie. Efekt wiadomy. Wszystko wskazuje, że dzieła tego dokonał ten lekko kulejący Holender, urzędnik firmy COSAG, a naprawdę zawodowy morderca. Był on w porsche'u razem z Dolińską i wkopał się w sławetne siano; umarł w szpitalu więziennym. Robiliśmy, co można, by go uratować. Nie udało się. Natomiast drugi pasażer, ponoć niegdysiejszy kaskader i bokser, trochę aktor filmowy, bardzo podobny do Lina Ventury – szef całego interesu na Polskę i okolice, czyli linii wschód-zachód, jest już zdrowszy i krzepki. Przybyło mu tylko na twarzy

trochę blizn. Notabene porsche był spadkiem po nieboszczyku Zarębie, miał tylko fałszywe numery i został dla niepoznaki przemalowany na szaro... Ale, ale – zreflektował się pułkownik – na czym to ja właściwie stanąłem, bo te dygresje...

– Na śmierci Wiśniewskiego – odpowiedziała pani Aura.

– Wiśniewski zginął i wszystko wróciło do normy – ciągnął pułkownik – nie dlatego jednak, że zniknął „szczur”, ale ponieważ zawieszono próby „Operetki” i nikt nie ruszał krzesłek. Zdawało się, że można dalej iść na całego. I poszli, tylko że pan Poray wznowił próby. Wtedy bossa – czyli tego pana z pokiereszowaną gębą – i kulawego mordercę opanował strach. Szczur jest między nami – ustalili. Oczywiście podejrzenie padło na Jankę Dolińską, na Roberta i na panią, pani Auro...

– Jak to na mnie?

– Oni byli cały czas przekonani, że pani jest w zмовie. Po pierwsze z Wiśniewskim, a następnie – z Robertem przez Jankę. Nie chcę pani martwić, ale znajdowała się pani na liście do szybkiej likwidacji, zwłaszcza, że podczas włamania do pani mieszkania znaleźli swój szyfr biletowy w pani notatkach, co zresztą potwierdzał zapis na ukradzionym pani terminarzu...

– Ukradzionym przez kogo?

– Co tam będziemy grzebać się w szczegółach – machnął ręką pułkownik – kto ukradł, ten ukradł, darujmy mu to. Jestem pewien, że nie wiedział, jaki wyrok wydaje na panią zabierając terminarz...

Zapadła chwila milczenia, pani Aura pochyliła głowę. Do-myślała się, o kogo chodzi i wdzięczna była pułkownikowi za jego subtelność.

– Postanowili uderzyć w miejsce najczulsze: w Jankę – ciągnął dalej. – Od dłuższego czasu orientowali się, że Roberto najbanalniej w świecie zakochał się w tej dziewczynie.

Mając Jankę – mieli jego. A Jankę było łatwo schwytać. Nie zdawali sobie tylko sprawy z tego, że jest aż tak nieprawdopodobnie naiwna. Próbowali z niej wymusić informacje, ale ona nic nie powiedziała, bo nic nie wiedziała. Dlatego zresztą tak mocno oberwała od Pakuły, zwyrodnialca i sadysty.

Ponieważ z Janką im nie wyszło, zaczęli targi z samym Robertem. Byli w trudnej sytuacji. Centrala ostrzegła bossa, że jego podejrzewa o machlojki z towarem. Jak w dobrym towarzystwie: nikt nie wierzył nikomu. Wtedy Roberto dobrał sobie do pomocy Maćka Dolińskiego, wtajemniczając go w peyrypetie siostry, i zaczęła się karuzela między Jelonkami a szosą E-3. Cały dramat rozegrałby się poza nami i dopiero kolejne trupy naprowadziłyby nas na ślad tej rozróby wewnątrz gangu, gdyby nie pani Aura...

– Gdyby nie list Janki – powiedziała pani Aura – tak podstępnie odebrany mi przez Krzysia.

– To nie był list Janki, pani Auro – wyjaśnił Zborowski – to list Roberta, w którym składał on bardzo dokładną relację o działalności, technice, adresach całego gangu, łącznie z kontaktami zagranicznymi. Nie pisał go zresztą z potrzeby sumienia. Była to gwarancja. Boss wiedział o liście i wiedział, że do czwartku rano nie może zrobić Robertowi krzywdy i musi mu pozwolić spokojnie odjechać na melinę, gdzie miał przeczekać z Janką.

– W każdym razie taki list – wtrąciła pani Aura – to okoliczność łagodząca...

– No, może... może... Ale jeśli pani protegowana nie zrezygnuje z czekania na powrót Roberta na wolność, to ładnych parę lat przyjdzie jej spędzić w celibacie – odrzekł prokurator.

– A może oni się naprawdę kochają? – powiedziała poważnie pani Aura.

– Natomiast Maćka Dolińskiego postanowiliśmy zwolnić od odpowiedzialności z braku cech przestępczych czynu. Nie

wiedział przecież nawet, co zabierają Pakule, wiedział natomiast, po co. Ratował siostrę. Całą winę za napad na kierowcę łazika i na taksjarza wziął na siebie Roberto... więc zostawimy chłopaka, co mu tam marnować życie na początku. Zwłaszcza, że ojciec chory, a siostra ledwo wróciła do życia.

– Więc wszystko się wyjaśniło? – zapytał dyrektor Marczewski.

– Prawie – odpowiedział pułkownik – jest jeszcze parę drobiazgów...

– No to zdrowie gości! – dyrektor wznosił kieliszek.

– Jednego tylko ciągu nie wiem – głośno rozmyślała pani Aura, dopijając swoją porcję „Napoleona”. – Kto wśliznął się za mną na próbę „Operetki”? Kto mnie śledził, czego chciał...?

W tej chwili podniósł się dyrektor Marczewski, jakby przypominając, że północ dawno minęła i pora kończyć spotkanie. Nikt więc nie odpowiedział na pytanie pani Aury.

Aby tę sprawę wyjaśnić, należałoby zastosować wobec podejrzanego specjalne metody badania. Jaki dyrektor przyzna się bowiem dobrowolnie, że na swoim własnym podwórku, na próbie osobiście zaangażowanego reżysera musi niczym przestępca wślizgiwać się na widownię, żeby cokolwiek zobaczyć i dowiedzieć się, co się dzieje na jego scenie?

